

CZARNA
SERIA

kryminal



Håkan Nesser

**SZACHY POD
WULKANEM**

Síódmy tom serii kryminalnej
o inspektorze Gunnarze Barbarottim

CZARNA OWCA

Håkan Nesser

**SZACHY POD
WULKANEM**

przełożyła Iwona Jędrzejewska

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Tytuł oryginału: *Schack under vulkanen*

Redakcja: Kamila Reclaw

Korekta: Ewa Skibińska, Maciej Korbasiński

Projekt okładki: Magda Kuc

Copyright © Håkan Nesser, 2021

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Rights, Stockholm, Sweden and Macadamia Literary Agency, Warsaw, Poland

Copyright © for the Polish translation by Iwona Jędrzejewska, 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8252-021-7

WYDAWNICTWO

CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czar-naowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

PAŹDZIERNIK-LISTOPAD 2019

1

2

3

4

5

GRUDZIEŃ 2019

6

7

8

9

10

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 2019

11

12

13

14

15

GRUDZIEŃ 2019

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

LUTY-MARZEC 2020

26

27

28

29

30

KWIECIEŃ 2020

31

32

33

34

35

36

37

38

MAJ 2020

39

40

41

CZERWIEC 2020

42

43

44

45

46

47

48

Wstęp

Miasta Kymlinge nie ma na mapie. Wymyślone są także najważniejsze osoby, główne wydarzenia i prognozy pogody. Natomiast Gunnar Barbarotti i Eva Backman są mniej fikcyjni, gdyż istnieli już wcześniej.

Ci, którzy piszą książki, pomyślał, nie potrzebują własnej historii. Dlaczego? Dlatego że ich życie w porównaniu z tym, co napisali, wydaje się nieciekawe i nudne.

OLGA TOKARCZUK

Księgi Jakubowe

PAŹDZIERNIK–LISTOPAD 2019

1

Rzeczywistość

W pewien październikowy wieczór, piętnaście po dziesiątej wieczorem, znany pisarz Franz J. Lunde leży w ubraniu na łóżku hotelowym, w mieście w środkowej Szwecji.

Nie w płaszczu, w marynarce czy szaliku; te wiszą na wieższaku na drzwiach. Buty niedbale leżą na podłodze. Od dziesięciu minut wpatruje się w plamę na suficie – przypomina mu o wyspie São Tiago na Wyspach Zielonego Przylądka, którą odwiedził pod koniec lat dziewięćdziesiątych – i intensywnie rozmyśla. Intensywnie i z niepokojem, ale ma powód.

Głęboko wzdycha, wyciąga rękę i nie unosząc głowy, z teczki opartej o nogę łóżka wyjmuje długopis i notatnik. Jeszcze nieużywany, wygląda jak tysiące innych notatników. W czarnej sztywnej oprawie. Rozmiar A4. Zakłada okulary w rogowych oprawkach i zaczyna pisać.

To jedyne narzędzie walki ze strachem, przynajmniej w jego wypadku.

Fantazja. Ostatnie dni i śmierć literata

John Leander Franzén to nie tylko pisarz, ale również narcyz na granicy z psychopata.

Pierwsze jest wśród jego wiernych czytelników ogólnie znanym faktem. To drugie stanowi głęboko skrywaną tajemnicę.

Tak mu się przynajmniej wydawało i tą nadzieją się karmił, nawet gdy jego była żona oraz dwóch dawnych przyjaciół sądziło, że odkryli tę gorzką prawdę. Zresztą „psychopata” to jedno z tych modnych słów, które już dawno zatraciły swoje pierwotne znaczenie.

Ale nieważne. Teraz, kiedy już mu stuknął piąty krzyżyk, JLF – tak się lubił tytułować w pewnych wąskich kręgach – porzucił i żonę, i przyjaciół. I żył w satysfakcjonującej go samotności, w średnim pod względem wielkości, wypełnionym książkami mieszkaniu z przełomu wieku, w dzielnicy Söder, w Sztokholmie. Tutaj dorastał i tutaj wrócił, kiedy jego twórczość wspięła się na tak wysoki poziom, że już nie musiał się zaharowywać jako nauczyciel liceum w Norrköping, w którym przepracował prawie dwadzieścia lat. Chyba każdy się zgodzi z tym, że określenia narcyz i psychopata bardziej pasują do roli samotnego pisarza niż nauczyciela.

Tego wieczoru nie zastanawiał się jednak ani nad swoją profesją, ani nad charakterem. Było piętnaście po dziesiątej wieczorem, a on leżał wyciągnięty na hotelowym łóżku, w mieście w środkowej Szwecji i wpatrywał się w płamę na suficie – podobną do wyspy na Atlantyku, którą odwiedził wiele lat temu – próbując sobie przypomnieć wygląd tej kobiety. Tuż przed zakończeniem spotkania zadała mu pytanie, które wytrąciło go z równowagi.

Niska i ciemnowłosa? Tak mu się wydawało, ale nie był pewien. Pięćdziesięcioletnia? Być może, ale równie dobrze mogła mieć czterdzieści lub sześćdziesiąt lat. Jej głos przypominał alt i mógł być głosem mężczyzny. Był fałszywie uprzejmy. Zupełnie nie pasował do tego, co powiedziała, nawet bardzo.

JLF zazwyczaj trudno było wyprowadzić z równowagi, szczególnie podczas spotkań autorskich. Miał ponadpiętnastoletnie doświadczenie, zarówno z małą, jak i dużą publicznością. Na targach książki czy kameralnych spotkaniach w bibliotekach

prowinjonalnych miasteczek, o których istnieniu nawet nie wiedział. Na przykład takich jak to dzisiejszego wieczoru w Ravmossen.

Kto słyszał o jakimś zapyziałym Ravmossen? O tej dziurze, w której nawet nie było gdzie przenocować i dopiero w pobliskim miasteczku znaleźli mu w miarę przyzwoity hotel. Zaledwie przyzwoity. Oderwał wzrok od plamy na suficie, usiadł, wziął łyk nie najlepszego hiszpańskiego wina, które dostał w podziękowaniu za spotkanie, i zaczął się rozbierać.

Trzymając w ręku nieco już przepoconą skarpetę, próbował przywołać w pamięci dokładne sformułowanie.

- Szanowny panie Franzén, w jednej ze swoich książek opisuje pan morderstwo doskonale. I muszę przyznać, że kiedy ją czytałam, miałam wrażenie, że to pan jest jego sprawcą. Czy moje przypuszczenia są słuszne?

Rzeczywistość

Franz J. Lunde odkłada długopis na stolik nocny i czyta dwie strony napisanego przez siebie tekstu. Podrzeć i wyrzucić do kosza czy kontynuować? Dobre pytanie.

Jeszcze trzy lata temu, może nawet pięć, niewątpliwie wybrałyby kosz, ale teraz sytuacja jest zupełnie inna. Od ponad dwóch lat nie ma dobrego pomysłu, a swojemu wydawcy obiecał gotowy maszynopis jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Sześćdziesiąt siedem stron, nie więcej niż sto, chodzi o coś mniejszego, w kwietniu wydawnictwo będzie obchodzić jubileusz i książka musi być gotowa. Nowela. Wyjątkowo nowela albo wyjątkowo krótka powieść.

Takie były zapowiedzi. Ma wolną rękę; jego wydawca Rachel Werner uśmiechnęła się uśmiechem Sfinksa i ze sto razy mu podziękowała; pisarzowi takiemu jak Lund nie wolno związy-

wać rąk bez powodu. Kajdanki i ramy są dla nowicjuszy i dyletantów, a nie dla znanych i cenionych twórców, tłumaczonych na wiele języków i mających szerokie rzesze wiernych czytelników.

Połowę zaliczki już dostał, resztę obiecano mu po dostarczeniu maszynopisu. Tydzień temu Franz J. zjadł lunch z Rachel w restauracji Opera i zapewnił ją, że wszystko jest na dobrej drodze. Że idzie gładko, bez żadnych problemów.

No, może poza jednym, że jest całkowicie splukany, ale to sprawa, o której absolutnie nie chce dyskutować z własnym wydawcą. W każdym razie nie z Rachel Werner.

Zamyka oczy i przywołuje w pamięci jej twarz. Próbuje też sobie wyobrazić, jak by wyglądało jej ciało nieprzysłonięte żadną szmatką, ale mu nie wychodzi. Więc jeszcze raz czyta te dwie strony, które napisał. Może to nie jest takie złe, mimo wszystko?

Jednak niepokój wciąż go nie opuszcza. Z minibaru wyjmuje drugą butelkę wina, odkręca korek i nalewa do kieliszka. Ma się zmieścić w sześćdziesięciu stronach, czyli zostało mu jeszcze pięćdziesiąt osiem. Do świąt dwa miesiące. Jedna strona dziennie, czy da radę? Jeśli będzie miał natchnienie, może nawet dojść do siedemdziesięciu, osiemdziesięciu. Często tak jest, że najpierw trzeba przewyciężyć pierwszy bezwład. Podobnie było z Bøllem i Borgesem.

Bierze łyk i znów chwyta za pióro. To proste, trzeba tylko trzymać się tego, co się rzeczywiście wydarzyło... spogląda na zegarek... niecałe dwie godziny temu.

Nawet Ravmossen to czysta prawda.

Ostatnie dni i śmierć literata

- Przepraszam? Może pani powtórzyć pytanie?

Powtórzyła.

- W jednej z pańskich książek jest popełniona zbrodnia doskonała... jak to się potocznie nazywa. Miałam nieodparte wrażenie, że to pan brał w niej udział. Czy mam rację?

Nieco inaczej sformułowane niż poprzednio, ale to nieistotne. Przesłanie było jasne. JLF pamięta, że odchrząknął i skierował wzrok na kobietę. Nie widział jej, gdyż siedziała w tylnym rzędzie, a on nie wziął okularów. To nie żadna danina, którą płaci za własną próżność, po prostu woli nie widzieć swoich czytelników nazbyt wyraźnie. To przyszło z czasem.

- Hmm. Oczywiście, że nie. Ale co pani właściwie sugeruje?

- Absolutnie nic. Zadałam tylko proste pytanie. Czy rzeczywiście pan...?

Do akcji wkroczył moderator. Krótkowłosa, ubrany w żółtawy, staromodny garnitur typu manchester, siedemdziesięcioletni mężczyzna o imieniu Axelryd, który oprócz minutowego wprowadzenia nic nie wniósł. Jak zwykle JLF przejął pałeczkę i sam poprowadził swoje spotkanie. Mniej więcej godzinne, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

- Drodzy państwo. Dziękuję za tak liczne przybycie... ale największe podziękowania dla naszego znamienitego gościa, Johna Leandera Franzéna, który wprowadził nas w swój fascynujący świat. Podziękujmy mu gromkimi brawami!

Każde, tylko nie gromkie, pomyślał JLF, wpatrując się w skarpetki. Ciasna i duszna salka wypełniona była do ostatniego miejsca. Ponad siedemdziesiąt osób nie miało się nawet jak ruszyć, nie mówiąc już o gromkich brawach. Audytorium to głównie kobiety po klimakterium, zresztą jak zawsze. Niezawodne posłanki kultury, jednak nazbyt anemiczne, by wykrzesać z siebie gromkie brawa.

Dwadzieścia dwie książki sprzedane i podpisane. Być może kobieta, która zadała mu to pytanie, też jedną kupiła.

To całkiem niezła cyfra, zważywszy na fakt, że żadna z książek nie była nowa. Wysoka, ciemnowłosa kobieta, która je sprzedawała, mówiła z lekkim słowiańskim akcentem. Była zadowolona ze spotkania, zrobiła sobie z nim selfie i nawet się do niego przytuliła. To trochę więcej, niżby wynikało z okoliczności, pomyślał.

Tak, to na pewno Słowianka.

Dopił resztę wina i zabrał się do wieczornej toalety. Slipy i skarpety wyrzucił do kosza. Wskoczył pod kołdrę, zgasił światło, skonstatował, że od wina ma zgagę i że to pytanie nie daje mu spokoju.

W drodze z Ravmossen do hotelu znów się pojawiło.

- Dziwne pytanie zadała ta kobita.

Kierowca był drobny i zgięty w pół. Miał w sobie coś ze szczura i gdyby tylko nie mówił tym swoim smalandzkim akcentem, przypominałby Humphreya Bogarta. Najpierw JLF pomyślał, że się wygłupia, że ten dziwaczny akcent to żart, ale nie.

- Zna ją pan?

- Ni, nie mieszko w Ravmossen.

JLF pokiwał głową. Pożałował, że nie usiadł na tylnym siedzeniu, żeby mieć spokój. Ale jest jak jest, psychopaci muszą być uprzejmi. W każdym razie tak się ogólnie uważa. Moja persona, pomyślał, i zastanawiał się, dlaczego akurat to słowo przyszło mu do głowy.

- Okropna impertynentka.

- Co?

To dość nieoczekiwane słowo, więc kierowca czuł się w obowiązku wyjaśnić jego znaczenie.

- To znaczy chamska, można powiedzieć.

- Dziękuję, ale wiem, co to znaczy...

- Tak tylko, gdyby pan...

Mężczyzna nie dokończył zdania, bo JLF wyjął komórkę i udawał, że czyta jakiś ważny SMS. A przez cały wieczór dostał zaledwie jeden. Zaproszenie na święta z jakiegoś górskiego hoteliku. Wśród mikołajów i krasnali, iskrzącego się śniegu i diabli wiedzą, czego jeszcze. Trzymał telefon tak, żeby Humphrey Bogart nie widział ekranu. Po pięciu minutach jazdy w milczeniu zaczęło padać. Wycieraczki pozostawiały wiele do życzenia, więc JLF zastanawiał się, czy to jego ostatnia podróż i ostatnie minuty życia. Ta myśl, od czasu do czasu pojawiająca się w jego głowie, pewnego pięknego dnia stanie się rzeczywistością.

Jednak jeszcze nie tym razem. Jakoś dotarli do hotelu.

- Dziękuję za interesujący wieczór - powiedział Humphrey Bogart, przytrzymując drzwi. - Proszę się nie martwić o rachunek, wszystko załatwione. Ale minibar będzie pan musiał opłacić z własnej kieszeni.

Smalandia, pomyślał John Leander Franzén i szybko się schował pod dachem. Chociaż znajdował się trochę bardziej na północ, w Askersund.

Westchnął. Przewrócił się na łóżku i zrozumiał, że na sen będzie musiał jeszcze trochę poczekać. Ulicą przejechał krążownik, puszczając na cały regulator starą piosenkę Chucka Berry'ego, a w sąsiednim pokoju ktoś splukał wodę.

Rzeczywistość

Franz J. Lunde odkłada długopis na szafkę nocną i czyta owoc swojej pracy. Krążownik znów nadjeżdża, jednak tym razem z innej strony. *You Never Can Tell*, przypomina sobie nagle tytuł tego kawałka. Czeka, aż muzyka ucichnie, i próbuje skupić myśli. Czy w tym, co pisze, nie jest zbyt blisko rzeczywistości?

Zbyt blisko siebie? Z autobiografiami, ciężkimi cegłami, unoszącymi się w morzu megalomańskich banałów, nigdy nie było mu po drodze. Name-dropping i fałszywa pamięć. Przecież tworzywo do wielkich powieści wyciąga się z zakamarków własnego umysłu. I jeśli nawet w tym przypadku powinien się zmieścić na sześćdziesięciu, siedemdziesięciu stronach, to opowiadanie musi trzymać pewien poziom. Niezależnie od tego, czy autor jest w nim obecny, czy nie. To jasne jak słońce.

Jeszcze raz wszystko czyta i dochodzi do wniosku, że wyszło nieźle. Jednak ze względu na wrażliwą zawartość musi być ostrożny. Powinien co nieco zamaskować, balansować na cienkiej granicy między prawdą a blagowaniem. Kiedy gasi lampkę i poprawia poduszkę, konstatuje, że mimo wszystko napisał już pięć stron. To w zaokrągleniu jedna dwunasta. Pogodzony ze światem i z samym sobą zasypia i natychmiast zaczyna mu się śnić kobieta bez twarzy. Stopiona z gęstym tłumem.

2

Rzeczywistość

Pociąg ma półgodzinne opóźnienie. Kiedy już zajmuje miejsce w przedziale pierwszej klasy, postanawia przełożyć spotkanie z matką. Jeśli w drodze do Sztokholmu będą jeszcze jakieś przestoje, co się często zdarza, może nie zdążyć. Dla odwiedzających otwarte jest między trzecią a piątą, oprócz weekendów, wtedy są nieco bardziej szczerzy, a wpaść do niej na kilka minut też się nie opłaca. Nawet nie zdąży się zorientować, kim on jest, a jeśli nawet, to będzie się złościć, że tak szybko wychodzi.

Miałby wprowadzić mniejsze wyrzuty sumienia, bo to jeden z powodów, dla których w ogóle do niej jeździ. Ma świadomość, że to trochę nie w porządku, ale tak jest.

Wpada przynajmniej raz w tygodniu, czasami na chwilę w niedzielę. To już cztery lata, jak spowiła się mgłą, trzy, od kiedy mieszka w domu starców w Nacce. Właściwie to nie ma sobie nic do zarzucenia. Jej ostatni przystanek nie należy do najtańszych, a on jest dobrym synem, dba i troszczy się o swoją matkę, mimo iż wcale na to nie zasługuje. Nie dostał od niej nic w zamian.

Inaczej jest z jego siostrą, Linneą, pięć lat młodszą od swojego brata, kiedyś piękną i otoczoną wianuszkami zalotników. Wybrała faceta z Lulei, zaszła w ciążę, zanim skończyła dwadzieścia jeden lat, i przeprowadziła się na północ. Poroniła, zmieniła faceta i z czasem urodziła czwórkę dzieci. Ani razu nie

odwiedziła matki, tłumacząc się, że daleko mieszka, że podróż do Sztokholmu zajmuje jej co najmniej dwa dni, ma dzieci, pracę i psy, po prostu brakuje jej czasu. Czuje się wydrenowana, jak mawia. „Po każdym spotkaniu z nią czuję się wydrenowana. Ty zawsze byłeś jej ukochanym synem, a ja jej nigdy nie obchodziłam. Mogę się założyć, że nawet nie pamięta, że ma córkę. Cholera jasna”.

Pociąg zatrzymuje się w lesie, równo w połowie drogi. Franz J. Lunde wyjmuje czarny notatnik i długopis. Znosi się na to, że będzie miał sporo czasu, żeby coś napisać. Od fikcyjnego Johna Leandera Franzéna różni się przynajmniej jednym. Nie jest ani narcyzem, ani psychopatą; przecież taki człowiek nie odwiedzałby swojej beznadziejnej matki tyle razy w miesiącu. I nie kochał swojej siostry, mimo iż na to nie zasługuje.

I tyle.

Ostatnie dni i śmierć literata

John Leander Franzén wszedł następnego popołudnia do swojego mieszkania przy Mosebacke i westchnął. Moja twierdza, pomyślał. Moje schronienie przed światem pełnym idiotów i bezdusznych kretynów. Sam żył z jednym przez całe siedem lat, więc doskonale wie, o czym mówi. Siedem straconych lat, ale na szczęście już jej nie ma.

Wielu rzeczy już nie ma. Wyczyścił swoje życie z wszystkich śmieci, pozostało jedynie to, co czyste, samo jądro, kwintesencja. Im mniej przypadkowości i niepotrzebnej wymiany zdań, tym wyraźniej widać, co jest naprawdę ważne. Przeciętny człowiek tego nie zrozumie, więc już dawno przestał o tym mówić. Nie ma sensu.

A jeśli mimo wszystko ktoś byłby w stanie – być może byłby w stanie – zrozumieć, to warto to robić. Świadomość, że jest się

panem własnego losu, że mentalność niewolnika to niejedyna droga... tak, niektórym może się poszczęści i w jego książkach znajdą pokarm dla duszy. Jeśli zadadzą sobie nieco trudu.

Wziął długi, gorący prysznic, onanizował się i zadzwonił do Börje.

- Zobaczmy się u Greka za godzinę?

Börje natychmiast przystał na propozycję.

- Rozumiesz, co to znaczy?

Zamówili befsztyk i boutari. JLF domówił jeszcze jedną butelkę. Börje pokiwał głową i spojrzał przez zapaćkane okulary. Kiedy się zorientował, że są brudne, zdjął je i zaczął czyścić krawatem. Kraciasty krawat i kraciasta koszula. Różne kolory i różna wielkość kratki. Może nie założył okularów, kiedy się ubierał, pomyślał JLF. Albo nie ma w domu lustra.

Ale krawat zawsze. Börje Fager trzymał styl i tradycję. Lub smak, jak sam mawiał. Znali się jeszcze z czasów szkolnych i JLF uważał, że przyjaciel jest wierny jak kurzajka. Być może nawet powiedział mu to podczas jednej z wielu pijackich okazji, ale Börje nie należał do tych, co się obrażają. Znalazł swoje miejsce pod silniejszymi skrzydłami kumpla, na wyasfaltowanym dziedzińcu szkolnym, czterdzieści lat temu, i tak już zostało. Franzén i Fager, w tej kolejności.

- Dokładnie tak powiedziała - uściślił JLF.

Börje założył okulary.

- Niedobrze. Ale...

- Ale co?

- To może tylko takie gadanie. To cholernie dobra książka, poza tym piszesz tak, że człowiek myśli, że to się dzieje naprawdę.

JLF natychmiast wessał pochwałę, mimo że pochodziła tylko od Börje. Siedział w milczeniu i zastanawiał się.

- W tym siła twojego pisarstwa - kontynuował kumpel. - Jedna z wielu. Żeby złapać czytelnika w sieć... że się tak wyrażę.

Czy on nic nie rozumie?, pomyślał JLF. Do diabła, czy on nic nie rozumie?

A może tylko odgrywa teatr. Przecież też jest w to zamieszany, czy to możliwe, że nigdy mu nie przyszło do głowy, jaką rolę w tym odegrał?

Minęło siedem lat. Pięć od ukazania się książki. *Pielęgniarka zniknęła bez śladu*. Pamięta, że kusiło go, żeby we wstępie dodać: „oparte na faktach” - ale poszedł po rozum do głowy i tego nie zrobił. Nie chciał kusić losu, być może szczęście sprzyja odważnym, ale są jakieś granice.

Recenzje były pozytywne. Dostał dwie nagrody, szwedzką i zagraniczną. Ta druga to polska, pewnie by mu jej nie przyznali, gdyby nie pojechał tam na festiwal do Wrocławia czy Poznania, nie pamięta dokładnie.

I nikt nie zauważył żadnego związku. Nie skojarzył intrygi z powieści z tym, co się stało z jego własną żoną kilka lat wcześniej.

Aż do teraz. Do wczorajszego wieczoru, kiedy ta kobieta zadała mu to... jak się wyraził ten dziwny taksówkarz... imperyenne pytanie.

- Nad czym tak rozmyślasz? - zapytał Börje Fager. - Masz jakąś nową laskę na widoku?

- Nie, do diabła! - wybuchnął JLF, tak głośno, że aż sam się zdziwił, a goście przy sąsiednim stoliku odwrócili głowy. - Wręcz przeciwnie... właśnie... wręcz przeciwnie.

- Teraz to już się zupełnie pogubiłem - przyznał się Börje Fager.

Nie na widoku, tylko na gardle, pomyślał JLF, ale była to zbyt elegancka konstatacja, żeby ją marnować na takiego

Börje, więc nic nie odpowiedział, tylko popił łyk czerwonego, wytrawnego wina.

Rzeczywistość

Pociąg dojeżdża do Västerås i zatrzymuje się. Franz J. Lunde wzdycha, patrzy na zegarek, chowa notes i długopis. Wpół do drugiej. Jeśli nie ruszymy w ciągu dziesięciu minut, nie odwiedzę mojej kochanej mamy, a pewnego pięknego dnia wyzionę ducha w pociągu,

Mija go dobrze zbudowana dama i pyta, czy miejsce obok jest wolne. JLF odpowiada, że żona wyszła na chwilę przypudrować nos i zaraz wraca. Dama mamrocze coś pod nosem i idzie szukać dalej.

JLF próbuje sobie wyobrazić, że Marie-Louise naprawdę jest w toalecie w drugim końcu wagonu, pudruje nos i że za moment wróci i usiądzie obok niego. Prawie że widzi jej blond włosy, wysoko uniesioną głowę i zblazowane niebieskie oczy. Szczególnie kiedy patrzą na niego, zwłaszcza w ostatnich latach (czternastu z piętnastu). Kiedy po raz pierwszy się spotkali w hotelu na Krecie, miały ten blask, wtedy został trafiony. Ale to dawne dzieje.

Czy rzeczywiście tak było? Pyta samego siebie i widzi za oknem małego, szarego ptaszka. Został trafiony strzałą miłości? Czy naprawdę byłem tak szaleńczo zakochany?

Pewnie tak, dochodzi do tego gorzkiego wniosku i odprowadza wzrokiem palącą parę w jaskrawokolorowych dresach i sportowych butach, przechadzającą się wzdłuż peronu. Jeśli miałbym trochę więcej rozumu i zdrowego rozsądku, nic by się nie wydarzyło.

A mimo to narodziło się coś trwałego.

Viktoria. Jego wspaniała córka. Ma dwadzieścia siedem lat, mieszka w kantonie włoskim, w małej alpejskiej wiosce, ze swoją ciemnoskórą małżonką, również kobietą. *O tempora, o mores.*

Sens mojego życia, zdarza mu się, że myśli: moja śliczna i dobra Viktoria.

Ale o nieżyjących nigdy źle. Nawet o przedwcześnie zmarłej żonie. Jej zblazowany wzrok zgasł raz na zawsze. Jaki jest jednak sens siedzieć w pociągu w jednym z najbrzydszych miast Szwecji (tak wyczytał w gazecie) i z herbarium pamięci wyciągać Marie-Louise Rinckenström. Nigdy nie przyjęła jego nazwiska, nawet tego nie rozważała. To było bardzo nieudane małżeństwo. *Let bygones be bygones.*

A może po prostu zniknęła? Do tej pory nie może się zdecydować, jak to nazwać.

Po raz kolejny wzdycha, przymyka oczy i próbuje przywrócić do życia Johna Leandera Franzéna. Trwa to chwilę, ale mu się udaje.

Ostatnie dni i śmierć literata

John Leander Franzén spojrział na swoją twarz w lustrze w łazience. Jeślibym nie wiedział, że mam pięćdziesiąt dwa lata, dałbym sobie pięćdziesiąt pięć, pomyślał, a nawet sześćdziesiąt?

To skóra zdradzała jego wiek. Mimo iż opalona (tydzień na Fuertaventurze pod koniec września), była szara i cienka. Włosy, przez tyle lat ciemne i grube, teraz zniszczone i pozbawione życia. W większości siwe. W najlepszym razie wypłowiwały. Oczy wodniste i wyłupiaste. Wargi popękane, nos jakby większy.

Cofnął się kilka kroków i doszedł do wniosku, że z odległości jest przystojny. Przy słabym świetle nawet niczego sobie.

Najlepiej wyglądał, jak jest ciemno, pomyślał. Wieczorem przy barze. W sypialni oświetlonej jedną świecą. W takich okolicznościach człowiek coś znaczy. Światło dzienne to przereklamowany fenomen.

Westchnął i znów poczuł zgagę. Mógł zrezygnować z tego kieliszka ginu. Ale Börje nalegał. Kieliszek czystego spirytusu niby pomaga w lepszym trawieniu, ale w przypadku JLF to nie działa.

Niech się wstydzą ci, którzy się poddają, ćwiczenie czyni mistrzem.

Wyszedł z łazienki i usiadł przy starym angielskim biurku. Ciemny intarsjowany dąb, kupiony w domu aukcyjnym Bukowski, liczący dwieście lat. Wyjął kalendarz. Tak jak myślał, pięć spotkań jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Mimo iż w ciągu ostatnich paru lat nie wyprodukował nic nowego. Człowiek jest ceniony i szanowany. Potrafi pisać i mówić. Nie każdy ma to szczęście.

Ziewnął, włączył suitę Bacha (w każdym pokoju głośniki, nawet w kuchni) i wskoczył do łóżka.

Ceniony i szanowany. Jeszcze raz sobie o tym pomyślał, tak dla pewności, puścił bąka i zasnął.

3

Rzeczywistość

Franz J. Lunde przygląda się matce.

Siedzi w bujanym fotelu i wpatruje się w swoje dłonie. Nie wiadomo, czy się w ogóle zorientowała, że przyjechał. Do końca odwiedzin została jeszcze godzina. Na ostatnich kilometrach do Sztokholmu pociąg nabrał szybkości, więc z dworca wziął tak-sówkę i jest tutaj. Czekaając, aż matka podniesie wzrok, rozgląda się po dobrze znanym pokoju. Idea była taka, żeby pensjonariusze mogli umeblować swój pokój według własnego gustu, drobiazgami z dawnego życia: stół, krzesła, obraz, dywan... by nić łącząca ich z przeszłością nie została brutalnie przerwana. Jednak ją to nic nie obchodziło. Jedyne, co z sobą zabrała, to fotel bujany, w którym teraz siedzi, ale i to z inicjatywy Franza, i makatkę wiszącą nad łóżkiem. Zawsze go irytuje wyszyty na niej napis, podobnie jest i tym razem.

*Kto życie w pokorze przyjmuje,
Ten szczęściem się rozkoszuje.*

Wyblakłe, czerwone, zdobne litery na żółtym tle. Sprana, niewykлучzone, że wyszyła ją jego prababka. Albo wyhaftowała, nieważne. Ale równie dobrze mogła być kupiona na jakiejś wyprzedazy po zmarłym właścicielu. Matka zawsze lubiła porządkować i upiększać świat wokół siebie i nie ma w tym nic złego.

Jednak pokorą nigdy nie grzeszyła, szczególnie odkąd straciła kontakt z otaczającym ją światem. Franz wzdycha i zastanawia się, co on tu, u diabła, robi. To wciąż powracające pytanie, a najlepsza odpowiedź, jaką znajduje, jest katolicka. Odwiedziny matki to jego pokuta. Chociaż grzechy, za które szuka przebaczenia, nie mają z nią nic wspólnego. Pewnie podobnie jest z prawdziwymi katolikami. Te prymitywne porównania to teatr wszystkich religii. Krótko mówiąc, wolne myślenie w tym wyjałowionym świecie jest niemożliwe.

- Niech ci się nie wydaje, że nie wiem.

- Co...?

Budzi się z zamyślenia i widzi, że matka mu się przygląda.

- Dobrze rozumiem.

Zastanawia się, czy ona w ogóle wie, kim on jest, czy może bierze go za kogoś innego. Za swego zmarłego męża, na przykład, a jego ojca, Larsa-Lennarta. Albo za swojego starszego brata, stryja Ernesta, który wciąż żyje i z którym zawsze miała trudne relacje. Który ma ośmioro dzieci i od prawie pół wieku mieszka w Salt Lake City. Krąży plotka, że jest mormonem. Może ma nawet więcej niż jedną żonę, w każdym razie tak głosi inna plotka.

Już nie raz pomyliła go z Ernestem, ale jest mu to obojętne. Matce mylą się prawie wszyscy. Kiedyś wzięła go za Wiktorię, wnuczkę, z którą nigdy nie miała bliskich relacji, jego jedyną ukochaną córkę, a wtedy miarka się przebrała. Powiedział, żeby się zamknęła, i wyszedł.

- Co takiego rozumiesz, mamó?

- Nie nazywaj mnie mamą. Dzieci mają mamy, dorośli mężczyźni mają matki.

- Dobrze, kochana matko.

- Kochana matko, tak się zaczyna mój list... jak to one się nazywały?

- Kto?
- No te, co tak śpiewały.
- Masz na myśli Dziewczyny z Göinge?
- No przecież mówię.
- Powiedziałaś, że coś rozumiałaś...
- Tak powiedziałam?
- Co takiego rozumiałaś?

Matka pochyła się do przodu i zaczyna mu się przyglądać. Jakby go penetrowała wzrokiem.

- Już rozumiem, dlaczego cię zostawiła.
- Marie-Louise?

- Tak, Marie-Louise. A miałaś więcej kobiet, które cię zostawiły?

Nadzwyczaj trzeźwa na umyśle, konstatuje. Wie, kim jestem i jak miała na imię moja żona.

- Mamo, Marie-Louise nie żyje. Nie zostawiła mnie.

A raczej zniknęła. Ale ten komentarz zostawia sobie.

- Przecież wiem. Najpierw cię zostawiła, a potem zmarła. Nie nazywaj mnie mamą. Dzieci mają mamy.

- Wiem, matko.

Kobieta potrząsa głową.

- Jasne, że cię zostawiła. Pewnie już nie mogła z tobą wytrzymać.

JLF postanawia to przemilczeć.

- Zawsze byłeś czarną owcą w rodzinie. Co innego twoja siostra. Ona przynajmniej mnie odwiedza.

- Ale...

- Przychodzi prawie codziennie, a ciebie nigdy nie ma.

Co, do jasnej cholery?, myśli. Dlaczego mam tu siedzieć i tego wysłuchiwać? Co jej się roi w tej chorej głowie? Pogodził się z tym, że temat Marie-Louise już od dawna próbuje z nim maglować, jego kiepskie małżeństwo i jej ewentualną śmierć

też, ale to, że jakby nigdy nic znów dobrze mówi o swojej synowej, to zaskoczenie. I w dodatku chwali jego siostrę, która nigdy nie kiwnęła nawet palcem. Przecież są jakieś granice, ileż to można znosić? Rośnie w nim złość i wstaje.

- Kochana matko, przepraszam, ale mam ważne spotkanie.

- Nigdy nie masz czasu...

- Pozdrów Linneę, kiedy się tu pojawi. Dawno jej nie widziałem, ale cieszy mnie, że się o ciebie tak troszczy i tak często cię odwiedza.

Ta złośliwość jest trochę niepotrzebna.

- Idź już sobie i zapomnij o mnie.

- Adieu, kochana matko.

Odwraca się na obcasie i wychodzi. I pomyśleć, że Dziewczyny z Göinge mogą ściągnąć przeszłość.

Ostatnie dni i śmierć literata

John Leander Franzén przesiedział trzy dni w swoim gabinecie z widokiem na Kastelholm i Gröna Lund i nie napisał ani jednej linijki. Czwartego dnia przed południem wziął się w garść i stworzył następujące zdanie:

Kto nocą opuszcza dom i wędruje ku wschodzącemu słońcu, wcześniej czy później spotka drugiego człowieka.

Przeczytał je głośno i nagrał na magnetofon, który kiedyś kupił we Włoszech. Wysłuchał uważnie, ale nie spodobało mu się frazowanie, spróbował jeszcze raz i dopiero przy piątej próbie był zadowolony. Przeniósł nagranie do komputera, gdzie już miał kilkadziesiąt podobnych sentencji, i postanowił wyjść na lunch.

W planach był gros, czyli sto czterdzieści cztery napuszone zdania, które miały podsumować nie tylko jego twórczość, ale również dwa i pół tysiąca lat humanizmu estetycznego. Lubił to

sformułowanie: humanizm estetyczny. Podobał mu się również pomysł, żeby ta cienka książka w pięknej szaroniebieskiej oprawie stała się lekturą obowiązkową dla licealistów nie tylko w Szwecji, ale i na całym kontynencie, oraz żeby czytanie przez siebie własnych książek stało się kamieniem milowym słowa mówionego i żeby było emitowane w radiu w szczególnie doniosłych momentach historii. Na przykład w sylwestra, tuż przed wybiciem północy. Na książęcych ślubach. Na wojnach i tym podobne.

Szedł przez Slussen w przeszywającym wietrze, minął wiekowe budynki i skierował się na Österlånggatan do restauracji Tradycja. Placki ziemniaczane, pomyślał. Albo metka z ziemniakami i z koperkiem. Duże piwo. Porządne domowe jedzenie dla prawdziwych artystów płci męskiej.

Rzeczywistość

Cholerny zarozumialec, myśli Franz J. Lunde i zamyka notes. Męski szowinista i narcyz. Ale świetnie, to będzie powieść fatalistyczna, napisze tyle, ile zdoła, a ma już trzynaście stron.

Chociaż metka nie byłaby zła.

Przez dwie godziny siedzi Pod Kasztanem, w swoim ulubionym lokalu, i pisze. Wypija cztery albo pięć filiżanek kawy i lekkim skinieniem głowy wita się z kilkoma znajomymi. Podobnie jak on literatami. Wszyscy rozumieją, że pracuje, więc mu nie przeszkadzają, zostawiają go w spokoju.

Tradycja musi poczekać. Więc zadawała się kanapką w swoim M-2 na Prästgatan. W programie ma spotkanie w bibliotece miejskiej w Västerås. Wszystko w swoim czasie.

Ostatnie dni i śmierć literata

I znów się pojawiła.

Kiedy usłyszał jej pytanie, nagle coś się stało z jego percepcją. Zakłócenia neuroprzekaźnikowe w mózgu, przez chwilę wydawało mu się, że zaraz straci przytomność. Upadnie na oczach siedemdziesięciu wiernych czytelników w Bibliotece Miejskiej w Västerås.

Na szczęście tak się nie stało. Obiema rękoma przytrzymał się krzesła, na którym siedział, i po kilku sekundach wszystko wróciło do normy. Chwycił szklankę z wodą i wypił kilka łyków. Dłonią zaczął szukać okularów w kieszeni koszuli, ale przypomniał sobie, że są w teczce.

- Panie Franzén, w jednej ze swoich książek opisuje pan morderstwo doskonałe, kiedy to czytałam, miałam nieodparte wrażenie, że brał pan w nim udział. Czy może pan to jakoś skomentować?

Dokładnie tak powiedziała. Może użyła trochę innych słów niż w Ravmossen, ale o to samo chodziło i to ta sama kobieta. Siedziała w ostatnim rzędzie, nawet się podniosła, kiedy zadawała pytanie, ale prowadzący nie zdążył podać jej mikrofonu. Zresztą nie było takiej potrzeby, jej głos był wyraźny i donośny, tak jak poprzednim razem. Piękny, dystyngowany alt. Może jest aktorką?

W sali zaległa kilkusekundowa cisza, a on walczył, żeby nie zemdleć. Prowadzącemu nie przyszło jednak do głowy, żeby

zainterweniować. Zresztą sam próbował się wydostać z tarapatów.

- Przepraszam, ale to nagły spadek cukru. Niestety, nie mam żadnego komentarza... poza tym, że to oczywiście jakieś nieporozumienie. Dziękuję za uwagę.

Bukiet kwiatów i album miasta, a potem do widzenia. Kiedy opuścił bibliotekę i w rzęsistym deszczu uszedł pięćdziesiąt metrów, zorientował się, że wcale nie idzie w kierunku stacji. Stanął i poczuł, że zaraz zwymiotuje, na szczęście schował się za krzakiem i wyrzucił z siebie większość tego, co zjadł w ciągu dnia. Strawioną metkę. I ziemniaki z koperkiem.

Pół godziny później, kiedy już siedział w pociągu, zatęsknił za odrobiną whisky i zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi.

Rzeczywistość

Franz J. Lunde też się nad tym zastanawia. W zasadzie siedzi w tym samym pociągu, wprawdzie nie wymiotuje, ale wszystkie wieczorne wydarzenia i jego stan psychiczny są identyczne jak u jego alter ego. Czyta to, co napisał. Kontynuować?, pyta samego siebie. Do czego to wszystko zmierza?

Czuje, jakby nagle stracił dystans do swojego fikcyjnego bohatera, psychopaty i narcyza, Franzéna. Czy czytelnik nie zorientuje się, że chodzi o niego? Że ta dziwaczna powieść to nic innego jak kiepsko maskowana autobiografia? Krążąca w jakiejś pustce, która w rzeczywistości jest czarną dziurą.

Może jednak nie. Kiedy przed stacją w Bålście pociąg zwalnia, nie ma jeszcze pewności. Ale nie to jest ważne, tylko ta szalona kobieta, która dwa razy w ciągu jednego tygodnia miała czelność zadać mu to impertynenckie pytanie. Jakby go oskarżała o dokonanie morderstwa.

- Jasna cholera - klnie Franz J. Lunde.

Tym razem też nie zdążył jej zobaczyć. Że też nie pamiętał, żeby wziąć ze sobą okulary. Nie miał ich na nosie, bo woli nie widzieć swoich słuchaczy nazbyt wyraźnie. Ale na przyszłość będzie wiedział.

Na przyszłość? Tak, ma nieodparte wrażenie, że tak łatwo jej się nie pozbędzie.

Kim ona jest? Kim ona, do cholery, jest?

I dlaczego pojawia się właśnie teraz, w te deszczowe jesienne dni? Od ukazania się książki minęło dwa i pół roku, i już jakiś czas od... nie, takie myślenie nie ma sensu. Co się stało, to się nie odstanie.

Sam nie wie, co o tym myśleć, ale kiedy wróci do domu, trochę whisky single malt od razu rozjaśni mu w głowie. Coś się święci, musi się nad tym dobrze zastanowić.

Krótko mówiąc.

Może powinien sobie przypomnieć, co się faktycznie wydarzyło. Każdy szczegół, cały przebieg. Rozmowę w kawiarni, losowanie i tak dalej. Sięgnąć pamięcią wstecz i napisać to od nowa.

Stare mięso ubrać w fałszywe słowa, to jedyne, co może teraz zrobić.

A może nie? Może zostawić to w spokoju?

Ostatnie dni i śmierć literata

I znów w domu, w swojej twierdzy na Söder. John Leander Franzén nalał sobie whisky z wodą i rozsiadł się w głębokim fotelu. Bezpieczny jak dziecko w macicy matki - ukradł to wyrażenie jakiemuś francuskiemu pisarzowi; mali pisarze pożyczają, wielcy kradną - przeniósł się myślami dziesięć lat wstecz.

Göteborg. Targi książki. Noc z soboty na niedzielę, nieco odosobnione miejsce na parterze hotelu Gothia. Tylko on i stary poeta; reszta podpitych pisarzy drugiego sortu, obu płci, już się rozeszła jakiś czas temu. Dochodziła druga w nocy. Każdy ze swoim piwem. Poeta niechlujny i zgorzkniały. Na policzku miał kurzajkę, której trudno było nie zauważyć. Jeszcze na tyle przytomny, żeby śledzić tok myśli.

JLF był mniej więcej w tym samym stanie. Ale bez kurzajki i niezgorzkniały; przecież jest popularny. Píše powieści, które ludzie czytają.

- Napisałem szesnaście zbiorów wierszy - wymamrotał tamten markotnie. - Żaden nie sprzedał się w nakładzie większym niż pięćset sztuk. Ostatnie zaledwie dwieście. A dzisiaj, na tym cholernym obiedzie posadzili mnie... chik, przepraszam... posadzili mnie obok królowej kryminału, dwudziestoosmioletniej cyncatej blondyny, dopiero co zadebiutowała i już sześćdziesiąt tysięcy! W twardej oprawie, i co ty na to?

- Na zdrowie! - odpowiedział JLF. - Do diabła z kulturą na tym pieprzonym padole łez.

- Ludzie to idioci - skonstatował poeta i beknął. - Szczególnie ci, którzy czytają książki.

- Oczywiście oprócz tej garstki, która czyta poezję? - zapytał JLF.

- Strzał w dziesiątkę - odparł niedoceniony wierszokleta. - Ale trzeba ci wiedzieć, że to głównie poeci kupują swoje książki. Zresztą większość to też idioci.

- Tak, człowiek ma przechlapane, jak się nad tym bliżej zastanowić - powiedział JLF.

- Więc teraz zamierzam napisać kryminał.

- Co?

- Powieść kryminalną... zanim wyciągnę kopyta. Żeby pokazać tym idiotom, że... że...

I tu stracił wątek. Dziwne, że po tylu latach JLF pamiętał taki mało istotny szczegół, był pijany, a tak mu się to wryło w pamięć. Może właśnie najbardziej zapamiętuje się taką nic nieznaczącą paplaninę.

- Masz już jakiś pomysł? - zapytał JLF po chwili przerwy na łyk piwa. Nie żeby był jakoś szczególnie zainteresowany jego bełkotem czy jego pomysłami, po prostu nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Padniesz trupem, jak się dowiesz. Zbrodnia doskonała, coś w tym rodzaju.

Niech cię szlag, pomyślał JLF. Ty zadufany dupku. Ale odpowiedział tylko:

- Interesujące.

Poeta porządnie odchrząknął, wyprostował się i zaczął mu się dokładnie przyglądać. Przeszywał go wzrokiem, jakby nagle wytrzeźwiał. Aż dziwne, że możliwa jest aż taka metamorfoza.

Potem zaczął opowiadać.

O zbrodni doskonałej. Która zostanie popełniona w jego debiucie.

Nie była aż taka zła, jak się obawiał.

Rzeczywistość

Ostatnie strony Franz J. Lunde czyta trzy razy.

Całkiem niezłe, myśli. Zamiast whisky pije czarną herbatę, może dlatego. Jego wypłowywały poeta jest częściowo fikcyjny. Göteborg, hotel Gothia i targi książki też. Czas jest nieistotny, a już zorientowanie się, kto jest kim w tym tłumie literatów i dziennikarzy, raczej niewykonalne. Trudno pamiętać, z kim się rozmawiało czy co powiedziało, nie po tylu latach. To jak zaplombowana skrzynia na dnie morza.

Jednak chwilę po tej konstatacji pojawia się zwątpienie. Czy to rozsądne, żeby tę historię opisać i wydać? Nagle przypomina mu się pewien holenderski pisarz, który w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku napisał powieść o zamordowaniu własnej żony, a kilka lat później został skazany za zabicie żony. Dokładnie w taki sam sposób jak w książce. Sprzedał dom, a kiedy nowy właściciel kopał ogródek, znalazł ciało. Czasami rzeczywistość to dla poważnych twórców pole minowe, czasami w swojej nadgorliwości mogą znaleźć się po niewłaściwej stronie.

Ale, do cholery, wystarczy tylko rozwiązać wszystkie wątpliwości i znaki zapytania! Zawsze można dokonać poprawek i zmian. Albo spalić to gównem. Ale teraz trzeba kontynuować. Przyjdzie czas, przyjdzie rada.

Zbliża się północ, ale jutro nie ma nic w planach. Następne spotkanie dopiero za trzy dni, więc może jeszcze popracować godzinę, dwie. Kobieta z Ravmossen i Västerås przeszkadza mu się skupić, więc próbuje ją wyrzucić ze świadomości. Cholerna babo, myśli, czego ty ode mnie chcesz? Robię z ciebie literaturę, więc trzymaj się ode mnie z daleka! Już odegrałaś swoją rolę.

Dream on, you old fucker. Robi parę okrążeń w pokoju, wygląda przez okno na czarne, nocne niebo i wieżę kościelną. Przez chwilę myśli o muzyce Bacha, robi sobie herbatę z odrobiną rumu i liczy strony.

Siedemnaście. Na razie napisane odręcznie, ale w druku nie powinno być mniej niż piętnaście.

Świetnie, myśli Franz Josef Lunde. Jedna czwarta, jeśli się zadowolić dolną granicą. Idzie jak po maśle. Bierze porządny łyk herbaty, stymulując ośrodkowy układ nerwowy, i wraca do pisania.

Ostatnie dni i śmierć literata

- Idę z duchem czasu - powiedział poeta. - Nie wiem, czy się nad tym zastanawiałaś, ale w ostatnich latach problematyka alibi radykalnie się zmieniła.

- Problematyka alibi? - JLF masował sobie skronie, próbując się skoncentrować.

- Problematyka alibi, dobrze usłyszałaś. W dzisiejszych czasach nie chodzi o to, gdzie w danym momencie był sprawca, tylko gdzie były jego komórka i jego karta kredytowa.

- Hm? - zastanowił się JLF.

Poeta spojrzał na niego spod krzaczastych brwi, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie rzuca pereł przed wieprze. Ale najwyraźniej był tak pełen podziwu dla swojej eleganckiej intrygi, że nic nie mogło go zatrzymać, delikatnie dotknął kurzajki, wypił łyk piwa i kontynuował:

- Załóżmy, że masz sprzątnąć kogoś niepożądanego, dajmy na to w Östersund. To może być ktokolwiek, była żona, jakiś skurczybyk, któremu jesteś winien pieniądze, albo ktoś, kto ci załazł za skórę. W twoim gadzim mózgu zaczyna się panoszyć Nemezis, ale problem zaczyna się wtedy, kiedy okaże się, że znasz denata, może to być on czy ona, nieważne, więc kiedy policja znajduje trupa, możesz być pewien, że cię wezwą na przesłuchanie, masz to jak w banku. Prawie wszyscy zamordowani mają jakiś związek ze sprawcą, rozumiesz?

- Rozumiem - zapewnił go JLF. - Kontynuuj. Na zdrowie.

- Na zdrowie. Żeby się wywinąć ze szponów wymiaru sprawiedliwości, potrzebujesz alibi. Musisz po prostu udowodnić, że nie było cię tam, gdzie dokonano tej ohydnej zbrodni, i dlatego nie mogłeś jej popełnić, rozumiesz?

- To jasne jak słońce.

- Dobrze. Im dalej znajdujesz się od miejsca przestępstwa, tym lepiej dla ciebie. Załóżmy, że morderstwo popełniasz w Östersund... trzymajmy się tego miejsca, żeby się nie pogu-

bić... w czwartek wieczorem, w listopadzie, więc w tym czasie musisz być w Malmö. *Do I make myself clear?*

Dokładnie tak się wyraził, ten stary osioł. *Do I make myself clear...* JLF pamięta, jakby to było wczoraj.

- Jasne, że tak - odpowiedział JLF z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. - Przecież nie urodziłem się wczoraj. Poza tym nawet imbecyl by to zrozumiał.

- Wyśmienicie, wybornie - zapał z zachwytu poeta. - Więc chcesz się pozbyć byłej żony w Östersund, dlatego siedzącego tu przed tobą wynajmujesz jako pomocnika.

Nigdy w życiu nie wynajęłbym poety, pomyślał JLF. Nawet do pomalowania kibla. Jednak nie skomentował tego, mając świadomość, jak poeci są wyczuleni na własnym punkcie.

- Więc żeby zabić żonę w Östersund, najpierw kupujesz bilet lotniczy do Malmö. Twój pomocnik, to znaczy siedzący tu przed tobą, w tym samym czasie kupuje bilet do Östersund. Sprawdzamy, czy nasze loty są mniej więcej w tym samym czasie. Z tego samego lotniska, ma się rozumieć. Robimy check in, idąc do swoich gate'ów, spotykamy się i zamieniamy biletami. Telefonami i kartami kredytowymi też. Podążasz?

- Naturalnie. Na zdrowie.

- Zdrowie. Po tej małej zmianie tożsamości... no właśnie, chodzi o zmianę tożsamości... lecisz do Östersund i w spokoju dusisz małżonkę. Albo walisz świecznikiem w głowę, jak wolisz. Rezerwujesz hotel na moje nazwisko, oczywiście wcześniej, używasz mojej karty kredytowej i dzwonisz z mojej komórki, a... dwa dni później wracasz pociągiem do Sztokholmu. W tym czasie...

- W tym czasie ty jesteś w Malmö jako ja - dokończył JLF, żeby pokazać, że wie, o co chodzi. - Używasz mojej karty kredytowej, a z komórki wysyłasz kilka SMS-ów. I... w ten sposób zapewniasz mi alibi. No, niech mnie szlag, nieźle to wykombinowałeś.

- Tylko nieźle? - westchnął poeta. - Ładna mi pochwała. To najwspanialsza intryga od *Morderstwa w Orient Expressie*, jeśli mi to ukradniesz, to cię zabiję.

- Dzięki - odparł JLF. - Czuję się zaszczycony. Naprawdę.

Nie wiadomo, czy temat był dalej dyskutowany. Ani czy udało im się zamówić jeszcze po jednym piwie w zamykającym się barze, albo czy na zewnątrz, patrząc na panoramę Korsvägen i Liseberg, zapalili po papierosie, a potem windą udali się do swoich pokoi, walnęli się do łóżek i natychmiast zasnęli.

Ceniony prozaik John Leander Franzén i niedoceniony stary poeta.

W każdym razie poeta zmarł pół roku później i nigdy już nie napisał żadnego kryminału. Siedemnastego tomiku poezji również nie. Ale co zrobić, Bóg dał, Bóg zabrał, podsumował filozoficznie JLF i dolał sobie resztkę whisky.

Wyszedł na swój duży balkon i zapalił cygaretkę. Spojrzał na pogrążone we śnie miasto i zaczął się zastanawiać nad incyden-tem w Ravmossen i Västerås i nad rozmową w Göteborgu i jej konsekwencjami.

To jakieś przekleństwo, stare rzeczy odrodziły się jak Feniks z popiołów, a on nie ma nad nimi kontroli.

Rzeczywistość

Siedzi w samochodzie i przez komórkę rozmawia z córką. Na stacji benzynowej, przy E20; zadzwoniła, kiedy zatankował i chciał ruszyć dalej. Trochę go boli głowa, ale w torbie ma coś przeciwbólowego.

- Tato, martwię się o ciebie.
- Niepotrzebnie - odpowiada. - Nie ma powodu.
- Śniło mi się, że coś ci się stało.
- Sny nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Nie chciał się wymądrzać, chociaż zauważył, że to robi. Czasami Viktoria tak na niego działała. Jakby wciąż chciał ją wychowywać. Oczami wyobraźni widzi, jak potrząsa swoimi blond lokami, mimo iż teraz siedzi w alpejskiej wiosce, ponad tysiąc kilometrów od niego. Franz unosi brwi i się uśmiecha. Rozmowa nie potrzebuje zdjęcia, ale byłoby miło mieć ją na żywo przed oczami.

- Tato, wiem, że sny to nie rzeczywistość. Ale jeśli nic nie znaczą, to po co nam się śnią? Simone mówi, że u niej marzenia są tak samo ważne jak miska ryżu.

Simone to od kilku lat dziewczyna Viktorii. Pochodzi z Zambii. Franz spotkał ją kilka razy, to jedna z najbardziej zakotwiczonych osób, jakie zna. Wszystko jest dla niej proste i łatwe, każde stworzenie ma swoje przypisane miejsce w świecie, wysłała to z mlekiem swojej afrykańskiej matki. Powodzenia i porażki. Klimat i nieszczęścia. Lody pistacjowe i ból głowy.

Nietoperze i infekcje dróg moczowych, i szaleni amerykańscy prezydenci. I marzenia też.

Poza tym Simone Mokwando jest piękna jak bogini. Franz doskonale rozumie, dlaczego córka wybrała ją, a nie jakiegoś lalkowatego reprezentanta płci przeciwnej.

- I niech tak zostanie - odpowiada. - Zapewniam cię, że wszystko jest pod kontrolą. A jak tam w Alpach?

- Bardzo dobrze. Simone ma dwa nowe projekty, a ja więcej klientów, niż potrzebuję.

Artystka i graficzka stron internetowych, myśli Franz J. Lunde, relatywnie popularny literat czasowo w posusze pomysłów. Kto potrzebuje podstarzałego pisarza? Co ja jeszcze mogę dać? Rozmawiają jeszcze przez chwilę, córka zaprasza Franza na święta Bożego Narodzenia, Franz obiecuje, że postara się przyjechać, Viktoria prosi, żeby dbał o siebie.

- Chyba nie planujesz znów zniknąć?

- Absolutnie nie.

To aluzja do okresu sprzed trzech lat, kiedy to zniknął na dwa miesiące. Według oficjalnej wersji: żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, wyjechał do pensjonatu na północ Jutlandii, żeby pisać. Pisać i przeżyć. Miał depresję i myśli samobójcze, ale chciał też sprawdzić, jak to jest zniknąć. Jakby się nie istniało. To motyw wielu jego powieści, ludzie, którzy zaginęli w ten lub inny sposób. Ktoś się odnalazł cały i zdrowy po trzech, pięciu czy nawet dziesięciu latach, ktoś zmarł, a co najmniej dwie osoby, czyli pisarz i czytelnik, nigdy się nie odnalazło. Zanim Franz zniknął, dawał do zrozumienia, że nie będzie go przez pewien czas, najwyraźniej nie nazbyt jasno. Szczególnie Viktorii, która myślała, że odebrał sobie życie. Samolubna pomyłka, bez najmniejszych wątpliwości, jednak po miesiącu, po kilku awanturach, przebaczyła mu.

- Nie zamierzam nigdzie zniknąć - zapewnia ją.

- Ma się tylko jednego ojca, wiesz o tym, a ja chcę go mieć jak najdłużej.

- Będę pamiętał - obiecuje i kończy rozmowę. Kiedy zapala samochód, czuje ciepło na sercu. Niebo pokryło się chmurami, deszcz wisi w powietrzu.

Dwie godziny później jest już w Kymlinge. Mimo że nie ma GPS-a, znalezienie hotelu zajmuje mu nie więcej niż kilka minut. Hotel Bergman. Franz J. Lunde próbuje sobie przypomnieć, kim był ten Bergman. Czy miał jakiś związek z tym reżyserem czy z pisarzem. Bergmanów jest na pęczki w całym kraju. Dziewczyna w recepcji jest bardzo miła i pomocna, pokój też niczego sobie. Na najwyższym piętrze z widokiem na mały plac z rzeźbą jeźdźca i budką z hot dogami. Do spotkania zostały jeszcze cztery godziny, więc zdąży się przespać i wziąć prysznic, a nawet napisać kilka stron. Zaczyna od tego ostatniego.

Ostatnie dni i śmierć literata

Dzień przed brzemieniem w skutki spotkaniem w bibliotece w Kymlinge John Leander Franzén zjadł lunch ze swoim wydawcą, Gustafem Breemem, wschodzącą gwiazdą w świecie wydawniczym, który rok temu opuścił duże wydawnictwo, wziął ze sobą pół tuzina swoich autorów i przeniósł się do znacznie mniejszego, ale renomowanego Clausen & Ringmark, wydającego literaturę piękną. JLF nawet się nie zawahał; pięć z jego siedmiu książek ukazało się dzięki Breemowi - oczywiście dzięki sobie także - poza tym ich współpraca zawsze dobrze się układała. Wprawdzie od dwóch lat nie dostarczył żadnego maszynopisu, ale jak dotąd nie było to przedmiotem dyskusji, jednak czuł, że temat z pewnością zostanie poruszony na lun-

chu w restauracji Opera. W każdym razie przygotował sobie odpowiedź na tę okoliczność, więc kiedy Breem między kęsami łososia grzecznie o to zapytał, JLF odpowiedział.

- Pracuję nad czymś dużym - wyjaśnił i wytarł usta serwetką. - Potrzebuję jeszcze roku albo dwóch, ale nie będiesz zawiedziony, obiecuję. Co najmniej pięćset stron i tak szczegółowy research, że nawet nie masz pojęcia.

- Świetnie - odpowiedział Breem. - Tak myślałem. O czym? JLF odchrząknął.

- Morderstwo Palmego.

Przez moment wydaje się, że Breemowi ość stanęła w gardle.

- Morderstwo Palmego? Myślałem, że już wszystko o tym napisano? Jedno dziwniejsze od drugiego.

- Może, ale różnica polega na tym, że ja rozwiązuję zagadkę. Wskazuję zarówno sprawcę, jak i motyw, z zupełnie innego punktu widzenia, zapewniam cię.

Breem wyglądał na skonsternowanego.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie. Przecież nie zadałbym sobie tyle trudu, jeśli bym w to wątpił. Za kogo ty mnie masz?

- Jasna cholera - odpowiedział Breem. - Nie pozostaje mi nic innego, jak wierzyć ci na słowo. Jesteś gotowy podpisać umowę i dostać jakąś małą zaliczkę?

- Research trochę kosztuje - odparł JLF, na czubek noża nabrawł odrobinę sosu holenderskiego. - Połowa nie byłaby zła.

- Pół miliona? - zapytał Breem ze sceptycyzmem w głosie.

- Druga część, kiedy dostarczę gotowy tekst - doprecyzował JLF i odchylił się do tyłu.

Wydawca chwycił za kieliszek i wziął porządny łyk wina.

- Cholernie drogi ten lunch. Ale zobaczę, co się da zrobić.

W drodze do Kymlinge, kiedy JLF myślał nad ich rozmową, poczuł, jak w ciele rozlewa mu się coś w rodzaju wewnętrznego uśmiechu. Musiał rozgościć się także w jego w gardle, bo nagle, jakby nigdy nic, zaczął śpiewać.

Jak długo statek płynie, tak długo serce bije...

Niech to diabli. Za tydzień będzie miał na koncie pięćset tysięcy nowiutkich banknotów.

Może gdzieś polecieć?, zastanawiał się. Na przykład do Tajlandii i przez rok albo dwa żyć jak król? Wygrzewać się w słońcu i pisać, i być jak najdalej od depresyjnych skandynawskich zimowych ciemności. A potem? Potem, kiedy pieniądze się skończą, pojawić się w Sztokholmie z grubym maszynopisem pod pachą, który wprawdzie nie ma nic wspólnego z morderstwem Olofa Palmego, ale który powali na kolana nie tylko Gustava Breema, ale cały świat literacki. A niech mnie!

Jak długo statek płynie, tak długo serce bije...

Planowanie zostało przerwane tablicą informującą, że do Kymlinge pozostało jeszcze trzydzieści kilometrów. JLF spojrział na zegarek i już był pewien, że przed wieczornym spotkaniem zdąży nie tylko się zdrzemnąć, ale też wziąć prysznic.

I wtedy znów pojawiło się to nieprzyjemne przecucie. Niechciane jak odcisk czy kostucha.

Rzeczywistość

Rozgląda się po sali. Zebrało się już prawie sto osób. Nieźle. Czuje, jak przeszywa go dreszcz. Taki tłum tylko po to, żeby go posłuchać w ten deszczowy listopadowy wieczór. Czytają jego książki, pamiętają ich treść i mimo ciemności, zmęczenia czy długiego dnia pracy opuścili swoje domy i przyszli tutaj, żeby bliżej poznać sprawcę powieści, które poruszają ich do głębi.

A nie? Przecież to prawda? To jeden z takich momentów - na chwilę przed rozpoczęciem wystąpienia, zanim zaczniesz perorować i zatracisz się w dobrze przećwiczonej sztuce wystąpień publicznych, a pełen oczekiwania gwar powoli zacznie cichnąć, by w końcu zgasnąć - który chciałby ubrać w misternie utkaną złotą nić i zachować.

Ale zanim dojdzie do głosu i kiedy moderatorka, kobieta w zielonej długiej sukni i okularach w tym samym kolorze, przedstawia go temu wielogłowemu tłumowi, szatan prawdy znów uderza.

Przecież nie zasługuje na pochwały i honory. Jest w środku pusty. Jego piarstwo to tylko strojenie się w cudze piórka i uwodzicielskie triki. To wszystko to oszustwo, a on jest obłudnym oszustem matrymonialnym i demagogiem najgorszego sortu. To blef.

Nic tylko blef, blef, blef.

- Teraz oddaję głos Franzowi J. Lunde. Ale najpierw poproszę o gromkie brawa! - FJL czeka, aż brawa ucichną, odchrząkuje i zaczyna.

Pięćdziesiąt minut później dopływa do brzegu. Pozostały jedynie pytania od publiczności.

Ale prowadząca proponuje małą niespodziankę. Zamiast pytań z sali, jak to zwykle bywa, wyjmuje małe tekturowe pudełko. Wyjaśnia, że jest w nim około trzydziestu ośmiu pytań od czytelników, część napisana jeszcze przed spotkaniem, część w trakcie. Czy jest gotowy?

Franz J. uśmiecha się na znak, że może zaczynać.

Kobieta unosi wieko, zamyka oczy i wyjmuje kartkę.

- Jak wygląda pana dzień?

To najczęściej zadawane pytanie, odpowiedź zajmuje mu dwie minuty.

- Czy pan zawsze wie, jak się zakończy książka, kiedy pan zaczyna pisać?

Równie częste pytanie. Poświęca na nie około minuty.

- Czy oprócz pana ktoś jeszcze czyta powieść, zanim będzie gotowa?

- Zazwyczaj nie. Ale zdarza się, że mój wydawca chce rzucić okiem.

- Ile czasu zajmują pisarzowi przygotowania?

- To zależy, jaką książkę się pisze.

I tak dalej, jeszcze jakiś kwadrans. Nie liczy czasu, ale po piętnastu, dwudziestu minutach znów się pojawia.

Pytanie tak samo spodziewane, jak i nieoczekiwane.

- Kilka lat temu ukazała się pańska powieść, w której dochodzi do morderstwa. Czytelnik odnosi wrażenie, że brał pan udział w zbrodni. Ciekawie byłoby posłuchać pańskiego komentarza...

Zielona suknia siedzi osłupiała, jakby zapomniała języka w gębie. Jednak Franz J. podświadomie jest przygotowany, więc wyjaśnia, że to oczywiście nieporozumienie. Spogląda na zegarek, żartuje, że pewnie na sali są osoby, które następnego dnia muszą wcześniej wstać, i kończy spotkanie. Dziękuje za uwagę i obiecuje podpisywać książki tak długo, jak będzie trzeba.

Jako podziękowanie dostaje album i butelkę whisky. Podpisuje dziewiętnaście książek, żegna się z zieloną sukienką i wraca do hotelu Bergman.

Kiedy wchodzi do pokoju, jest kilka minut po dwudziestej drugiej. Czuje, że sen szybko nie przyjdzie, więc do szklanki do mycia zębów nalewa whisky. Kładzie się z komputerem na łóżku. Nagle nachodzi go myśl, żeby kilka poprawionych stron o Johnie Leanderze Franzénie wysłać swojemu wydawcy. Dlaczego nie? Z komentarzem, że to dopiero jedna trzecia z sie-

demdziesięciu pięciu stron. Chce w ten sposób pokazać, że pracuje i że na wiosenny jubileusz książka będzie gotowa.

Na pewno. Jeszcze raz czyta *Ostatnie dni i śmierć literata*, nanosi ostatnie poprawki i dolewa whisky, a punktualnie o dwudziestej trzeciej wysłała tekst do Rachel Werner, mówiąc jej dobranoc albo dzień dobry. Jedno albo drugie, w zależności od tego, o jakiej porze czyta maile. Franz J. Leander zna jej zwyczaje, ale zdaje sobie sprawę, że nigdy do końca nie wiemy wszystkiego o drugim człowieku.

Po pięciu minutach, kiedy wciąż leży na łóżku i sączy whisky, słysząc pukanie do drzwi.

GRUDZIEŃ 2019

6

Zeby zdążyć na najwcześniejszy pociąg z Kymlinge do Sztokholmu, Gunnar Barbarotti musiał wstać o wpół do szóstej rano. Stojąc na wietrznym peronie w Skövde i próbując różnych sztuczek, żeby nie zamarznąć na śmierć, zastanawia się, dlaczego ten pieprzony pociąg ma aż pół godziny opóźnienia. Będzie musiał zadzwonić i przełożyć spotkanie o godzinę albo biec przez całą drogę z dworca na starówkę, ciągnąc za sobą walizkę jak ranne zwierzę swoją łapę. To i tak szybciej niż dojazd taksówką.

Na dodatek pogoda w królewskiej stolicy jest tak samo gówniana jak tutaj.

- Dobry Panie - modli się cicho, ściskając dłonie w kieszeni, żeby uniknąć przedwczesnej amputacji - Ty, który masz władzę nad wszystkim i który przez tyle lat zawsze byłeś wiernym rozmówcą, a przynajmniej słuchaczem, spraw, aby ten pieprzony pociąg w końcu przyjechał, a obiecuję, że przez resztę mojego parszywego życia będę popełniał tylko dobre uczynki!

Nie wiadomo, czy to za sprawą modlitwy, ale już dziesięć minut później Barbarotti siedzi przy oknie w wagonie pierwszej klasy, z kubkiem kawy i dwiema babeczkami marcepanowymi w ręku. A może sprawiła to jego nieśmiała wiara czająca się gdzieś w jego głowie? Cierpliwość zawsze zwycięża, pomyślał. Ten, kto od kołyski aż po grób pędzi przez życie, omijając zdradzieckie przeszkody, nic nie zyskuje, bo to nie Pan jest twórcą stresu i pośpiechu.

Wypija łyk życiodajnej kawy i z teczki wyjmuje notatki ze śledztwa.

Zaginienie. To dlatego tutaj teraz siedzi, to z tego powodu dostał trzydniową delegację do Sztokholmu, żeby dowiedzieć się tego i owego. Porozmawiać z kolegami policjantami i osobami, które mogą coś wiedzieć.

Z kolegami policjantami spotykał się już wcześniej. Codziennie i nieustannie przez dziesięć lat. Natomiast jeśli chodzi o wydawcę, to nie może sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał z jakimś do czynienia, w każdym razie nie służbowo. Jednak tym razem chodzi o pisarza.

Który zaginął.

Nazywał się Franz J. Lunde. Barbarotti gdzieś słyszał to nazwisko, ale nie czytał żadnej z jego siedmiu powieści. Próbował wczoraj jakąś znaleźć w księgarni w Kymlinge, ale powiedziano mu, że ostatnia jest z roku dwa tysiące siedemnastego, potem już nic nie wyszło, a poza tym książek teraz nie magazynują. Ale mogą dla niego zamówić. Barbarotti podziękował i pomyślał, że może łatwiej będzie w księgarni w Sztokholmie. Albo bezpośrednio w wydawnictwie.

Zaczął przeglądać raport ze śledztwa autorstwa inspektora Smutasa; wczoraj przed wyjściem z komisariatu dostał do ręki osiem stron tekstu i dopiero teraz znalazł czas, żeby go przeczytać. Smutasowi jako pierwszemu przydzielono śledztwo. A ten zdążył już zadzwonić do córki i siostry, przesłuchał też personel hotelu Bergman i pracowników biblioteki.

W czwartek, dwudziestego pierwszego listopada, znany pisarz Franz J. Lunde odbył spotkanie z czytelnikami w bibliotece w Kymlinge. Jedno z czterech zaplanowanych na sezon zimowy, na więcej zabrakło funduszy. Lunde opowiadał o swoich powieściach, przeczytał kilka stron oraz odpowiadał na

pytania publiczności liczącej około siedemdziesięciu osób. Podpisał książki, dostał w prezencie album miasta i butelkę whisky (prywatnie, nie z budżetu biblioteki) i wrócił do swojego chwilowego miejsca zamieszkania, czyli do hotelu Bergman przy Sko-makargatan. Z relacji recepcjonistki wynika, że około dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt windą pojechał do pokoju.

Do tego momentu wszystko było jasne.

Dopiero tydzień później coś się zaczęło dziać. Córka Lunde, Viktoria, zamieszkała w alpejskiej wiosce we włoskiej części Szwajcarii, zadzwoniła na policję w Sztokholmie, ponieważ przez trzy dni bezskutecznie próbowała się skontaktować z ojcem, a dotychczas zawsze odpowiadał na jej SMS-y i maile. Ich częste kontakty miały związek z tym, co się wydarzyło kilka lat wcześniej, kiedy to Lunde z niewiadomych powodów zniknął na kilka miesięcy i bardzo ją tym przestraszył.

Policja na początku nie potraktowała tego szczególnie poważnie, ale ponieważ Viktoria Lunde naciskała, obiecali sprawdzić, co się stało. Sprawę przydzielono młodej i ambitnej aspirantce policji ze Sztokholmu, Sarze Sisulu, która zabrała się do pracy z wielkim zaangażowaniem. Już po trzech dniach była w stanie postawić hipotezę, że ostatnią osobą, która widziała pisarza żywego, była recepcjonistka hotelu Bergman w Kymlinge, która widziała go dwudziestego pierwszego listopada, kiedy szedł hotelowym lobby do windy. Przez cały następny tydzień, jak wynika z raportu Sary Sisulu, Lunde z nikim się nie kontaktował, nie stawił się również na dwa umówione wcześniej spotkania. Jego komórka i karty kredytowe też w tym czasie nie były używane.

Śledztwo przekazano policji w Kymlinge, najpierw na ręce inspektora Toivonena i Borgsena (szczególnie tego ostatniego, powszechnie nazywanego Smutasem, z powodu jego przewlekłej melancholii). Najprawdopodobniej Lunde zniknął późnym wieczorem, tuż po spotkaniu z czytelnikami. Ewentualnie

wymknął się z hotelu niezauważony wczesnym rankiem; w każdym razie nie był na śniadaniu i nie zostawił w recepcji klucza. Pokój wcześniej został opłacony przez organizatora, więc personel nie miał powodu podejrzewać, że coś jest nie w porządku. A ponieważ w pokoju nie znaleziono jego rzeczy osobistych, uznano, że opuścił hotel z własnej woli. Kiedy następnego dnia o wpół do jedenastej sprzątaczką przygotowywała pokój dla następnego gościa, jego łóżko było nietknięte.

Dziwne, pomyślał komisarz Barbarotti i przerwał czytanie. Przecież nie rozpląnął się w powietrzu. A może właśnie tego chciał? Wyjrzał przez okno i przyszło mu do głowy, że dwa tygodnie wcześniej Lunde mógł siedzieć w tym samym pociągu, co on teraz. Przynajmniej jedna wspólna nić, Sztokholm i Kymlinge, jako punkt wyjścia. Personel hotelowy twierdził, że przyjechał własnym samochodem. Prawdopodobnie volvo C30, zarejestrowanym na jego nazwisko. Potwierdziła to córka, która była pewna, że ojciec rozmawiał z nią z samochodu. Rozmowa miała miejsce w czwartek w południe, dwudziestego pierwszego listopada, prawdopodobnie w drodze na spotkanie z czytelnikami w zachodniej Szwecji. Być może nawet o tym wspominał, ale nie była pewna. Sama doszła do tego wniosku, bo rozmawiali o zupełnie innych sprawach.

Zniknęło też jego volvo, co rodziło wątpliwości, czy to właśnie policja w Kymlinge powinna prowadzić śledztwo.

Komisarz Barbarotti był zdania, że trzeba to wyjaśnić. Może Lunde nie mógł spać i jeszcze tej samej nocy postanowił wrócić do Sztokholmu? Po prostu. Wyjechał po dwudziestej trzeciej, kiedy recepcja zazwyczaj jest pusta, a bar już zamknięty.

Stwierdzić z całą pewnością można jedynie to, że nigdy nie dojechał do domu. Przeszukano mieszkanie na Prästgatan, ale nie znaleziono żadnych śladów obecności po dwudziestym pierwszym listopada.

Może zasnął za kierownicą i zjechał z drogi? Utknął głęboko w lesie i został zasypany śniegiem? W nocy między dwudziestym pierwszym a dwudziestym drugim listopada mocno sypało, przez następne dni także, więc to całkiem możliwe. Samochód z dużą szybkością zjechał z drogi i został przykryty kołdrą śniegu, kierowca poniósł śmierć na miejscu... czyż to nie prawdopodobny scenariusz?

Nawet bardzo, przyznał niechętnie komisarz Barbarotti. Jednak nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek o czymś podobnym słyszał. Zazwyczaj ani samochody, ani ludzie nie znikają w ten sposób.

Nie mam ochoty zajmować się tym śledztwem, pomyślał przez moment. Sprzeniewierzam się własnym zasadom. Jedyne, o czym teraz marzę, to wziąć urlop i znaleźć się w Sydney, wiem, co mi dolega. Brak motywacji.

Barbarotti westchnął i poszedł po kolejną kawę.

Bez ciasnych butów, zdjął je, jak tylko wszedł do pociągu. Nawet jeśli człowiek jest w podłym humorze, to nie znaczy, że musi być masochistą.

God is in the details, czy jak to mówią.

Myśli o Australii miały związek z Evą.

Eva Backman to jego partnerka od dwudziestu lat, koleżanka z pracy od trzydziestu. Dzień przed jego wyjazdem do Sztokholmu Eva udała się w zupełnie inną podróż. Mianowicie do Sydney, a co najgorsze, planuje tam zostać co najmniej sześć tygodni.

A nawet dłużej, wszystko zależy od tego, jak się sprawy rozwiną. W każdym razie nie będzie jej ani w Boże Narodzenie, ani w Nowy Rok, i nie pomogły namowy Barbarottiego, że bez niej uschnie z samotności i ogólnej rozpacz.

Pojechała tam nie bez powodu, a z tym nie mógł już dyskutować. Jak trzeba, to trzeba.

Chodzi o Kallego, trzydziestoletniego syna Ewy, średniego z trójki jej dzieci. Zazwyczaj w tym wieku stoi się już na własnych nogach, ale te ogólne prawdy mają się nijak do ostatnich dwudziestu lat jego życia. Barbarotti dużo o tym z Ewą rozmawiał, kiedy na początku listopada dostała od niego wiadomość. O późniejszym dojrzwaniu, o nadopiekuńczości, o której tak dużo się teraz pisze, wreszcie o coraz łatwiejszym dostępie do narkotyków.

Kalle siedzi w areszcie za posiadanie narkotyków i za pobicie żony.

Żona ma na imię Siren i jest Norweżką. Są razem od kilku lat, ale ślub wzięli zaledwie półtora roku temu - odkąd zamieszkali w Manly nad piękną plażą, na przedmieściach Sydney. Do spółki z inną parą ze Skandynawii prowadzą butik z odzieżą sportową i sprzętem surfingowym.

Ale to niepotwierdzone informacje. Ani Barbarotti, ani Eva nigdy u nich nie byli, wnuka Florala też jeszcze nie widzieli, więc najwyższy czas. Szkoda, że okoliczności najgorsze z możliwych, podsumował Barbarotti gorzko. Jeszcze nie wiadomo, co się tam właściwie dzieje, Eva będzie w Manly dopiero jutro rano. Kiedy siedział w pociągu do Skövde, dostał SMS z Bangkoku, w którym krótko i zwięźle napisała, że musi się zdrzemnąć, czekając na następny samolot, i że jest zmęczona i smutna.

Powinienem z nią pojechać, pomyślał - po raz tysięczny, odkąd kupiła bilet. Nie ze względu na Kallego, Siren czy małego Florala. Barbarotti nigdy nie miał z nimi bardzo bliskich kontaktów. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowili jednak z Ewą, że pojedzie sama. Niezależnie od tego, co podpowiada serce.

On by tylko przeszkadzał.

Nigdy tego nie powiedziała, ale pewne rzeczy najlepiej załatwia się samemu. Oboje musieliby wziąć kilkutygodniowy urlop, co również nie spotkałoby się z entuzjazmem ich szefa, komisarza Stiga Stigmana. Już wystarczająco trudno jest bez jednego z nich, szczególnie teraz, kiedy przestępczość zorganizowana rośnie jak grzyby po deszczu, a każda partia domaga się zaostrzenia prawa i zaprowadzenia porządku.

Ojciec Kallego nie planował podróży do Australii, żeby wesprzeć pogubionego syna. Nawet mu to nie przyszło do głowy, pieprzony dupek. Trzeba być odpowiedzialnym i ponosić konsekwencje własnych czynów, po tym poznaje się prawdziwego mężczyznę.

Jego decyzja wcale Evy nie zdziwiła.

- Zabrał mi dwadzieścia lat życia - skonstatowała, kiedy odłożyła słuchawkę po zakończeniu tej bezsensownej rozmowy.
- Do tej konstatacji wystarczyło dwadzieścia minut.

Pociąg miękko zahamował i zatrzymał się na stacji w Hallsberg. Barbarotti odsunął myśli o Australii i przypomniał sobie nagle, że wiele lat temu w tej małej dziurze prowadził śledztwo w sprawie morderstwa. Albo gdzieś w pobliżu... może w Kumli? Pola śmierci? Okropna historia, ale taka była jego praca - i wciąż jest. Sprzątanie brudów życia, perkele, jak lubił mawiać Toivonen.

Znów westchnął i wrócił do raportu Smutasa, tym razem z aktualnego śledztwa. O zaginięciu pisarza.

Co z nami, ludźmi, jest nie tak?, pomyślał.

Niestety, długo by wyliczać. Bardzo długo.

7

Wydawnictwo Pegaz znajdowało się na Tyska Brinken, nie dalej niż dwieście metrów od mieszkania Franza J. Lundego na Prästgatan, i wbrew obawom Barbarotti zdążył na spotkanie.

Wydawczyni Rachel Werner miała około czterdziestu lat. Przywitała się podaniem ręki i wskazała Barbarottiemu jeden z dwóch foteli, które mogły liczyć dobre sto lat. Zresztą tak wyglądał cały jej gabinet. Barbarotti pomyślał, że idealnie by się nadawał do kręcenia starych kryminałów Agathy Christie. Ciemne regały pełne książek, od podłogi aż po sufit, równie ciemne biurko z nadstawką, perski dywan przykrywający większą część podłogi. Jedyne, co było nowoczesne, jak zauważył, to ekspres do kawy oraz laptop na biurku.

Rachel Werner uśmiechnęła się, jakby czytała w jego myślach.

- Anglofilka - powiedziała, wskazując na siebie. - Dlatego tak tu wygląda. Kawy?

- A nie powinna być herbata? - zażartował Barbarotti.

- Nie jestem fundamentalistką.

- Rozumiem - odparł i zapadł się w fotelu. - Filiżanka kawy nie zaszkodzi.

Kiedys będę musiał powiedzieć „nie”, pomyślał. To już jego szósta albo siódma tego dnia, a minęła dopiero jedenasta.

- Franz J. Lunde - zaczął Barbarotti. - Rozumiem, że chce mi pani coś powiedzieć.

Rachel Werner skinęła głową.

- Nie wiem, czy to coś ważnego. Ale może pomóc.

- Chodzi o coś, co napisał. Dobrze zrozumiałem?

Rachel Werner pokazała ręką na stos kartek leżących na rogu biurka.

- Pomyślałam, że najlepiej, żeby pan sam to przeczytał i ocenił.

- Świetnie - odpowiedział Barbarotti. - Ale pani go zna, więc chętnie usłyszę też pani opinię. O czym to jest?

Wzięła kartki do ręki. Założyła okulary w cienkich oprawkach.

- *Ostatnie dni i śmierć literata*. Taki dał tytuł. To pierwsza część powieści. Sześćdziesiąt siedem stron, które ukażą się w marcu na siedemdziesięciopięciolecie wydawnictwa. Dostałam to mailem jakiś tydzień temu, ale nie miałam czasu przeczytać aż do... no właśnie, aż do przedwczorajszego wieczoru. A następnego dnia telefon od pana. Dziwny zbieg okoliczności, nie uważa pan?

- To prawda - zgodził się Barbarotti. - Co to za historia?

Rachel Werner przesunęła wzrokiem po rzędach książek, zanim odpowiedziała. Jakby zastanawiała się, jakich słów użyć.

- To opowieść o pisarzu, który jesienią jeździ na spotkania autorskie do różnych bibliotek i który wystawiony jest na... nie wiem, jak to określić... na niewygodne pytania. A raczej na jedno niewygodne pytanie. Zadaje je ktoś z publiczności, kto przychodzi na jego spotkania.

- Stalker? - zapytał Barbarotti.

- W pewnym sensie. Chociaż dzieje się to zaledwie dwa razy. W Ravmossen... i w Västerås. Dziwne w tym wszystkim jest to, że jesienią Lunde rzeczywiście miał spotkania w tych miastach. Poza tym...

- Tak?

- Poza tym bohater... John Leander Franzén... jedzie na spotkanie do Kymlinge. To, zdaje się, blisko pana. Pod koniec jest delikatna aluzja, że coś się wydarzy.

Rachel Werner zrobiła pauzę i obrzuciła go oceniającym spojrzeniem. Jakby się chciała upewnić, że zrozumiał. Barbarottiemu przyszło do głowy, że w liceum musiała mieć dwa razy lepsze stopnie niż on.

- I to się stało, tylko z rzeczywistym pisarzem, tak?

- Najwyraźniej.

- Hm. A więc pisarz z powieści to sam autor?

- Na to wygląda. Może nie tyle z charakteru, ile ze względu na okoliczności. Jego bohater to dość niesympatyczny typ. Z wybujałym ego, na granicy z psychopatią. Prawdziwy Lunde jest spokojny i łatwy w kontakcie. Introwertyk, ale nie taki jak inni... hm.

Rachel Werner machnęła ręką w geście ilustrującym, że niełatwo jest być wydawcą, a Barbarotti natychmiast sobie przypomniał, że nieraz słyszał w mediach, jak to znani pisarze biorą się za łby albo krytykują się wzajemnie. I stwierdził, że coś w tym musi być.

- Rozumiem - powiedział, nie wchodząc w szczegóły. - Czyli sugeruje pani, że Lunde opisuje własną rzeczywistość, tak?

Rachel Werner wzruszyła ramionami.

- Mniej więcej. W każdym razie tak to wygląda, wprowadzie nie kontaktowałam się z tymi bibliotekami, ale to raczej pana działka, prawda?

- Oczywiście. Kiedy przysłał ten tekst?

Rachel sprawdziła w komputerze.

- Dokładnie w czwartek o dwudziestą trzecią jeden, dwudziestego pierwszego listopada. Czyli...

- Czyli tego samego wieczoru, kiedy zaginał - dokończył Barbarotti.

- Zgadza się - potwierdziła. - Przyzna pan, że to trochę... dziwne?

- To prawda. Trzeba się temu bliżej przyjrzeć. Jak długo pani zna Lundego?

- Od jego debiutu w dwa tysiące czwartym roku - wyjaśniła Rachel Werner. - Można powiedzieć, że to również mój debiut w branży wydawniczej.

- Ale zdaje się, że w innym wydawnictwie, prawda?

- Tak. Do Pegaza przeszałam pięć lat temu. Mam tu trochę więcej wolności.

- I jak idzie?

- Och, świetnie, dziękuję. Jeden noblista, muszę się pochwalić. Czyta pan?

- Od czasu do czasu - odparł Barbarotti. - Ale pani noblistę czytałem. Wróćmy jednak do Franza J. Lunde, czy ma pani jakiś pomysł, co się mogło stać?

Rachel Werner zastanowiła się chwilę.

- Nie jest divą, jak inni, co więcej mogę o nim powiedzieć? Nieprzewidywalny... tak, to dobre określenie. Zarówno jako pisarz, jak i człowiek. Jego książki bardzo różnią się od siebie, co też jest dość rzadkie. Najczęściej pisarz oscyluje wokół podobnego tematu i ma raczej ten sam styl opowiadania. Styl Lundego bardzo trudno rozpoznać. Oczywiście, może to być na plus lub na minus. Nie mam pojęcia, co się z nim mogło stać. A co sądzi policja?

- Na razie jeszcze nic - odrzekł Barbarotti. - To, co pani mówi, jest dla nas zupełnie nowe, ten tekst i to spotkanie w bibliotece w Västerås, i... gdzie jeszcze?

- W Ravmossen - przypomniała mu Rachel Werner. - Mam całą listę jego spotkań jesiennych, to u nas rutyna. Mogę pana skontaktować z tymi bibliotekami. Zakładam, że...

- Dobrze.

- Zakładam, że pan sprawdzi, czy osoba, która zadawała to pytanie, jest fikcyjna czy prawdziwa. Z tekstu wynika, że to kobieta... ciekawe, czy w Kymlinge też się pojawiła? Jestem bardzo ciekawa.

- Jeszcze nic nie sprawdzaliśmy - powiedział Barbarotti. - Jak już mówiłem, dla nas to zupełnie nowa informacja. Nie było powodu, żeby sądzić, że zniknięcie Lundego mogło mieć związek z którymś z tych spotkań.

- Aż do teraz? - zapytała Rachel Werner i ściągnęła usta.

- Tak, jesteśmy na razie w punkcie zerowym, jeśli mogę się tak wyrazić - odpowiedział Barbarotti. - Niestety.

Lepiej późno niż wcale, nie od razu Rzym zbudowano, skonstatawał, kiedy godzinę później zameldował się w hotelu Skeppsholmen. Poinformował Rachel Werner, że się do niej odezwie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Po przeczytaniu *Ostatnich dni i śmierci literata* i po skontaktowaniu się z biblioteką w Ravmossen i w Västerås. Może zjedzą razem lunch, dlaczego nie?

Dlaczego nie, pomyślał Barbarotti. Ale najpierw muszę zająć się resztą.

Do następnego spotkania z aspirantką Sarą Sisulu i z siostrą Lundego, mieszkającą w Lulei, zostały mu dwie godziny. W komisariacie w Kungsholmen, w którym ostatni raz postawił stopę dwadzieścia lat temu.

Sprawdził, czy Eva nie przysłała żadnej wiadomości, położył się na łóżku i zaczął czytać.

John Leander Franzén to nie tylko pisarz. Ale również narcyz na granicy z psychopatą.

Coś mi się wydaje, że to nie będzie zwyczajne śledztwo, pomyślał po przeczytaniu dwóch pierwszych stron. Dziwne, to za mało powiedziane.

Gabinet Sary Sisulu w Kungsholmen był przeciwieństwem gabinetu Rachel Werner, ale trudno się spodziewać czegoś innego.

Sama aspirantka też była bardziej wyrazista. Zarówno jeśli chodzi o kolor skóry, jak i o ubranie. To pierwsze było ciemne, to drugie pomarańczowe i żółte. Tak dalekie od tradycyjnego uniformu policyjnego, że aż trudno to sobie wyobrazić i Barbarotti pomyślał, że gdyby miał trzydzieści lat mniej, natychmiast by się jej oświadczył. A przynajmniej zaprosiłby ją na kolację.

Ale jako że okoliczności nie sprzyjały takim chłopięcym marzeniom, w cywilizowany sposób przywitał się z aspirantką, a potem z siostrą Franza J. Lunde. Miała około czterdziestu lat, była szczupła i przypominała mu pewną sportsmenkę, której nazwiska nie pamiętał. Nie wyglądała jednak na osobę, która mogłaby wygrać maraton czy na przykład skok wzwyż, a raczej na kogoś, kto zajął ostatnie miejsce albo został zdyskwalifikowany za doping.

Nie mam żadnych hamulców, pomyślał Barbarotti i podziękował za siódmą już dzisiaj kawę.

- Ale chętnie trochę wody.

- Wody nam nie brakuje - zapewniła go aspirantka Sisulu i wyjęła wodę gazowaną. - Zaczynamy, dobrze?

- Świetnie - powiedziała Linnea Lunde, obecnie Närpi. - Będę wdzięczna, jeśli to nie zajmie dużo czasu.

- Rozumiem, że pani przyjechała aż z Lulei - powiedział Barbarotti - ale mam nadzieję, że nie zamierza pani już dziś wracać?

- Jutro rano - wyjaśniła Linnea Närpi z lekką irytacją w głosie. - Pozałatwiam tu jeszcze inne rzeczy, skoro już jechałam

taki kawał drogi.

Twój brat zaginął, może nawet nie żyje, pomyślał Barbarotti. Nie widać, żeby to cię jakoś specjalnie zmartwiło.

- Przydzielono mi tę sprawę - powiedziała Sara Sisulu. - Ale zdaje się, że teraz to wy ją przejmiecie, prawda?

Barbarotti uprzejmie skinął głową.

- Na to wygląda. To smutna historia, mam nadzieję, że Franzowi Lunde nic się nie stało. Ale zaginął u nas, w Kymlinge, więc to nasza inicjatywa.

Nasza inicjatywa, pomyślał Barbarotti. Skąd mi się to wzięło? Zabrzmiało jak jakiś polityczny bełkot.

- Nie sądzę, żeby to było tak poważne, jak sobie wyobrażacie - wyrzuciła z siebie Linnea Närpi. - To nie jego pierwszy raz. Nie wiem, czy znacie tę historię?

Aspirantka i komisarz skinęli jednocześnie głowami.

- Chodzi pani o poprzednie zniknięcie brata, tak? - zapytał Barbarotti.

- Dokładnie. - Lubi zwracać na siebie uwagę. - Przykro mi, że to mówię, ale mój brat zawsze był bardzo egoistyczny, a szczególnie odkąd został pisarzem.

- Czy mieliście bliski kontakt, jest od pani dużo starszy?

- O dziewięć lat, w ogóle nie mamy kontaktu. Ale mamy tych samych rodziców.

Barbarotti czekał na ciąg dalszy, ale głos zabrała Sisulu.

- Powiedziała pani przez telefon, że nigdy nie mieliście dobrych kontaktów. Myślę, że to ma związek z różnicą wieku...

- Częściowo - zgodziła się Linnea Närpi. - Ale jest jeszcze inny powód.

- Mianowicie?

- Mianowicie jego charakter. Wiem, że to nie zabrzmiało dobrze, ale Franz jest bardzo trudnym człowiekiem. Jedyne, co go obchodzi, to on sam i jego książki. Zawsze patrzył na mnie

z góry i myślę, że innych też tak traktuje. A przynajmniej tych, którzy nie dorównują mu poziomem. Wydaje mi się, że nie ma za wielu przyjaciół. Jediną osobą, która naprawdę się nim interesuje, jest jego córka, Viktoria. Przykro mi, oczywiście lepiej, gdybym mogła powiedzieć, że mamy bardzo bliski kontakt i że się kochamy jak rodzeństwo... ale tak nie jest. I nie ma powodu, żeby to ukrywać.

- A co z mamą Viktorii? - zapytał Barbarotti.

Trochę już wiedział od Rachel Werner, ale zawsze lepiej udawać, że się nic nie wie. Linnea Närpi zrobiła grymas.

- Nie wiadomo, co się z nią stało. Zaginęła kilka lat temu... cztery czy pięć... może zabiło ją jakieś dzikie zwierzę i zjadło, nie wiadomo. Byli na wycieczce, w parku narodowym na granicy między Stanami a Kanadą, a na takich terenach dużo dzikiej zwierzyny. W każdym razie nigdy jej nie znaleźli.

- To straszna historia - powiedziała Sara Sisulu. - Ale brata z nią wtedy nie było?

- Był z większą grupą, siedem, osiem osób. O ile dobrze pamiętam, cztery poszły na wędrowkę. Franz leżał w namiocie. Czymś się zatrul. Jak znam życie, to miał kaca. Nieważne, w każdym razie wróciły tylko trzy osoby. Nic więcej nie wiem. Jak już mówiłam, nie miałam bliskich kontaktów z bratem, jego żonę spotkałam na ślubie, a potem jeszcze dwa razy.

- A Viktoria? - dopytywał Barbarotti. - Ma pani z nią jakiś kontakt?

Linnea Närpi westchnęła.

- Mam czwórkę swoich własnych dzieci. Nie mam czasu na nic innego. Ale Viktoria jest okej... jest lesbijką, zresztą wcale mnie to nie dziwi.

Barbarotti był ciekawy, co oznaczał ten komentarz, ale postanowił nie pytać.

- Czy ten pierwszy raz, kiedy brat zniknął, to było po zaginięciu żony?

Linnea Närpi znowu wydała z siebie westchnienie.

- Dwa, trzy lata po, dokładnie nie pamiętam. Tak, biedna dziewczyna, dosyć miała z nimi problemów... mam na myśli Viktorię.

- Czy rozmawiała pani z bratem, kiedy się odnalazł?

- Raz. Cholerny idiota.

- A potem?

- Wysyłałam mu mail raz w miesiącu. Żeby się upewnić, że żyje.

- Odpisywał?

- Tak. Krótko i wężłowato.

- Nie wysyła pani swoich książek?

- Dostałam dwie pierwsze. Ale mu nie dziękowałam na kolacjach i nie całowałam w rękę, więc przestał przysyłać.

Skrzywiła się, a Barbarotti, który sam był jedynakiem, pomyślał, że może lepiej, że nie ma rodzeństwa. Mimo wszystko.

- Będziemy w kontakcie, jeśli wypłynie coś nowego. Muszę jeszcze zamienić kilka słów na osobności z koleżanką Sisulu.

- Proszę bardzo - powiedziała Linnea Närpi, z domu Lunde, i wstała. - Zakładam, że wystarczy telefon?

- Oczywiście - zapewnił ją Barbarotti.

Rozmowa trwała pół godziny i była dużo przyjemniejsza niż poprzednia. Nawet jeśli nic nowego nie wniosła do śledztwa. Barbarotti opowiedział o spotkaniu z Rachel Werner i o dziwnym maszynopisie Lundego, nie wchodził w szczegóły, bo po pierwsze, sam jeszcze niewiele wiedział, a po drugie, założył, że ta bystra i inteligentna aspirantka i tak nie będzie już prowadziła śledztwa. Dostał od niej kontakty do trzech znajomych Lundego w Sztokholmie: dwóch kolegów po fachu i przyjaciela

z dzieciństwa; Sisulu z wszystkimi zdążyła już porozmawiać i podkreśliła, że koledzy pisarze nie znali Lundego za dobrze i że absolutnie nie byli jego przyjaciółmi.

Pozostał jeszcze Benny Kohlberg, towarzysz ze szkolnej ławy, pięćdziesiąt dwa lata, mieszka na Verkstadsgatan w Hornsull.

I oczywiście Viktoria Lunde, która wieczorem przyleciała z Mediolanu i Barbarotti umówił się z nią na następny dzień rano.

Komisarz podziękował aspirantce Sisulu za jej ogromny wkład i życzył powodzenia. Opuścił okazały, choć nieco zniszczony komisariat i pieszo wrócił do hotelu w Skeppsholmen.

Wciąż żadnej wiadomości od Evy. Ile czasu leci ten cholerny samolot z Bangkoku do Sydney?

Postanowił zjeść wczesną kolację. Na Österlånggatan znalazł restaurację Tradycja wspomnianą w *Ostatnich dniach i śmierci literata*. Pomyślał, że dobrze się składa, żeby właśnie tam usiąść i spokojnie się zastanowić, o co w tym wszystkim chodzi.

Bo pytań było wiele. Czy Franz J. Lunde zniknął z własnej woli? Czy to nie kolejny pomysł szalonego artysty, jak sugerowała jego sceptyczna siostra? Czy to aby dla policji nie strata czasu i pieniędzy?

A może został uprowadzony – przez jednego lub kilku nieznanymi sprawców?

Czy w ogóle jeszcze żyje?

Co kobieta na spotkaniach insynuowała swoim pytaniem?

Miał nadzieję, że Rachel Werner pomoże mu znaleźć odpowiedź, przynajmniej na ostatnią wątpliwość, i sam się zdziwił, dlaczego o to nie zapytał, kiedy się widzieli. Wprawdzie wtedy jeszcze nie znał tekstu Lundego; nalegała, żeby go przeczytał. Może dlatego zaproponowała wspólny lunch?

Ale teraz pora na kolację. *Dinner for one*. Po dokładnym przestudiowaniu karty zamówił placki ziemniaczane z boczkiem i żurawiną i jeśli nawet sam jeszcze nie wiedział, co sądzić o Franzu J. Lundem, to przynajmniej dzięki niemu zagubiony komisarz policji z prowincji znalazł świetną knajpę.

Kiedy opłacił rachunek, przyszła wiadomość od Evy. Że właśnie wylądowała w Sydney i że już tęskni.

Wzmocniony tym wrócił pieszo w lodowatym, północnym wietrze prosto do hotelu w Skeppsholmen. Po drodze zastanawiał się, jak sformułować wieczorną modlitwę do Naszego Stwórcy.

Jakby Naszego Stwórcę najbardziej to obchodziło.

9

Viktoria Lunde chciała się spotkać o pierwszej, więc z lunchu z Rachel Werner nic nie wyszło. Bezpośrednio po rzeźkim porannym spacerze Barbarotti poszedł zatem do Pegaza na Tyska Brinken. Tym razem była herbata. W żółtych kwiecistych filiżankach i czajniku produkcji angielskiej z czarów wiktoriańskich.

- Dziękuję, że pani znalazła czas. Nie wiem, co sądzić o tekście Lundego. Wydarzenia jakby żywcem wzięte z jego własnych doświadczeń w Ravmossen i Västerås, prawda?

Barbarottiemu udało się wczoraj złapać organizatorów obu spotkań, którzy potwierdzili, że takie pytanie rzeczywiście padło z sali. Zadane przez jedną kobietę lub dwie różne, jednak Barbarotti wykluczył taką ewentualność. Żaden z bibliotekarzy nie zauważył, aby Lunde jakoś źle je przyjął. W Ravmossen

moderator przerwał zadawanie pytań, a w Västerås pisarz sam odrzucił pytanie jako niedorzeczne. Jakoby pisarz Franz J. Lunde był zamieszany w morderstwo, które opisał w swojej powieści.

- Czy tak tworzą pisarze? - zapytał Barbarotti. - Fikcyjnym osobom przypisują wydarzenia z własnego życia?

- To się zdarza - odpowiedziała Rachel Werner tonem wyrażającym lekką dezaprobatę. Barbarotti nie był pewien, czy wobec pisarstwa jako takiego, czy wobec głupiego pytania prowincjonalnego komisarza policji. Wypił łyk herbaty i czekał.

- Trudno o dwóch autorów, którzy pracowaliby w ten sam sposób - kontynuowała Rachel Werner. - Ale rozumiem, że może się to panu wydawać dziwne. Sama nie wiem, co o tym myśleć, dlatego się z wami skontaktowałam. Zakładam, że zdążył się pan dowiedzieć, czy takie samo pytanie padło też w... rzeczywistości?

Barbarotti pokiwał głową.

- W Ravmossen i w Västerås, zgadza się.

- A w Kymlinge?

- U nas słuchacze zapisywali pytania na kartce, ale i tak się pojawiło, tylko na piśmie. Nie rozmawiałem osobiście z organizatorem, zrobił to mój kolega. Ale o tym Lunde nie pisze. Jednak alter ego Lundego... tak się to nazywa, prawda?... nigdy nie dotarł do Kymlinge, więc rodzi się pytanie, czy to nie przypadkiem dalszy ciąg jego historii... tej zmyślonej, oczywiście?

Rachel Werner zaśmiała się, ale nie był to śmiech zadowolenia.

- Też chciałabym to wiedzieć. W mailu napisał, że to dopiero jedna trzecia całości, więc zakładam, że zamierzał... zamierza... napisać jeszcze dwie trzecie. Nie wiem, czy już zaczął, ale to inne pytanie.

- Czy zdarzało się, że pokazywał pani nieukończony tekst?

- Właściwie to nie - odparła. - Czasami przysyłał do przeczytania na przykład sto stron. Ale tym razem tylko dwadzieścia. Odniosłam wrażenie, że... tak, że to jakaś mistyfikacja.

- Mistyfikacja? - zdziwił się Barbarotti. - Nie rozumiem?

Rachel Werner potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem. To wszystko jest takie dziwne, jakby... jakby było wymyślone.

- Czy nie zabezpieczał się w ten sposób? Wysłał pani te parę stron na wypadek, gdyby coś się stało...

- Też tak pomyślałam. Może przestraszyły go te pytania? To jednak trochę dziwne, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

- Mam wrażenie, że cała ta historia jest dziwna - skomentował Barbarotti.

- Gdybyśmy wiedzieli, kim była ta kobieta... Niestety, nie opisał jej... bo nigdy jej nie widział. Oczywiście w książce.

Rachel Werner w milczeniu pokiwała głową.

- Jeśli się okaże, że to coś poważnego - powiedział Barbarotti - i jeśli Lundemu naprawdę ktoś groził, będziemy musieli porozmawiać ze słuchaczami... w Ravmossen i w Västerås. Ktoś przecież musiał ją widzieć.

- Ale najpierw musicie się zastanowić, czy sprawa jest na tyle poważna, żeby się nią zająć, tak?

- Przepraszam, źle się wyraziłem. Traktujemy sprawę niezwykle poważnie, inaczej bym tu teraz nie siedział. Ale nasze możliwości są ograniczone.

- Rozumiem - powiedziała Rachel Werner z gorzkim uśmiechem.

Barbarotti odchrząknął.

- Czy to prawda, że Lunde w jednej ze swoich powieści pisał o zbrodni doskonałej?

Rachel Werner podeszła do regału i wyjęła książkę.

- W tej, proszę. Zróbmy tak jak poprzednio. Zamiast panu streszczać, proszę, żeby sam pan to przeczytał.

Książka miała prostą, ale przekonującą okładkę. Czarno-białe zdjęcie ulicy nocą; samotna latarnia oświetlająca część fasady budynku i plecy mężczyzny, który idzie chodnikiem, ubrany w prochowiec i kapelusz. Trudno określić czas, ale dawno temu. Przypuszczalnie połowa dziewiętnastego wieku. Na tle ciemnego dachu czerwoną czcionką napisane nazwisko autora i tytuł.

Franz J. Lunde

Gęsta sieć

- Rozdział dwunasty - powiedziała Rachel Werner. - Ale proponuję przeczytać całą.

Z Viktorią Lunde spotkał się w kawiarni w Sundbyberg. Tak zaproponowała. Podczas krótkiego pobytu w Sztokholmie zatrzymała się u koleżanki na Stationsgatan, więc nie chciało jej się jechać gdzieś daleko. Była poruszona zniknięciem ojca, nie spała przez kilka ostatnich nocy, więc Barbarotti poszedł jej na rękę.

Kiedy zobaczył ją siedzącą przy stoliku w pustej, staromodnej kawiarni, od razu ją poznał. Błada, z podkrążonymi oczami, w wyciągniętej męskiej koszuli i czarnym swetrze, łatwo ją było pomylić z narkomanką. Blond włosy niedbale upięte w wysoki kok. Kiedy wstała, żeby się przywitać, przewróciła filiżankę z herbatą.

- Cholera! Przepraszam, pan jest tym komisarzem, prawda?

- Gunnar Barbarotti. Zgadza się. Jak się pani czuje?

- Kiepsko. Cholernie kiepsko... widać, prawda?

- Kiedy pani powiedziała, tak.

Młoda kelnerka sprzątnęła stolik i Viktoria zamówiła nową herbatę. Barbarotti wahał się, czy nie wziąć sobie lemoniady, ze względu na klimat kawiarni bardzo by pasowała, ale zamówił kawę.

- Jak już mówiłam, bardzo się martwię o tatę - powiedziała Viktoria, kiedy usiedli. - Jestem pewna, że musiało mu się coś stać. Śniło mi się, że nie żyje... że leży w rowie pod lasem zamarznięty na kość.

- Zacznijmy od tego, że to nieprawda - powiedział Barbarotti. - Zgadza się, to trochę dziwne, że nie daje znaku życia od tak długiego czasu. Rozmawialiście tego samego dnia, kiedy był w drodze do Kymlinge...

- Ale od tego czasu minęły już dwa tygodnie - przerwała Viktoria Lunde. - To jasne, że musiało się coś stać. Nie znaleźliście żadnych śladów przez... przez cały ten czas?

- Niestety, nie. Ale proszę pamiętać, że dowiedzieliśmy się o wszystkim dopiero kilka dni temu.

- Tak, wiem. Tak was męczyłam, że się w końcu zainteresowaliście.

- To prawda, ale niezupełnie - przyznał jej rację Barbarotti. - Jeśli nie mamy pewności, że dana osoba zniknęła, nie możemy zacząć akcji. Obsługa hotelowa też nic nie podejrzewała. Rozmawialiśmy już o tym przez telefon, ale rozumiem pani zdenerwowanie.

Viktoria westchnęła i spojrzała na Barbarottiego zmęczonym wzrokiem.

- Przepraszam, ale po tym wszystkim nie jestem sobą. Pewnie mnie pan uważa za jakąś szczeniarenę.

Barbarotti potrząsnął głową.

- Absolutnie nie. Łatwo stracić panowanie, jeśli człowiek się niepokoi. Zrobimy, co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, co

się stało, obiecuję. Ale potrzebujemy pani pomocy. Dobrze, że pani przyjechała na kilka dni.

Viktoria Lunde wzięła głęboki wdech.

- Nie wiem, czy to pomoże, ale zawsze lepiej porozmawiać twarzą w twarz niż przez telefon.

- Zgadzam się - powiedział Barbarotti. - Ostatni raz rozmawialiście przez komórkę. Jak wyglądała rozmowa?

Viktoria zastanowiła się chwilę, zanim odpowiedziała.

- Dziwne, ale zadzwoniłam, bo się o niego niepokoiłam. Że coś mu się może stać... mamy dość częsty kontakt, mimo że mieszkam tak daleko. Szczerze mówiąc, najczęściej to ja się odzywam.

- Przez telefon?

- Mailowo albo SMS-em. To zależy.

- Jak często?

- Przynajmniej raz w tygodniu. Czasami dwa... a nawet trzy. Jeśli nie obierze, oddzwania.

- Zawsze?

- Obecnie tak. Pewnie pan wie, co się kiedyś stało?

Barbarotti skinął głową.

- Chodzi o jego wcześniejsze zniknięcie? Kiedy to dokładnie było?

- Trzy lata temu. Bardzo to na mnie wpłynęło. Czasami czuję, że muszę ich pilnować, żeby nie zniknęli... to może się wydawać dziwne, ale tak czuję. Pewnie też pan wie, co się stało z moją mamą?

Muszę ich pilnować, żeby nie zniknęli, pomyślał Barbarotti i aż się wzdrygnął. Co za odpowiedź.

- Tak, wiem - odpowiedział. - To straszna historia, nic dziwnego, że...

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, ale nie musiał, bo mu przerwała.

- Sześć lat temu zaginęła moja mama... podczas przeklętej wędrowki w amerykańskiej dziczy. Trzy lata później zniknął ojciec. Prawie na dwa miesiące! Ukrył się, może i miał powody, ale mógł chociaż wysłać SMS i powiedzieć dlaczego. Jeszcze nigdy na nikogo nie byłam tak wściekła jak wtedy... kiedy się okazało, że żyje i że po prostu postanowił się ukryć. Nie bacząc na nic. Bez telefonu, bez kart. Cieszę się, że nic mu się nie stało, ale byłoby mi łatwiej, gdybym wiedziała, że na przykład nic mu nie jest. Wiem, że nie powinnam tak myśleć... ale mam nadzieję, że pan rozumie, o co mi chodzi?

- Próbuję - odparł Barbarotti.

- A teraz znowu to samo...

Głos jej się załamał i zaczęła płakać. Schowała głowę w dłoniach i znów straciła ze stołu kubek z herbatą. Barbarotti odczekał moment, zanim ostrożnie zapytał:

- Czy uważa pani, że tata znów postanowił zniknąć? Że to się powtórzyło?

Viktoria wyjęła chustkę. Wytarła oczy i wysmarkała nos.

- Nie... nie tym razem. Szczególnie po naszej rozmowie.

- Ma pani na myśli tę... rozmowę?

Mało brakowało, a powiedziała by „ostatnią”, ale w porę się pohamował.

- Niemożliwe, żeby znów chciał zniknąć... nie, to niedorzeczne.

Czyli musiało się stać coś gorszego, pomyślał Barbarotti, Viktoria prawdopodobnie wyciągnęła podobne wnioski. Pewnie dużo o tym myślała podczas bezsennych nocy.

- Najgorsze jest to, że... - powiedziała i załkała - ...że nie ma nikogo, kto by się o niego zatroszczył. Czasami myślę, że jest najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

- Ma pani rodzeństwo? - zapytał.

- Nie. Żadnej rodziny też nie. No, może ciotkę i czterech kuzynów, z którymi i tak nie mam kontaktu. Myślę, że się nienawidzą z ojcem.

Też mi się tak wydaje, pomyślał Barbarotti, ale trzymał język za zębami.

- Moja matka była jedynaczką, podobnie jak ja - kontynuowała Viktoria. - Babcia i dziadek nie żyją, z tego pokolenia żyje jedynie babcia ze strony ojca, ale ma totalną demencję... przepraszam, że się tak skarżę, ale okropnie się czuję. Simone, moja partnerka, ma co najmniej trzydzieścioro krewnych i ze wszystkimi utrzymuje kontakt. Połowę w Afryce, resztę rozszanę po całym świecie. A ja mam jedynie...

Zamilkła i patrzyła w stół.

- Czasami trudno znaleźć pocieszenie - uspokajał ją Barbarotti. - Przepraszam, że pytam, ale czy jest pani wierząca?

Słowa wypłynęły z niego, zanim zdążył pomyśleć, ale ku swojej uldze na twarzy Viktorii Lunde zauważył blady uśmiech. Przelotny i delikatny, ale zawsze.

- Tak - odpowiedziała. - Nie chodzę do kościoła, ale wierzę w Boga. W każdym razie czasami...

- Nie widzimy go, jeśli go nie szukamy - powiedział. - Ja też jestem amatorem, ale go spotkałem. Możemy się razem pomodlić za tatę? Mam na myśli...

Sam nie wiedział, co ma na myśli, jednak kilka sekund później oboje siedzieli ze złożonymi rękoma i zamkniętymi oczami. Pół minuty, nie więcej, żadnych słów, tylko cisza. Potem przyszło mu do głowy, że jego metody pracy na pewno zostałyby zakwestionowane przez kolegów komisarzy.

Ale jego wkład był dużo większy, bo kiedy się żegnali, Viktoria Lunde bardzo go uściskała.

- Będziemy w kontakcie? - zapytała. - Niezależnie od wszystkiego?

- Tak, oczywiście - obiecał.

10

Po rozmowie z wydawczynią Rachel Werner i projektantką stron internetowych Viktorią Lunde spotkanie z Bennym Kohlbergiem okazało się porażką. A przynajmniej krokiem w tył, jeśli można w tym wypadku mówić o kierunku.

Umówili się w domu u Kohlberga na Verkstadsgatan w Hornstull, gdzie mieszkał razem z kotem. Pracował (właściciel, nie kot) w urzędzie na jakimś niższym stanowisku, jak się Barbarotti domyślał, ale do końca nie był pewien. Kohlberg zaproponował piwo i kanapkę z wątrobianką i ogórkiem kiszonym. Był właścicielem cholernie dużej liczby płyt winylowych.

To one były pierwszym tematem rozmowy.

- Interesuje się pan muzyką? - zapytał Kohlberg, kiedy usiedli w fotelach z lat siedemdziesiątych. Z podpórką na nogi.

- Niestety, słoń mi na ucho nadepnął - odpowiedział Barbarotti.

Skłamał. Bardzo lubił, na przykład fado, a w młodości, przez kilka tygodni należał nawet do chóru chłopięcego, ale nie chciał zboczyć na nieodpowiednią drogę.

- Naprawdę? - Kohlberg był zawiedziony. - To moja kolekcja. Dziewięćset sześćdziesiąt cztery sztuki, wszystkie nagrane po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym. To był ostatni rok, kiedy się jeszcze robiło dobrą muzykę. Dwa lata po moim urodzeniu, jeśli to pana interesuje.

- Ciekawe - odparł Barbarotti.

- Większość to kapele z lat sześćdziesiątych... Stones, Beatles, Kinks, i tak dalej, mam też trochę starszych nagrań. Na przykład Elvisa. Buddy'ego Holly'ego, Eddiego Cochrana... *you name it*. Stary dobry blues. Można powiedzieć, że wtedy powstał grunt pod ten typ muzyki.

- Miło mieć tak ukierunkowane zainteresowania - powiedział Barbarotti i ugryzł kanapkę.

- Żeby wysłuchać wszystkich płyt, potrzeba ponad miesiąc, a nawet półtora. Nie wliczając przerwy na sen, jedzenie czy toaletę...

- Nieźle - odezwał się Barbarotti. - Proszę opowiedzieć o waszej znajomości z Franzem J. Lundem?

- No tak, przecież dlatego pan tu jest - powiedział Benny Kohlberg z rezygnacją w głosie. - Nie po to, żeby siedzieć i słuchać gadania o starych kapelach.

- No właśnie. Dość długo się znacie, prawda? Pan i Lunde.

Ogromny, wielobarwny kocur wślizgnął się do pokoju i zaczął się ocierać o stopy Kohlberga.

- Nazywa się Moon - wyjaśnił. - Jak perkusista The Who, Keith Moon.

- Lunde - przypomniał mu Barbarotti.

- Jasne... no tak, cóż mogę powiedzieć? Znamy się, odkąd byliśmy smarkaczami. Ponad dziesięć lat chodziliśmy do jednej szkoły. To konsoliduje.

- I mieliście kontakt przez te wszystkie lata?

- Bez przerwy. Obaj jesteśmy trochę... jak by to powiedzieć... trochę samotnymi wilkami. Jeśli pan rozumie, o czym mówię. Nie jesteśmy jakoś szczególnie socjalni. Kontakty, media społecznościowe i całe to diabelstwo, które teraz jest na fali. Przepraszam za wyrażenie.

- Nie ma za co - odpowiedział Barbarotti. - A więc spotykaliście się?

- Zgadza się - potwierdził Kohlberg. - Z Frasse... wciąż tak go nazywam, przyłgnęło to do niego jeszcze w szkole... z Frasse spotykamy się raz w miesiącu, czasami częściej, to zależy. Zazwyczaj chodzimy do restauracji.

- Kiedy się widzieliście ostatni raz?

Benny Kohlberg zastanowił się przez moment.

- Dziewiętnastego listopada. We wtorek.

Dwa dni przed, pomyślał Barbarotti. Interesujące.

Okazało się, że jednak nie tak bardzo. Kohlberg i Lunde poszli razem do restauracji Wojak Szwejk na Östgötagatan, zjedli gulasz i wypili po dwa czeskie piwa. Może po trzy. O niczym szczególnym nie rozmawiali, Lunde też zachowywał się jak zwykle. Kiedy Barbarotti zapytał, czy Lunde mówił mu o swoich spotkaniach w bibliotekach, Kohlberg potrząsnął głową. Może i coś wspomniał, ale co? Do cholery, przecież miał ich setki.

Barbarotti odniósł wrażenie, że Kohlberg żywi podziw dla starego przyjaciela. Lunde to cholernie dobry pisarz, niestety nie jest wystarczająco doceniany. To całe Stowarzyszenie Wydawców Szwedzkich to banda napuszonych patałachów (Barbarotti zgadywał, że wyrażenie pochodzi raczej od Lundego niż jego towarzysza), a największe bagno jest w Sztokholmie. To, że Lunde nie dostał Nagrody Augusta, nie dali mu nawet nominacji, świadczy o smrodzie, jaki tam panuje.

Ale czy dziewiętnastego listopada w Szwejkju rozmawiali o tych pisarskich perturbacjach? Być może... ale głowy by nie dał. Kiedy Barbarotti zapytał Kohlberga, czy czytał *Gęstą sieć*, gospodarz poczuł się lekko urażony i wyjaśnił, że to oczywiście, że przeczytał każdą linijkę tego, co napisał Lunde. I cholernie dziękuje losowi, że ma zaszczyt znać najznamienitszego twórcę w całym kraju.

Kiedy już piwo zostało wypite, a kanapki z wątrobianką zjedzone, padło pytanie o zniknięcie Lundego trzy lata wcześniej, wtedy nareszcie Benny Kohlberg miał coś konkretnego do powiedzenia.

- Tak, pamiętam. Chciał mieć po prostu święty spokój. Jakaś nieudana historia miłosna, trochę o tym rozmawialiśmy.

- Kobieta? - zapytał Barbarotti. - Może pan powiedziec coś więcej?

- Frasse nie rozwinął tematu, więc ja też nie mogę - wyjaśnił. - Powiedział tylko, że się okropnie czuje, bo jakaś kobieta zachowała się wobec niego podle. Więcej o tym nie rozmawialiśmy.

- W czasie, kiedy się ukrywał, też nie miał pan z nim kontaktu?

- Żadnego. Ale co się teraz z nim dzieje? Sugeruje pan, że znów zniknął?

- Na to wygląda. I pan nie ma pojęcia, gdzie się podział?

Benny Kohlberg pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

- Żadnego - powtórzył.

Kilka minut po dziewiętnastej komisarz Barbarotti opuścił Verkstadsgatan i udał się do metra.

Obiecał, że się odezwie, jak przeczyta *Gęstą sieć* (przynajmniej dwunasty rozdział), ale wątpił, czy to zrobi. Wspomniana kobieta też pewnie nie odgrywa żadnej roli w zniknięciu Lundego. Barbarotti był zbyt zmęczony na jakiegokolwiek prognozy dotyczące rozwoju całej sytuacji. Jak oceniał na podstawie raczej kiepskich przesłanek, równie dobrze może potrwać dzień lub dwa. Kiedy to Franz J. Lunde, jakby nigdy nic, pojawi się i powie, że musiał to zrobić, bo był przygnębiony.

Czekając na metro, wyjął telefon i zadzwonił do Australii. Był zasięg, ale nie mógł się połączyć.

Półtorej godziny później komórka znów była w użyciu. Zdążył nawet zjeść jakieś mało wyrafinowane spaghetti - zostawił połowę, bo kanapki z Hornstull jeszcze się trawiły - w knajpie o nazwie Vapiano, leżącej na starym mieście tuż przy metrze. Po co jeść, skoro nie jest się głodnym, pomyślał, patrząc w ekran komórki. Dzwonił Smutas.

- I co słytać w wielkim mieście? - chciał się dowiedzieć

- Świetnie, jak cholera - wyjaśnił Barbarotti. - A u was?

- Znaleźliśmy samochód Lundego. Pomyślałem, że może cię to zainteresować.

- Mów, co jeszcze? - nalegał Barbarotti.

- Co jeszcze? Na małej leśnej ścieżce pod Remminge. Kilka godzin temu, nasi technicy już go sprawdzili.

- I?

- Niewiele. Zupełnie spalony. Nic nie zostało.

- A co z Lundem?

- Samochód był pusty. Zapraszamy do nas jutro.

- Dziękuję bardzo - odpowiedział komisarz Barbarotti. Rozłączył się i spojrzał na psa na chodniku, który podniósł nogę i nasikał na buty swojego pana.

Poczuł nagle trudno wytłumaczalną rezygnację. Naprawdę najlepszy ze światów?

Ground zero - jeden

Bar hotelowy, duży i głośny. Zapchany po brzegi. Niezadymiony, jak kiedyś, za to wypełniony odorem alkoholu wymieszanego z testosteronem. W mniejszym stopniu estrogenem, pierwiastek męski dominuje. Czterdziestu facetów, między dwadzieścia pięć a siedemdziesiąt lat; dwadzieścia kobiet, żadna powyżej pięćdziesięciu. Pojawiamy się około dwudziestej trzeciej, ja i moja młodsza towarzyska. Piękna blondynka, nieco wyzywa-

jąca. Właśnie skończyła dwadzieścia sześć lat, tak powiedziała. To jej debiut, jest lekko podpita i trochę napalona. I odurzona pierwszym sukcesem. To ostatnia jesień przed me too, gdybyśmy dodali rok w naszych wyliczeniach, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Inny punkt wyjścia. Ale nie wiem, to żadna ulga.

LISTOPAD–GRUDZIEN 2019

11

Czternasty i dwudziesty siódmy listopada
Dzisiaj mija trzydzieści lat od mojego pierwszego stosunku seksualnego.

Nie, kłamie. Właściwie te słowa piszę dwa tygodnie później, ale chciałam zacząć dokładnie czternastego listopada. Tamtego wieczoru leżę sama w łóżku hotelowym w Växjö i rozmyślam, co się stało kilka godzin wcześniej.

By następnie wrócić do dzisiejszego wieczoru. Teraz też leżę na łóżku zamknięta w pokoju, w innym hotelu, w innym mieście i mam powód, by jeszcze głębiej zatopić się w rozmyślaniach.

Chodzi o dwa incydenty.

Jednak najpierw cofnę się w czasie i opowiem, kim jestem. Będę trzymać się czasu teraźniejszego, ma to związek z moim brakiem wprawy w pisaniu prozą. Jestem poetką, a poezję łatwiej wyrazić czasem teraźniejszym. Czas przeszły to poniekąd przyznanie, że wszystko już się skończyło, minęło nieodwracalnie. Liryka musi być otwarta, nie jestem pewna, czy czytelnik będzie wiedział, o co mi chodzi – czy się ze mną zgodzi,

jeśli zrozumie mój punkt widzenia – ale i tak chcę to powiedzieć. Może nawet bardziej to piszę dla samej siebie.

Ja zawsze robię to, dodaję, trochę wbrew własnej woli.

Piszę odręcznie i być może będzie to mój pierwszy utwór prozą, na który się odważam. Mała kronika różnych dziwnych rzeczy, które mi się przydarzają. Nie muszę zmyślać. Oczywiście, można dyskutować, czy prawda to odpowiednia baza pod opowiadanie, ale to bez znaczenia, bo i tak będę się jej trzymać – z wyjątkiem tego mało znaczącego kłamstewka w pierwszym zdaniu.

Zaczynam więc od krótkiego opisu całej sytuacji.

Jest trzydzieści lat temu. Skończyłam osiemnaście lat i mieszkam w małym mieście w Norrlandii. Mam o trzy lata starszego brata, który niedawno wyprowadził się z domu i zerwał kontakt z rodzicami, obojgiem już po sześćdziesiątce, którzy są świadkami Jehowy.

Ten, z którym mam stosunek, nazywa się Kent-Erik i nie jest świadkiem Jehowy. Pracuje w fabryce i ma dwadzieścia pięć lat. Jeździ motocyklem i pije. Przed stosunkiem upija mnie wódką. Ma własne mieszkanie w centrum, tam to się dzieje. Po wszystkim rzygam jak kot.

Do domu wracam następnego dnia w południe i dostaję od matki po buzi. To ona rządzi w rodzinie, zawsze tak było. Kiedy kilka lat później umiera, ojciec opuszcza świadków Jehowy; przenosi się na południe kraju, do Katrineholm, ale pół roku później umiera.

Zresztą mój brat też już nie żyje. Zasypia za kierownicą i wjeżdża na drzewo, kilka tygodni przed rokiem dwutysięcznym. Mimo że nie widzieliśmy się od wielu lat, idę na jego pogrzeb.

Dwa miesiące po stosunku z Kentem-Erikiem dowiaduję się, że jestem w ciąży. Już nie utrzymujemy z sobą kontaktu, przed zdarzeniem na jego trzeszczącym łóżku też go nie mieliśmy.

Kiedy rodzice się o wszystkim dowiadują, wyrzucają mnie z domu, świadkowie Jehowy również, więc w piątym miesiącu ciąży wyjeżdżam do Sundsvall. Przerywam naukę w liceum. Zatrzymuję się u siostry ojca, Gudrun, która uważa, że świadkowie Jehowy to cholerna hołota. Jej mąż Preben jest tego samego zdania.

Ósmego sierpnia w szpitalu w Sundsvall rodzę bliźniaki. Nieco przed czasem, ale obaj chłopcy są zdrowi. Na chrzcie daję im imiona Kristian i Fredrik. To dwa królewskie imiona w Danii, gdzie się urodził Preben i gdzie spędził pierwsze dwadzieścia lat życia.

Gdybym nie miała Gudrun i Prebena, nie wiem, co by się ze mną stało. Przez pierwsze pół roku mieszkam u nich, a potem dostaję mieszkanie w tym samym domu. Kristian i Fredrik spędzają tyle samo czasu u przybranych dziadków, co u swojej mamy, i taki układ trwa aż do czasów szkolnych.

Ale zanim chłopcy idą do szkoły, dostają miejsce w przedszkolu, a ja pracę w księgarni. Gdybym pracowała w innym miejscu, nigdy nie zostałabym poetką. Jednak niezbadane są wyroki Pana. Trochę pomaga mi też to, że Gudrun jest nauczycielką szwedzkiego w gimnazjum. Od mojego przyjazdu do Sundsvall książki są mi niezbędne jak powietrze. Bardzo dużo czytam i marzy mi się, aby pewnego dnia napisać książkę. Ale to tylko marzenie, które urzeczywistnia się, dopiero kiedy dobiegam trzydziestki i poznaję Maxa.

Max pracuje w dużym wydawnictwie. W naszej księgarni pojawia się w związku ze spotkaniem ze znaną pisarką. Miejsca już dawno wyprzedane, przyszło sto dziesięć osób. Całe przedpołudnie poświęcamy na przedstawianie regałów i stołów. Spotkanie bardzo się udaje; autorka, która pisze zarówno poezję,

jak i prozę, jest opanowana, pokorna i bardzo inteligentna. Wtedy też chcę być jak ona. I chcę, żeby to było zauważone, taki mały przejaw próżności.

Po spotkaniu idziemy do pobliskiej restauracji: sponsorzy, z którymi współpracuje nasza księgarnia, autorka i Max. Razem dwanaście osób. Ja siadam obok Maxa, chwilę potem jesteśmy oboje trochę podchmieleni. Otwarcie i szczerze rozmawiamy o najbardziej prywatnych sprawach. Max od dwóch miesięcy jest po rozwodzie i dlatego ma podły nastrój. Z tego prostego powodu po kolacji idę z nim do jego hotelu. Śpimy ze sobą, bo co innego mielibyśmy robić?

Kiedy wracam do domu o wpół do czwartej nad ranem, czuję się taka lekka. Zaczyna sypać pierwszy śnieg. Białe płatki bezszelestnie i miękko spadają z ciemnego nieba; tylko ja, tańczące płatki śniegu i śpiące miasto. Czuję, że wchodzę w nowy rozdział życia.

I tak jest. Zaczynamy z Maxem poważny związek, który przetrwa dziewięć lat. Przenoszę się z synami do Sztokholmu i dostaję pracę w tym samym wydawnictwie co Max, w dziale marketingu, dokładnie tak jak on. Wkrótce awansuję na redaktora, na moim stole ląduje głównie młoda liryka, mimo iż to bez wątpienia najwrażliwszy typ twórczości. A może właśnie dlatego. Cały czas rozwijam opanowanie, pokorę i inteligencję. I posłuszeństwo, to kolejna cecha, którą warto trenować.

Nie mamy dzieci, mimo że próbujemy. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że Max jest wysterylizowany. Z poprzedniego związku też nie ma potomstwa. Ale i tak nam dobrze razem, a moi chłopcy bardzo go lubią. Kiedy kończą liceum i wyprowadzają się z domu, odkrywamy jednak, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Do tego czasu ukazują się trzy tomiki mojej poezji i mogę tytułować się poetką. Wszystkie otrzymują świetne recenzje. Od tej pory przechodzę na pół etatu. Dzięki stypendium można jakoś przeżyć, bo z samej poezji raczej nie,

krąg czytelników nie jest większy niż zaludnienie na bezludnej wyspie.

Rozstaję się z Maxem i przeprowadzam do małego, wiejskiego domku w Sörmland. W Sztokholmie zajmowaliśmy duże mieszkanie na Söder, które należało do Maxa. Teraz, kiedy znów mieszkam sama, moje wymagania nieco się zmniejszyły, ale wcale mi to nie przeszkadza. Max również zmienia otoczenie, wyjeżdża do Malmö, po separacji widzimy się nie więcej niż trzy, cztery razy.

Domek, który wynajmuję, z czasem udaje mi się kupić, ma zaledwie pięćdziesiąt metrów kwadratowych, siedemdziesiąt, jeśli kiedyś uda mi się wyremontować strych. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Zresztą nie zaszkodzi, jeśli artysta, w tym wypadku poetka, ma trochę ciasno. Chcę pisać o lesie za polaną, a jeśli będę miała zbyt rozległy widok na polaną, nie będę widziała lasu. Do wydawnictwa jeżdżę dwa razy w tygodniu, autobusem lub pociągiem. Wieczorem, po powrocie z wielkiego miasta idę nad jezioro, sto metrów od domu, i spłukuję z siebie cały dzień. Od maja do listopada. Czuję się wtedy taka lekka. Dwa miesiące temu, licząc od dnia, kiedy to piszę, wydałam siódmy tomik poezji. *Osiemnaście rozmów z koniem, gdybym go miała.*

Dostaję fantastyczne recenzje i mogę sobie pozwolić na urlop przez całą jesień, żeby mieć czas na spotkania z czytelnikami. Tego wieczoru, kiedy zaczęłam pisać – przepraszam za czas przeszły, ale nie mogę inaczej – dokładnie trzydzieści lat od mojego pierwszego stosunku seksualnego, odbyłam spotkanie w ponad trzynastu miejscach w całym kraju.

A dziś wieczorem, kiedy leżę w tym bardzo przeciętnym hotelu i rozmyślam, mam za sobą już czternaste. Nieźle jak na poetkę ze środowiska nadętych kazań świadków Jehowy.

Przed Bożym Narodzeniem mam jeszcze dwa spotkania, poza tym muszę się zastanowić nad tym, co się wydarzyło na

spotkaniach trzynastym i czternastym. Muszę przyznać, że trochę się przestraszyłam.

To dla mnie nowe i zaskakujące uczucie. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przedtem w ogóle się bała. W każdym razie nie tak, żebym to czuła w całym ciele.

12

Czternasty listopada

*...oto moje proste pytanie
oto moja duża tęsknota...
Dziękuję, że mnie wysłuchaliście.*

Tymi słowy zamykam spotkanie z czytelnikami w Växjö. W ten sam sposób kończę wszystkie - z dwusekundową pauzą między słowami tęsknota a dziękuję.

Głośne oklaski bardzo licznej publiczności. Około pięciuset osób. Na Dzień Książki zaproszono sześciu pisarzy, całkiem znane nazwiska dla tych, którzy czytają. Ja jestem trzecia w kolejności, ostatnia przed przerwą, więc kiedy oklaski cichną, prowadzący zaprasza wszystkich do holu na przekąski, informując również, że autorzy będą czekać przy stolikach i podpisywać książki. „Skorzystajcie z okazji i już teraz załatwcie swoim bliskim prezent na gwiazdkę!”

Podpisuję sporo moich *Rozmów z koniem*. Ponad trzydzieści sztuk. To oczywiście bardzo miłe, nawet jeśli wiadomo, że przy takich okazjach ludzie kupują, co im wpadnie w rękę. Podchmielony kolega powiedział mi kiedyś, że podczas spotkania w Örebro sprzedał ponad pięćdziesiąt egzemplarzy swojej

książki o dżdżownicach. Ale pewnie się przechwalał, przecież autorzy literatury faktu grają w tej samej lidze co poeci.

To się dzieje, kiedy już podpisuję wszystkie książki, a głośniki informują, że za pięć minut rozpoczyna się druga część rozmów. Do mojego stolika podchodzi szczupły mężczyzna w czapce z daszkiem i ciemnych okularach i pyta, czy mogłabym podpisać jeszcze jedną książkę. Nie musi być z dedykacją, wystarczy data i podpis.

- Växjö też? - pytam.

- Tak, dziękuję.

Ma dziwny głos. Gdyby nie stał przede mną, nie zgadłabym, czy to głos mężczyzny, czy kobiety. Jest też dziwnie ubrany. Ma beżowo-brązowy kraciasty garnitur, bladożółtą koszulę i jaskrawoniebieski krawat, przypomina trochę Ture Sventona. Chowa książkę i mówi:

- W tym kraju jest za dużo poetów. Jest pani zbędna i ma pani ludzkie życie na sumieniu.

Następnie odwraca się i znika na schodach. To oczywiste, że nie zamierza uczestniczyć w spotkaniach innych autorów.

Rozglądam się. Ludzie wracają do sali i zajmują miejsca. Inni autorzy odeszli już od swoich stolików. Po chwili zostają tylko ja i dziewczyny sprzedające książki. Mam wrażenie, jakby otaczająca mnie rzeczywistość odpływała. To nieobce mi uczucie, jednak teraz jest niezwykle silne. Zastanawiam się, czy za chwilę nie zemdleję.

Jest pani zbędna i ma pani ludzkie życie na sumieniu.

Co to jest, do cholery? Czy się przesłyszałam? Co on powiedział?

Natychmiast próbuję wszystkiemu zaprzeczyć. Pewnie mi się wydawało.

Ale dlaczego mój dobrze funkcjonujący mózg miałby wyprodukować coś takiego?

Przecież jest całkiem sprawny. Szczególnie w głowie poetki. Jestem dość nietypowa dla mojego środowiska; może mam łagodną formę aspergera, w każdym razie Max dawał mi to do zrozumienia, jak się czasami zagalopował. Jeśli coś wyróżnia osoby z taką diagnozą, to właśnie stosunek do języka. Słowa mają swoje stałe znaczenie, niezależnie od kontekstu. Kiedy słyszę słowo sukinsyn, najpierw, przez ułamek sekundy, myślę o suce i o synu.

Ale wystarczy. Wciąż siedzę przy moim stoliku w Teatrze Miejskim w Växjö i nie wiem, co dalej. Czy wrócić na salę i usiąść w pierwszym rzędzie, wśród innych znamienitości, czy po prostu wyjść?

Zbędna.

To jedno słowo rozwiązuje sprawę. Wstaję od stolika i opuszczam teatr. Wracam do hotelu w przesywającym wietrze, do mojej samotni w nieskazitelnym hotelowym pokoju.

Zbędna osoba nie ma żadnych zobowiązań. A to oznacza wolność.

Leżę na łóżku, zamykam oczy i próbuję go sobie wyobrazić. Jest w nim coś archetypicznego. W tym niskim, szczupłym mężczyźnie; Fred Astaire, Gösta Ekman. Raczej Ture Sventon. Antyteza jaskiniowca, pierwiastek kobiecy, dandys... ale po co zaprzętał sobie tym głowę, powinnam się skupić na tym, co powiedział, a nie na jego wyglądzie.

Ma pani życie na sumieniu?

Na sumieniu? Nagle dopadają mnie mdłości i zanim zdążę się zorientować, klęczę nad sedesem i wymiotuję. Biorę się w garść. Idę pod prysznic i postanawiam, że mimo wszystko dołączę do grupy. Zwyczajowo spotkamy się na kolacji w restauracji PM, która ma chyba nawet gwiazdkę Michelina. Całkiem nieźle jak na miasto wielkości Växjö. Przebieram się, robię makijaż i wychodzę.

Pojawiam się w samą porę. Autorzy, na oko około dwudziestu osób, zajmują swoje miejsca przy długim stole. Przy każdym miejscu jest kartka z imieniem i nazwiskiem. Moje znajduje się między jedną z moderatorek a młodym pisarzem kryminałów, którego nie znam. Nikt nie zauważył, że wyszłam w trakcie, w każdym razie nikt tego nie komentuje.

Jedzenie bardzo dobre. Wino również. Natomiast konwersacja w moim końcu stołu drętwa. Kobieta, której imienia nie zdążyłam zobaczyć, bo odwróciła swoją kartkę do góry nogami, jest raczej zainteresowana młodym, obiecującym pisarzem po swojej drugiej stronie. A król kryminału siedzi z taką miną, jakby go bolał ząb. Zagaduję, jak mu poszło podpisywanie książek, i pytam, czy zwrócił uwagę na mężczyznę w kraciastym garniturze. Odpowiada, że poszło świetnie i że nie widział nikogo w kraciastym garniturze. Dodaje też, że bardzo go męczą takie imprezy. Sugeruję, że przecież nikt go nie zmusza, jest wolnym człowiekiem. Nie odpowiada. Nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Wieczorem, kiedy pękają pierwsze lody i kiedy lekko podchmielone towarzystwo stoi na zewnątrz i pali, zaczepiam kogoś na chybił trafił i pytam o Ture Sventona. Niestety. Nikt nie zauważył kraciastego garnituru. Dochodzę więc do wniosku, że musiał przyjść tylko na moje spotkanie. Być może pojawił się podczas przerwy z kupionym wcześniej egzemplarzem *Osiemnastu rozmów...*

Słyszałam o czytelnikach zafiksowanych, nie wiadomo dlaczego, na jakimś pisarzu. Odnajdują w jego książkach tajemne przesłanie. Najbardziej znany przykład szaleństwa tego typu to morderca Johna Lennona, Mark Chapman, którego do zabójstwa zainspirowała powieść Salingera *Buszujący w zbożu*. Ale są przykłady z rodzimego podwórka. Jeden z autorów z naszego wydawnictwa opowiadał mi kiedyś, że po napisaniu każdej nowej książki dostaje kartkę z zaszyfrowaną wiadomością od

jakiegoś *Hipokampa*. Na przykład: *Masz rację, zostało niewiele czasu i nie mogę się już doczekać, kiedy stopimy się w jedno*. I tym podobne.

A kraciasty garnitur ze swoim przesłaniem?

Myślę sobie, że gdyby to był sen, nie miałabym problemu z jego interpretacją. Jednak tym razem to się wydarzyło naprawdę.

Dlaczego taka sama interpretacja nie odnosi się do rzeczywistości?, pyta o to nieśmiało mój wewnętrzny głos. Ale nie chcę o tym myśleć. Do diabła z tym!

Do hotelu wracam w towarzystwie innego wydawcy i młodej, debiutującej pisarki. Wydawca jest dość zainteresowany młodą debiutantką, więc zostawiam ich samych w otwartym jeszcze barze, mimo iż jest już wpół do pierwszej w nocy. Pewnie z naszego powodu. Dziękuję za drinka, bo marzę tylko o tym, żeby się położyć i przespać dziesięć godzin bez przerwy i obudzić się bez żadnych wspomnień na temat tego wieczoru.

Ale to tak nie działa. Męczy mnie mnóstwo różnych snów, na szczęście dzień później jestem już w moim domu w Sörmlandii. I myślę sobie, że może i jestem zbędna, ale ten mały incydent w Växjö był tylko małym incydentem.

Tylko małym incydentem.

Nie twierdę, że moja poezja jest przełomowa, ale przynajmniej mam własny głos. Tak piszą w recenzjach.

Głos jest słyszalny, wyrazy na papierze widać. To ważne, szczególnie teraz, aby zaznaczyć różnicę między poezją pisaną a audiobookami, które ostatnio zawojowały rynek. Większość książek czytana jest przez mniej lub bardziej popularnego aktora. Powieści, kryminały, biografie.

Nawet poezja, jednak w tym wypadku sprawa jest delikatniejsza. W liryce każde słowo, każda litera waży dużo więcej niż w świecie prozy. Najlepiej, aby sam autor czytał to, co stworzył. Wiersze wybrzmiewają najpiękniej, kiedy są czytane na głos, po to przecież powstały. W ten sposób poznamy emocje autora.

Zdarza się, że aktor czytający poezję zapędzi się w swoim natchnieniu i straci umiar, wtedy porażka gotowa.

Nikt nie potrafi moich wierszy czytać lepiej ode mnie, wyrafinowany miłośnik poezji nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Od wielu lat otrzymuję zaproszenia na mniejsze lub większe festiwale poetyckie, gdzie bez zbędnego słowotoku chodzi wyłącznie o zaprezentowanie własnej poezji przed uduchowioną publicznością. Spory procent słuchaczy to sami poeci, publikowani bądź nie; istnieje nawet powiedzenie, że tylko oni posiadli sztukę uważnego słuchania. Na drodze między językiem twórcy a jego uchem nie może być żadnych przeszkód.

Po Växjö mam tak zwane śniadanie literackie, ale jestem mocno przeziębiona, więc je odwołuję. Zamiast tego jadę na wieczór poetycki do Lindesberg w Bergslagen. To cykliczne spotkania na nieco mniejszą skalę, kiedyś w jednym uczestniczyłam. Organizator sam jest poetą, zresztą świetnym, lub bibliotekarzem.

Jest nas czworo autorów, każdy ma swoje piętnastominutowe wystąpienie, i muszę powiedzieć, że to świetnie funkcjonuje. Przyciemnione światła, odpowiednia atmosfera, każde słowo i każda pauza mają wagę i znaczenie. Rzadko się zdarza, aby godzina była tak skoncentrowana i tak znacząca.

Po zakończeniu, podczas gdy słuchacze częstowani są lampką wina i serem, my poeci siedzimy za stołem i podpisujemy nasze książki oraz wymieniamy się przemyśleniami. Czuję się wtedy bardziej opanowana, pokorniejsza i bardziej inteligentna niż dotychczas. To właśnie takie wieczory przywracają wiarę w człowieka w tych dziwnych czasach. W każdym razie są jeszcze na tym świecie ludzie z klasą.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób zjawia się przede mną ta mała błękitna koperta. Kiedy spotkanie dobiega końca, leży na stole przy moich książkach. Moje imię i nazwisko podkreślone dwiema kreskami. Prawdopodobnie musiał ją zostawić ktoś ze słuchaczy, więc chowam ją razem z książkami do torby.

Potem spotykamy się wszyscy na małej kolacji we włoskiej restauracji. Tuż po dwudziestej trzeciej wracam do hotelu, który lepsze czasy zdecydowanie ma już za sobą.

Piszę w natchnieniu. Jest piąta rano, zaczęłam od kłamstwa, że od mojego pierwszego stosunku seksualnego minęło trzydzieści lat, a potem piszę przez sześć godzin bez przerwy.

Kończę na zdarzeniu, które sprowokowało moje narkotyczne, nocne pisanie. O wpół do dwunastej w nocy otwieram niebieską kopertę; przypominam sobie o niej, kiedy czegoś szukam w torbie z egzemplarzami *Osiemnastu rozmów z koniem, jeślibym go miała*.

Wyobrażam sobie, że to pewnie jakiś list z podziękowaniem połączonym z zaproszeniem do jakiejś małej dziury. Na miłe spotkanie z kółkiem literackim seniorów, wprawdzie nie mają

pieniędzy, ale chętnie opłacą przyjazd, zakwaterowanie i zaproszą na dobrą domową kolację.

Ale zaczynam czytać i nie wierzę własnym oczom. List ma tylko dwie linijki, staranne pismo tym samym ciemnoniebieskim długopisem, co adres na kopercie. Albo flamastrem, nieważne.

W tym kraju jest za dużo poetów.

Jest pani zbędna i ma pani ludzkie życie na sumieniu.

Powtórzone słowo w słowo.

Zamiast słów wypowiedzianych napisane. Oko zamiast ucha. Nie wiem, które cenię bardziej.

14

Trzydziesty listopada

Sobotnie popołudnie. Siedzę przy oknie w swoim domu i piszę. Nic się teraz bardziej nie liczy, przelanie słów na papier daje pewną przejrzystość, rozprasza mgły. Ja przestanę istnieć, a słowa zostaną. Nawet moje. Przynajmniej przez pewien czas, przynajmniej można mieć taką nadzieję.

Przejrzystość jest mi teraz potrzebna. Od wieczoru poetyckiego w Bergslagen minęły dwa dni, a ja czuję się jak osioł między dwoma żłobami.

Powiedzieć czy nie powiedzieć? Ulżyć sobie czy nie ulżyć?

Komu miałabym powiedzieć? Co to znaczy „ulżyć sobie”? Jednak tego określenia używam nie bez powodu.

Przez chwilę myśle o moich chłopcach. Jeden z nich nie żyje. Obaj byli lekarzami, Fredrik w Lund, Kristian po drugiej stronie zatoki, w Kopenhadze. Prowadzili równoległe życia, tak jak często bliźniacy. Obaj studiowali medycynę w Lund, staż odbywali w tym samym szpitalu w Malmö, na szczęście udało im się znaleźć specjalizacje w różnych szpitalach. Jeden z chirurgii, drugi z onkologii. To onkolog Kristian nie żyje. Zdążył przepracować zaledwie kilka miesięcy, w Rigshospitalet w Kopenhadze. Wracając z imprezy, wpadł pod autobus. Nigdy nie spotkał się ze swoim ojcem, Fredrik też nie. Kilka miesięcy po śmierci Kristiana Fredrik zostawił narzeczoną, też lekarzkę, z którą był przez kilka lat. Przeniósł się do jakiejś zapadłej dziury pod Ystad i żyje w izolacji. Specjalizację kontynuuje w szpitalu w Lund, jednak jego jedynym towarzystwem została żałoba. I smutek po zmarłym bracie bliźniaku. Minęły już dwa lata, jesteście w kontakcie i mam nadzieję, że się z tego otrząśnie.

Rozumiem go. Ja też wariowałam z rozpacz po śmierci Kristiana. Jednocześnie wierzę w siłę samotnego człowieka, który nie biega jak pies i nie węszy. Ja też nie należę do kobiet pajaków, które otaczają się siecią bliższych lub dalszych przyjaciółek. Właściwie to mam tylko Mirję i właśnie o niej myślę cały dzisiejszy dzień. Czy nie zadzwonić i nie zaprosić jej na jesienny gulasz, wino i babskie pogaduszki. Teraz też jest singielką; dwójkę swoich dzieci ma u siebie co drugi tydzień.

Partnerem Mirji był Magnus, najlepszy przyjaciel Maxa. W ten sposób się poznałyśmy, to dla mnie typowe, że nie muszę się wysilać, żeby znaleźć powierniczkę (może to trochę za mocne słowo, ale niech będzie). Dostałam ją w pakiecie. Kiedy chodziłam z Maxem, miałam więcej koleżanek, ale tylko z Mirją utrzymuję kontakt. Od Magnusa odeszła trzy, cztery lata temu. Przed długi czas zdradzał ją ze swoją sekretarką. Kiedy się spotykaliśmy, nie mogłam mu spojrzeć w oczy, bo nietrudno było zauważyć, że go osądzam.

Mirja to silna i dumna kobieta. W dodatku ma cholerne poczucie humoru. Jest adwokatem i dlatego mam pewne wątpliwości. Z jednej strony, jeśli mam jej opowiedzieć o incydentach w Växjö i Lindesbergu, nie chcę, żeby słuchała tego uchem prawnika, wykluczone. Z drugiej wiem, że to nie takie łatwe. Adwokat powinien być lojalny wobec swojego klienta, ale czy to nie stoi w sprzeczności z porządkiem prawnym?

Ale o czym ja mówię?

Dywagacje bez sensu. To może śmieszne, ale czuję się bezbronna wobec tych dwóch ataków (znów mocne słowo, ale niech tak zostanie!), a wcale tego nie chcę. Do słabości żywię pewną pogardę i wszelkimi sposobami staram się do niej nie przyznawać w moich wierszach. Być może dlatego wielu pisarzy – w każdym razie niektórzy (a może tylko ja?) – nie pisze w pierwszej osobie, a jedynie z pozycji wyidealizowanej wersji chwilowego ja.

No bo kto kocha delikatnisią? Czy trzęsącą się mimozę?

Za oknem zmrok rozpościera się nad polaną, mimo że dopiero trzecia. Nie jest tu pięknie o tej porze roku, przez parę dni były plusowe temperatury i ziemia pokryła się cienką warstwą stopionego śniegu. Niebo zachmurzone, jakby miało padać, a w drzewach otaczających dom hula wiatr. To cholernie męczące: siedzieć i się wahać, więc wysyłam mail do Mirji.

Pół godziny później dzwoni. To jej tydzień z dziećmi, ale jutro, w niedzielę, jadą do Magnusa, więc będzie wolna i może przyjechać do mojej leśnej nory. Umawiamy się na wtorek, czuję ogromną wdzięczność, a jednocześnie frustrację, że to jeszcze trzy dni.

W sobotę wieczorem i w niedzielę piszę dwa długie wiersze, które potem palę w kominku. W poniedziałek jadę do miasta na zakupy. Mięso łośia, grzyby, czerwone wino i inne drobiazgi. Po powrocie zabieram się do robienia gulaszu, który musi się

dusić na małym ogniu przez prawie dobę. Czytam, rozwiązuję sudoku i sklejam krzesło, które stało połamane przez pół roku.

Już niedługo wtorek.

- Chyba przejechałam jakieś zwierzę - mówi Mirja. - Mam nadzieję, że mnie takim nie uraczysz?

- Łoś - mówię. - Ustrzelony, nie był ofiarą wypadku.

- To dobrze - odpowiada Mirja, wieszka kurtkę, szalik i zdejmuje buty. - W takim razie zostaję. Gdzie masz te swoje włochate skarpety? A więc masz jakiś problem czy się przesłyszałam?

- Najpierw zrobię nam drinka - odpowiadam.

- Okej. Nie odmówię.

Przed Mirją trudno cokolwiek ukryć, ale miałam kilka dni na zastanowienie się, jak jej powiedzieć o swoim dylemacie. Najważniejsze to się nie przyznawać, że to „ma pani życie ludzkie na sumieniu” ma coś wspólnego ze mną. Wręcz przeciwnie, trzeba to przedstawić jako niezrozumiałe i bezsensowne. Nie będę kręcić, bo nie chcę stawiać ani Mirji, ani siebie w niezręcznej sytuacji. Nie przyjechała tu w roli mojego obrońcy, ale dlatego, że jest moją przyjaciółką, jedyną.

- Zdarzyło mi się coś dziwnego - mówię w odpowiednim momencie, mniej więcej po pierwszym drinku.

- To dla mnie chleb powszedni - odpowiada Mirja. - A ludzkie niedoskonałości to przekąska do kawy. O co chodzi?

- Ale ty jesteś cyniczna - mówię i opowiadam jej o Ture Sventonie w Växjö i o liście, który dostałam w Lindesberg. Zajmuje to chwilę, a Mirja ma na tyle rozumu, żeby mi nie przerywać. Od czasu do czasu tylko kiwa głową.

- Dokładnie w tych samych słowach? - pyta, kiedy kończę.

- Identycznie - potwierdzam.

- A więc to ten sam facet - mówi.

- Też tak sądzę. Ale równie dobrze może to być kobieta.
- To prawda.

Wykrzywia usta w grymasie. Ja robię to samo.

- Zbędna?

- Tak.

- Ma pani życie ludzkie na sumieniu?

- Tak.

Dopijamy drinka numer jeden i nalewamy sobie kolejnego. Przez chwilę obie milczymy.

- Te dwa zdania nieco się od siebie różnią - mówi Mirja.

- W jaki sposób? - pytam.

- To, że ktoś jest zbędny, może powiedzieć pierwszy lepszy faszystowski idiota, który gównem wie o świecie. Ale twierdzić, że ktoś ma ludzkie życie na sumieniu, to już coś... to już coś innego. Przepraszam, że to mówię, ale...

Zaczynam drżeć, mam nadzieję, że tego nie widzi. Przerwała, bo może zauważyła moją reakcję.

- Co ty chcesz powiedzieć, do cholery? - pytam i wybucham śmiechem, który brzmi nawet dość naturalnie.

- Nie, nic - odpowiada Mirja. - To tylko taka refleksja. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Zrobić?

- Może trzeba podjąć jakieś kroki? Nie należy takim typom dawać pola do popisu, bo to ich tylko inspiruje.

- Brzmisz jak prokurator. Wydawało mi się, że pracujesz po drugiej stronie?

Mirja bierze głęboki wdech i przygląda mi się w milczeniu. Jakbym była dzieckiem, z którym trzeba odbyć poważną rozmowę. Przez kilka sekund czekam, co dalej.

- Nie powinnaś tego bagatelizować - mówi w końcu. - Niejedno już widziałam i nawet jeśli to tylko szalenie, nie możesz tego ignorować. Ale nie martw się, gulasz wystarczy, żebym

została na noc, bo potrzebujesz o tym pogadać, prawda? Trochę się przestraszyłaś, przyznaj szczerze?

Niezdecydowanie pokiwałam głową. Co może oznaczać „tak”, ale równie dobrze „nie”.

- Stalking stalkingowi nierówny - kontynuuje Mirja. - Jeden raz nic nie znaczy, ale dwa razy już o czymś świadczą.

Nie odzywam się.

- Mówiłaś, że kogoś ci przypomina?

- Wszyscy znają Ture Sventona.

- Pytam o jakiś szczegół, choćby coś małego?

- Niestety, nic.

- Może głos?

- Nie.

- Jaki miał głos? Mówił dialektem?

- Nic mi nie przychodzi do głowy, właściwie to... nie, chyba nie. Bez akcentu. Chociaż...

- Co takiego?

- Miał dość wysoki głos. Równie dobrze mógł to być głos...

- ...kobięcy - kończy Mirja.

Zastanawiam się, ale nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. Wzruszam ramionami.

- Nieważne, czy mamy do czynienia z całą ludzkością, czy tylko z jej połową.

- Ale mała część owej ludzkości nie mówi po szwedzku - zaznaczam.

- Co ty powiesz? Powiedz lepiej, jak długo mam czekać na tego ustrzelonego łosia?

Martwe łosie nie mówią po szwedzku, myślę w duchu. Nawet niezły tytuł do następnego zbioru wierszy.

Przez kilka godzin jemy i pijemy wino. Żadna z nas nie lubi deserów, zamiast tego wychodzimy przed dom i palimy cygarетки. Miło jest stać w ciemności i palić. Czujemy się trochę jak

małolaty pokątnie popalające papierosy. Stoimy pod dachem, dom ma wąski taras, na którym latem można siedzieć i walczyć z komarami. Albo schronić się przed deszczem i palić.

I przed domem, i w środku rozmowa toczy się wokół Ture Sventona, tak jest prościej go nazywać (a może ją?). Im więcej wina wypijam, tym bardziej mam wrażenie, że dyskutujemy o czymś ogólnym, uniwersalnym, o jakimś fenomenie, który żadnej z nas nie dotyczy bezpośrednio, ale wydaje nam się interesujący. Zupełnie tak samo, jak chciałoby się podyskutować po obejrzeniu dobrego, ale skomplikowanego filmu. Ale może tylko ja tak czuję, w każdym razie Mirja twierdzi, że Ture Sventon musiał jakoś zaistnieć w mojej wcześniejszej historii, może nie na pierwszym planie, ale jego (jej?) pojawienie się musi mieć związek z moją przeszłością. Być może bardzo odległą, takie typy potrafią zakłócać życie bardzo długo. Powinnam więc trochę pogrzebać w pamięci.

Tak uważa Mirja.

Z innej perspektywy (choć może to wciąż ta sama strona) wydaje jej się, że to może zgorzkniały, niedoszły poeta, którego w wydawnictwie potraktowałam zbyt surowo; albo nieodkryty poetageniusz, który wyprzedza swój czas o co najmniej sto lat, a jego wspaniała poezja nigdy nie ujrzy światła dziennego, ponieważ ją odrzuciłam.

- Ja nie odrzucam - tłumaczę. - Jestem tylko redaktorem. To wydawca ocenia, czy owoc wysiłku przyszłego pisarza nadaje się do druku.

- Wystarczy, że tylko coś mu zasugerowałaś - odpowiada Mirja. - Niełatwo zidentyfikować swojego... swojego rzeczywistego kata. Szczególnie kiedy krwawi serce.

- To brzmi trochę jak mowa końcowa w sądzie?

- Ale działa jak cholera - chichocze Mirja. - To poezja dla ławników.

Zaśmiewamy się i znów wychodzimy na papierosa.

Jedzenie, sprzątanie i rozmowy zajęły nam pół nocy. Mirja ma wolne przedpołudnie, więc kładzie się w pokoju gościnnym, na wprost mojej sypialni. Pod żadnym pozorem nie chce, żeby ją budzić przed dziesiątą.

Ja zasypiam natychmiast, ale za piętnaście piąta budzą mnie koszmary senne. Nie pamiętam, co mi się śniło, jedynie końcówkę: wchodzę na drzewo, uciekając przed dzikim zwierzem, a kiedy już jestem na samym czubku, widzę, że tam siedzi podobne zwierzę i czeka na mnie.

Potem już nie śpię. Leżę i przez kilka godzin przewracam się z boku na bok, więc wstaję i idę na spacer do lasu. Nie ma tu żadnych zwierząt większych niż borsuk, a mimo to czuję lekki niepokój. Las jakby oddychał chłodem i śmiercią. Wrogością, pierwszy raz tak się czuję.

Mirja odjeżdża o wpół do dwunastej, mniej więcej w tym samym czasie zaczyna sypać gęsty śnieg. Rozpalam w kominku, siadam w fotelu i zapisuję wydarzenia ostatnich dni.

Jutro mam następne spotkanie, przedostatnie przed świętami. W małej miejscinie w zachodniej Szwecji. Zaprosiło mnie entuzjastyczne kółko czytelników, które co roku wysyła podobne zaproszenie. Jak zwykle kobiety, kilka razy im odmówiłam, więc tym razem muszę jechać.

15

Piąty grudnia

To świetlica.

Jadę samochodem pół dnia, by w końcu po dwóch telefonach do niejkiej Margot znaleźć drogę. Wokół deprymująco szary zimowy krajobraz pod stalowym niebem. Żałuję, że nie odmówiłam udziału w tym nic nieznaczącym spotkaniu. Powinnam przyjmować tylko te większe. W Växjö mówiłam do kilkuset osób, w Gardeby pewnie będzie około dwudziestu pań w bardzo średnim wieku i trzech siłą przyciągniętych panów, którzy dużo bardziej woleliby leżeć na sofie i oglądać sport.

Ale natychmiast odzywa się mój wewnętrzny głos, który mówi, że powinnam się wstydzić. Bo wieczorem spotkam się z prawdziwymi miłośniczkami kultury, z wymierającymi dinozaurami, które wciąż jeszcze czytają książki, a nawet poezję, mimo iż do najbliższej księgarni mają trzydzieści kilometrów, a książkobus był tu ostatni raz kilka lat temu. To zaszczyt, idiotko, to wielki zaszczyt, powinnaś to wspierać i przedstawiać swoje wiersze, jakbyś była na gali wręczenia Nagrody Nobla. Bo o to przecież chodzi, to twoja odpowiedzialność.

Kiedy wjeżdżam na odśnieżony podjazd i parkuję przed czerwonym drewnianym budynkiem, jest wpół do szóstej i już zupełnie ciemno. Na parkingu stoją trzy samochody. Spotkanie zaczyna się za półtorej godziny. Mogłam się zatrzymać w jakiejś przydrożnej knajpie i tam poczekać. Ale jestem, więc biorę torbę, oddaję się pod opiekę boską i wysiadam z samochodu.

W drzwiach czeka już na mnie Margot. Witam się z nią i dwiema innymi kobietami, które przygotowują kawę w kuchni i nakrywają do stołu. Świetlica nie różni się niczym od innych wiejskich świetlic, prawdopodobnie zbudowana zaraz po wojnie. A może się mylę, świetlice są centroprawicowe i nie mają nic wspólnego z socjaldemokratami. Zresztą nieważne, tak czy siak, ściany są zniszczone i przesiąknięte aromatem nieustannie parzonej kawy.

- To jest Vendela, a to Sigrid - przedstawia je Margot. - Z Vendelą razem zdawałyśmy maturę, pięćdziesiąt lat temu.

- Pięćdziesiąt dwa - poprawia ją Vendela i śmieje się trochę sztucznie. - Jak minęła podróż?

Zapewniam, że wszystko w porządku i że nie miałabym nic przeciwko filiżance kawy i chwili odpoczynku w jakimś zacisznym miejscu.

Ależ oczywiście. Vendela eskortuje mnie do klitki bez okna, gdzie stoi łóżko przykryte kraciatą narzutą. Na nim leżą dwie poduszki i czerwony pled.

- Proszę się rozgościć, a ja przyniosę kawę. Z cukrem?

- Z cukrem, dziękuję.

Publiczność to sześćdziesiąt pań i siedmiu panów. Pewnie cała wieś. I tylko po to, żeby posłuchać poetki ze Sztokholmu, całkiem nieźle. Żaden z obecnych tu mężczyzn nie wygląda jak Ture Sventon. I żaden nie siedzi i nie macha niebieską kopertą. Postanawiam odłożyć mój niepokój na półkę i zaczynam.

Jestem wytrenowana, wystarczy nacisnąć guzik. Mimo to jestem obecna, jestem tu i teraz, przynajmniej przez pewien czas. Wciąga mnie to, co mówię, choć powtarzam to samo na każdym spotkaniu.

Publiczność również jest zaangażowana i obecna. Mimo różnych refleksji na temat miejsca myślę, że spłynął na mnie pewien rodzaj łaski. Przywilej, że mogę poruszać ludzi do tego stopnia. Że słowo może tak wiele znaczyć. Przecież, do jasnej cholery, to nie byle co.

A może ci prowincjusze są znudzeni, ale dobrze wychowani? Nie, nie powinnam się wywyższać. Opanowanie, pokora, inteligencja to moje trzy zasady. Kiedy po godzinie kończę spotkanie, rozlegają się prawdziwe i szczerze oklaski.

Czas na pytania. Żadne nie jest niewygodne, tylko szczerze i interesujące. Przyjmuję prośbę, aby przeczytać jeszcze jeden wiersz. Wybieram *Zobacz, jaka jestem wyczerpana*. To sonet, czternastowersowiec.

Staram się spełnić czyjeś oczekiwania, ale nie przedłużam bez potrzeby. Przecież ludzie muszą mieć siłę dojechać do domów po tych krętych wiejskich drogach.

Osiemnaście podpisanych książek. Kwiaty, butelka wina, album.

Piętnaście minut później żegnam się z Margot, Vendelą i Sigrid. Tylko my zostałyśmy, ale kiedy wychodzę na słabo oświetlony podjazd, widzę pięć zaparkowanych samochodów. Rejestruje to moja na wpół autystyczna część mózgu.

Powinny być cztery.

Teraz jestem w hotelu i zapisuję wydarzenia dnia. Wprawdzie Margot zaproponowała mi nocleg u siebie w domu, ale podziękowałam. Miło, ale stanowczo, należy trzymać pewien dystans, myślę, że to zrozumiała.

Więc jadę trzydzieści kilometrów do Kymlinge, do miasta, w którym nigdy nie byłam, i tuż przed dziesiątą melduję się anonimowo w hotelu Best Western. Być może to inny rodzaj łaski. Hotel absolutnie niczym się nie wyróżnia, ale ma skromny roomservice. W recepcji zamówiłam do pokoju lampkę wina i małą kanapkę, i kiedy to piszę, słyszę pukanie do drzwi. Obraz pięciu zaparkowanych samochodów chowam głęboko w podświadomości i idę otworzyć drzwi.

Over and out.

GRUDZIEŃ 2019

16

Gunnar Barbarotti dwa razy przeczytał dwunasty rozdział *Gęstej sieci*. Siedział w pociągu między Sztokholmem a Skövde i był sfrustrowany. Nie tylko z powodu tego, co przeczytał, ale ogólnie. Chociaż może słowo „ogólnie” nie bardzo pasuje w tym kontekście, bo to coś bardziej prywatnego. Zmęczenie. Może zagubienie. Albo i to, i to.

Albo jeszcze coś, czego nie był świadomy. Czasami miał wrażenie, jakby jego poczucie zakotwiczenia w rzeczywistości słabło. Jakby z otaczającym światem kontaktował się zza jakiejś niewidzialnej ściany. I jeśli nawet nie było to coś szczególnie dojmującego, to przybrało na sile. Założył, że to ma związek z wiekiem, w następnym roku skończy sześćdziesiąt lat, przekroczy kolejną granicę. To jak stacja – jeśli nie ostatnia, porównując ze środkami transportu – do generalnej refleksji. Postój do zmiany? Może najwyższy czas. Przez całe swoje zawodowe życie jest policjantem, ale nigdy pracy nie postrzegał jako części własnej tożsamości. Tak mu się przynajmniej wydaje, a może się myli? Czy można zaprzeczać własnej pracy, nie zaprzeczając samemu sobie? Własnej egzystencji?

Nie pozostaje nam jednak nic innego, jak próbować sobie z nią radzić, kiedy nam się stawia.

Wziąć ją pod lupę. Albo wręcz przeciwnie: zrobić kilka kroków w tył i spojrzeć na nią z dystansu.

Pięcioro dorosłych dzieci i partnerka w Australii to jeszcze inny aspekt życia. Nie do zignorowania. Więż najpierw się zacieśnia, by z czasem słabnąć. Czy to musi tak wyglądać? Prawo natury?

Dobre pytanie, pomyślał Barbarotti. Albo bezsensowne. Wynocha z nim! Patrzył przez okno na przesuwający się wolno krajobraz. I on, i ten krajobraz zawisli gdzieś między świtem a zmrokiem. Uświadomił sobie, że to dopiero szósty grudnia, że do marca zostały jeszcze trzy miesiące i trzeba jakoś przetrwać tę zimową melancholię. To przecież nie pierwszy raz.

Poczucie zagubienia zależy niewątpliwie od pory roku. Zanim Eva udała się na półkulę południową, zaopatrzyła go w słoiczek witaminy D, ale jeszcze go nie otworzył. Stoi w szafce w willi Picford. Postanowił łyknąć kilka pigułek, jak tylko wróci do domu. Potem postawi je w centralnym miejscu na stole, żeby przyjmować przy śniadaniu.

Ale zaprzątanie sobie głowy witaminami to chyba nie dowód na utratę kontaktu z... z rzeczywistością? Pora wziąć się w garść, panie komisarzu! Czas zacząć myśleć o *Gęstej sieci*.

Szczególnie o dwunastym rozdziale.

Przeczytał go już dwa razy, opowiada o morderstwie doskonałym. Ma być wskazówką prowadzącą do Franza J. Lundego. Przy najmniej tyle.

Dzięki sile umysłu i kolejnej kawie udało mu się skupić myśli. Jednocześnie z głośników dobiegła informacja, że pociąg zbliża się do Katrineholm. Dopiero tutaj?

Coś dziwnego było w tym rozdziale. Może to zależało od reszty książki, planował przeczytać ją od początku do końca, ale przerwał w środku drugiego rozdziału, który odwoływał się do przeszłości z dzieciństwa, w lasach Härjedalen.

Przerwa w czytaniu nastąpiła naturalnie, bo zasnął. W hotelowym łóżku. Ale to było wczoraj. Dzisiaj, wczesnie rano, na dworcu w Sztokholmie, a potem przez pierwsze pół godziny w pociągu, przeszedł do sedna sprawy. Do rzekomego morderstwa doskonałego w rozdziale dwunastym.

Trudno to nazwać morderstwem doskonałym, poza tym wcale nie przypominało tego z tekstu, który Franz J. Lunde wysłał wydawcy tuż przed swoim zaginięciem (opowieść poety na targach książki w Göteborgu). To historia o mężczyźnie i kobiecie wędrujących po lesie (jednak nie w Härjedalen). Para turystów dociera do wąwozu, nad którym, jak wszystko na to wskazuje, już kiedyś byli. Wiele lat temu, kiedy byli młodzi i jeszcze w sobie zakochani. Cel ich wędrowki to powrót do tego idyllicznego miejsca. Kobieta o imieniu Anna prosi mężczyznę, aby ją pocałował, tak jak dawniej; Andreas, tak ma na imię mężczyzna, spełnia jej życzenie. Przynajmniej próbuje. Ale czas robi swoje i Andreas już nic do niej nie czuje; wargi Anny równie dobrze mogłyby być wargami innej starej kobiety, a on równie dobrze mógłby być jakimkolwiek innym starszym panem.

Taka jest jego ostatnia myśl, bo kiedy wargami i językiem szuka jej ust, ona spycha go z urwiska. Zabiera plecaki i wraca do pensjonatu.

Byli ze sobą czterdzieści lat, pomyślała, wystarczy.

I oto cała historia. Nie więcej niż cztery strony.

Barbarotti westchnął i wyjął *Ostatnie dni i śmierć literata*. Niedokończone opowiadanie Lundego o pisarzu Johnie Leanderze Franzénie, który łudzaco przypominał autora. A przynajmniej jego losy. Bohater przeżywa to samo co Lunde przed zniknięciem w Kymlinge, dwa... Barbarotti próbował policzyć... dwa tygodnie temu. Opowiadanie kończy się tym, że fikcyjny pisarz jest w drodze na swoje (ostatnie?) spotkanie i ma złe przeczucia.

Co to znaczy? Barbarotti spojrział na ostatnią stronę tekstu. *I wtedy pojawiły się przeczucia. Niechciane jak wrzód czy śmierć.*

Po co pisze się takie historie? Co przeczuwało alter ego autora? Co przeczuwał sam Lunde? Czy chciał coś ukryć, a jednocześnie opowiedzieć? Gdzie przebiega granica między fikcją a prawdą? Czy taka granica w ogóle istnieje?

A teraz, pięć kilometrów od Kymlinge, znaleziono jego spalony samochód. Ale Lundego w nim nie było. Jak to wszystko wytłumaczyć? Co takiego się stało?

- Makabra - wymamrotał komisarz Barbarotti, nie zdając sobie sprawy, że wypowiedział to tak głośno, że przechodząca obok kobieta ze zdziwienia aż uniosła brwi.

Dopił kawę i postanowił się zdrzemnąć. Szybko się pomodlił o SMS z Sydney, kiedy się obudzi.

Wiadomość nie przyszła, ale kilka godzin później dojeżdżał do domu. Po stoczeniu wewnętrznej walki pierwsze kroki skierował do komisariatu. Dopiero czternasta, więc pewnie czekają, aż się pojawi i opowie pokrótce, czego się dowiedział w królewskim mieście. Smutasowi, Toivonenowi, a i samemu Stigmanowi, a przy okazji zapyta techników o samochód Lundego. Wprawdzie nie znaleźli żadnych śladów, ale na pewno coś się zachowało. Wszystko zależy od tego, jak duży był pożar.

Muszę pogadać ze Smutasem, pomyślał, wchodząc do okazałego betonowego budynku, w którym spędził większą część życia. I wciąż spędzał.

Smutas jednak na pewno by się do niego odezwał, gdyby było coś nowego.

Już w korytarzu natknął się na Stiga Stigmana. Ustalili, że spotkają się w gabinecie szefa za dziesięć minut. To znaczy Stigman ustalił.

- Smutas też ma się stawić. Toivonen jest zajęty czymś innym. Za dziesięć minut.

Ale Smutas też miał co innego do roboty. Zamiast niego przyszedł inspektor Lindhagen i Barbarotti ucieszył się, że akurat on. Lindhagen był wolnym duchem. Pracował tu zaledwie półtora roku i jakimś dziwnym trafem nie był skażony policyjną robotą po dwudziestu pięciu latach pracy w różnych miejscach i w różnych miastach. W każdym razie tak uważał Barbarotti. Rok temu – z pewnych powodów – wynajęli z Evą od niego na dwa miesiące dom na Gotlandii. Od tamtej pory często współpracowali i trudno zaprzeczyć, że Barbarotti nauczył się od niego tego i owego. Nie bardzo wiedział, co to konkretnie było, być może radzenie sobie z frustracją. Wprawdzie Lindhagen był nieuleczalnym pesymistą, uważał, że życie to padół łąz, ale reagował ze spokojem. *Sytuacja jest poważna, ale nie beznadziejna*, taka tabliczka wisiała na drzwiach gabinetu.

– Pewnie będziemy wiedzieć niewiele więcej niż przedtem – skonstatował wesoło w drodze do gabinetu Stigmana – ale przynajmniej spędziłeś parę przyjemnych dni?

– I to jeszcze jak – odpowiedział Barbarotti. – Nie był to zupełnie stracony czas.

Jednak komisarz Stigman, jak można się było spodziewać, miał inne zdanie.

– Streść nam wszystko, od początku do końca – powiedział. – I udowodnij, że nie na próżno odbierałem twoją pocztę przez całe trzy dni.

Barbarotti zaczął opowiadać. O spotkaniu z wydawczynią Lundego, o zgorzkniałej siostrze i zaniepokojonej córce, o starym kumplu, który był właścicielem prawie tysiąca płyt winylowych, i o Sarze Sisulu.

Streścił też *Ostatnie dni i śmierć literata* oraz dwunasty rozdział powieści *Gęsta sieć*.

Wszystko, łącznie z pytaniami i opiniami, zabrało mniej więcej tyle czasu, ile trwa połowa meczu piłkarskiego. Kiedy Barbarotti skończył, szef poprawił krawat, dzisiaj czerwony, i doszedł do wniosku, że to cholernie dziwna historia.

- Jeślibyśmy nie znaleźli samochodu, sprawa zostałaby odłożona na półkę. Mamy inne rzeczy do roboty.

- Zgadzam się - powiedział Lindhagen. - Dwie niewyjaśnione strzelaniny, a wkrótce pewnie trzy albo cztery, jeśli nic z tym nie zrobimy. To jednak miło z naszej strony, że się tak troszczymy o jakiegoś zwariowanego pisarza, który ma w zwyczaju znikać. Bo to chyba nie pierwszy raz?

- Za dużo powiedziane - odparł Barbarotti. - Zdarzyło się raz wcześniej. Jego córka jest pewna, że tym razem nie zrobił tego z własnej woli.

- Jest wiarygodna? - zapytał Stigman. - Możemy jej ufać?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Barbarotti. - Dlaczego miałby podpalić samochód, jeśli planował zniknąć tylko na jakiś czas?

- To właśnie mówię - powiedział Stigman. - Technicy nie znaleźli żadnych śladów. Jeśli to będzie konieczne, wyślemy samochód do dalszych badań. Ale na razie się wstrzymamy. Podpalacz musiał mieć ze sobą kanister benzyny.

Na wszelki wypadek, gdyby bak był pusty, pomyślał Barbarotti, ale się nie odezwał.

- Jeśli sprawcą nie jest sam Lunde, to dlaczego spalił samochód? - zapytał Lindhagen. - Może w środku były jego odciski palców?

- Na razie nie mamy nic innego - odpowiedział Stigman po chwili namysłu. - Ale dopóki nie znajdziemy ciała, trudno mówić o sprawcy. Na dzisiaj sytuacja wygląda tak, że mamy zniknięcie i nic poza tym.

- W takim razie co robimy? - zapytał Barbarotti.

- Nie żadne „my” - sprostował Stigman, wydając charakterystyczny dźwięk, który Barbarotti zinterpretował jako warknięcie. Na pewno nie był to pomruk zadowolenia. - Ty jeden wystarczy. Lindhagen będzie w zapasie w razie potrzeby. Ale żaden z was nie jest zwolniony z głównego zajęcia, jakim obecnie są

dwie strzelaniny w Rocksta. Chyba wszyscy się z tym zgadzamy?
Zgadza się?

Stigman spojrział na obu podwładnych, którzy jednocześnie skinęli głowami.

- A więc dobrze - podsumował komisarz Stigman. - Dobrze.

- Wojna gangów jest ważniejsza - powiedział Lindhagen, kiedy opuścili gabinet Stigmana. - I tu, i w innych częściach królestwa Szwecji. Bo kogo, do cholery, obchodzi jakiś zaginiony pismak? Zresztą niezaginieni pisarze też nikogo nie obchodzą.

- Racja - powiedział Barbarotti. - Ale jakiś głos mi mówi, że Lundemu coś się stało. Te incydenty na spotkaniach to może być jakiś trop.

- Może - odparł Lindhagen. - Daj znać, jak będę ci potrzebny. Zawsze możemy wyskoczyć na piwo między jedną a drugą strzelaniną.

- Jedziesz na Gotlandię na święta? - zapytał Barbarotti.

- No jasne - powiedział Lindhagen. - I na święta, i na Nowy Rok. Dziewięć dni odpoczynku, jeśli nic się nie zmieni. Kiedy wraca Eva?

- Nie wiadomo - odpowiedział Barbarotti i wzruszył ramionami. - Pewnie po Nowym Roku.

- Australia nie leży blisko, to fakt.

- No właśnie.

- Czyli sam?

- Na to wygląda.

Lindhagen skinął głową.

- Rodzimy się i umieramy w samotności, tak ten świat jest urządzony. Tym bardziej powinniśmy iść na piwo i pogadać. Powiedz tylko kiedy.

- Dzięki - odparł Barbarotti. - Dam ci znać.

Willa Pickford.

W tym starym domu, który nazwę odziedziczył po pewnej gwiazdzie filmowej, mieszka ponad dziesięć lat, ale jeszcze nigdy nie wyglądał tak smutno i pusto jak tego wieczoru. Jakby uszło z niego całe życie. Kiedy po wyjściu z samochodu Barbarotti spojrział na ten opuszczony budynek, chciał go prosić o wybaczenie.

Za to, że wyjechał na całe cztery dni. Nad pustymi domami rozpościera się pewien rodzaj smutku, zawsze tak mu się wydawało. Ale nigdy nie przypuszczał, że taki zawód spotka jego własny kąt i że to on będzie tego powodem. Skonstatował smutno, że kiedyś wszyscy będziemy musieli zostawić to, co mamy; że przed przemijaniem nie uciekniemy.

Jeszcze jeden kamień do i tak już ciężkiego plecaka.

Na początku, kiedy żyła Marianne, mieszkało tu siedem osób. Duży kuchenny stół mieścił dwanaście, a w zrywach nawet czternaście. Z wszystkimi kolegami i przyjaciółmi wypełniony był do ostatniego miejsca. Eva Backman wprowadziła się rok po śmierci Marianne, ale mniej więcej w tym samym czasie dzieci zaczęły wyfruwać z domu. Taka kolej rzeczy. Czy tego chcemy, czy nie.

Dwoje Marianne i troje jego. Willę Pickford zaczęli opuszczać po kolei, jedno po drugim; zastanawiali się nawet z Evą, czy teraz potrzebują aż siedmiu pokoi na dwustu pięćdziesięciu metrach kwadratowych, ważąc razem sto czterdzieści kilogramów i siadając zawsze w tych samych fotelach, przy oknie z widokiem na jezioro.

Przydatny na zjazdy rodzinne. Rok temu, na Boże Narodzenie, jeśli go pamięć nie myli, udało im się zebrać trzynaście osób. Ich dwoje, pięcioro dorosłych dzieci, dwoje narzeczonych i dwoje wnuków.

Ale to było wtedy. Teraz Eva jest w Australii. Najbliższe święta spędzi sam. Tak postanowił z różnych powodów.

Jakie są te różne powody, już dobrze nie pamięta, ale poinformował dzieci, że najbliższe święta spędzą z inną rodziną, willa Pickford będzie zamknięta. Bo on wykupił podróż.

To oczywiście kłamstwo, ale białe. Nie wykupił żadnej podróży, bo już za późno, była połowa grudnia. Takie samotne święta mogą być nawet kuszące. Tak mu się przynajmniej wydawało, ale kiedy chodził po domu i zapalał wszystkie lampy, rozmawiając jednocześnie z meblami i roślinami doniczkowymi, zastanawiał się, czy to jednak nie szalony pomysł.

Puścił z głośników muzykę fado, ale zaraz ją wyłączył, bo była za bardzo przygnębiająca. W spiżarni znalazł puszkę makreli w pomidorach. Będzie na kolację, do tego kilka kawałków chrupkiego pieczywa i herbata. Nic nadzwyczajnego, ale wystarczy.

Chwilę później nareszcie udało mu się połączyć z Sydney. Przez kamerkę zobaczył, że Eva ma bardzo zmęczoną twarz, pewnie dlatego, że w Australii dopiero piąta rano.

Ale telefon odebrała, więc uznał, że to mimo wszystko udany wieczór. Sprawa zbłąkanego syna nie była powodem do radości, mimo to nie tracił nadziei. Wszystko opisała w długim mailu, jeszcze nie skończyła, ale wysłała mu, jak tylko się wyśpi i zje śniadanie.

- Jak się czujesz? - chciał wiedzieć Barbarotti.

- Szczerze mówiąc, nie najgorzej. Chciałabym, żeby Kalle wziął rozwód i wrócił do Szwecji. Ale nie mogę mu tego powiedzieć.

- Mieszka w domu?

- Tak. Wycofała skargę o pobicie. Ale ta historia z narkotykami wciąż nad nim wisi.

- Dlaczego nie mieszkasz u nich?

- Tak jest lepiej. Pensjonat jest okej. Wszystko ci napiszę w mailu. A jak ty się miewasz?

- Niespecjalnie - przyznał Barbarotti. - Związek na odległość to nie moja bajka.

- Rozumiem - westchnęła Eva Backman, bliska płaczu. - Ale muszę jeszcze trochę pospać. Możemy porozmawiać jutro, dobrze? Kocham cię.

- Ja ciebie też.

I się rozłączyli.

Nie jest tak jak dawniej, pomyślał Barbarotti.

W sobotę obudził się o dziewiątej. Pewnie dlatego, że nie spał w nocy. Zasnął po trzeciej. Wszystko razem tak na niego podziało.

Wziął prysznic i sprawdził maile. Od Ewy nic nie przyszło. Zjadł śniadanie, przeczytał gazetę i spojrzął na ośnieżone jezioro, które już od tygodnia pokrywała tafla lodu. Niezwykle zimna i wczesna zima. Ciekawe, jaka jest pogoda w Sydney, zastanowił się, poklikał i sprawdził, że słońce i trzydzieści stopni.

Cholera, za gorąco, pomyślał. Przeprosił Pana za niewybredny język i korzystając z okazji, że jest z nim na łączach, poprosił o duży ładunek wiary i spokoju ducha.

Trochę więcej rozumu też nie zaszkodzi.

Być może dzięki tej trójcy - wiara, spokój ducha i mądrość - przestał myśleć o sobie, o Evie i całej tej sytuacji kilkadziesiąt tysięcy kilometrów stąd.

Zamiast tego skupił się na pisarzu, który zaginął.

Mówisz, masz. A raczej myślisz, masz; wyjął nagrane rozmowy, oba teksty Lundego - *Gęsta sieć* i *Ostatnie dni i śmierć literata* - notes, długopis i usiadł w fotelu w wykuszu okna.

Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie rozwiążę tej zagadki albo dopóki nie przestanie padać, postanowił. *Whatever comes first.*

Jeszcze raz przeczytał opowiadanie o Johnie Leanderze Franzénie. Zajęło mu to dwadzieścia minut, a śnieg wciąż sypał. Coś mu w tym tekście przeszkadzało. Dlaczego Lunde wybrał taki tytuł? Ostatnie dni i śmierć? Czy to zbieg okoliczności?

A jeśli cała ta historia to przeniesione na papier jego prawdziwe przeżycia? Czyżby Lunde wiedział, że umrze? Że pojawiające się groźby w końcu się spełnią?

I jeszcze ta ponura rozmowa w Göteborgu ze starym poetą. O zupełnie innym pomysle na morderstwo doskonałe niż to opisane w *Gęstej sieci*. Zresztą żadne nie jest doskonałe, ale nie o to chodzi. Więc o co?

Czy Lunde naprawdę nie żyje? Czy tylko chciał, żeby tak wszyscy myśleli?

Jeśli tak, to dlaczego?

Jego siostra nie powiedziała o nim ani jednego dobrego słowa. Jednak z córką utrzymywał kontakt, i to dość bliski. Czyżby ją znów zawiódł i jeszcze raz zniknął, mimo że obiecał, że tego nie zrobi?

I tak dalej. Co wydawca ma w tej sprawie do powiedzenia?

A ten winylowy urzędnik? Napomknął, że pierwsze zniknięcie Lundego miało coś wspólnego z kobietą. Czy uda się ją odszukać?

Barbarotti westchnął i skonstatował, że ma co najmniej dwadzieścia pytań i ani jednej odpowiedzi.

A przeczucia?

Nie lubił tego określenia. Może dlatego, że często się je wiąże z przesądem, z uprzedzeniami.

Żyjemy w świecie, w którym pojęcie „fakty” jest zagrożone. A prawdy coraz częściej ustępują miejsca opiniom. *Każdy ma prawo do swojej własnej prawdy!* Co za brednie.

Przypomniało mu się powiedzenie: *Zanim prawda włoży buty, kłamstwo już obiegnie Ziemię.*

W końcu, jeśli jest się komisarzem kryminalnym, nie można tak łatwo ulegać. Ani szaleńcom, ani światowym liderom czy

innym możnowładcom, tylko dlatego, że głośno krzyczą.

Chociaż Franza J. Lundego trudno zaliczyć do kłamliwych, krzyczących gardeł. On mówi innym głosem. Głosem rezygnacji? Strachu?

Zza grobu?

Barbarotti przychyłał się do tego ostatniego. Mógłby to poprzeć kilkoma uzasadnionymi przypuszczeniami, w tych odpornych na prawdę czasach.

A więc czy Lunde rzeczywiście nie żyje?

Raczej nie.

Został zamordowany?

Raczej tak. Nie można tego wykluczyć.

Przez kogo?

Przez kobietę, która na dwóch czy trzech spotkaniach zadała mu insynuujące pytania. Problem polega na tym, pomyślał Barbarotti z lekką irytacją, problem polega na tym, że dokładnie takich wniosków się ode mnie oczekuje.

Oczekuje? Kto?

Dlaczego jedno pytanie rodzi kolejne?

Muszę ją odnaleźć, pomyślał. Tę kobietę. Od tego trzeba zacząć. Jak się nazywało to miejsce? Räv mossen?

Sprawdził w tekście. Nie, Räv mossen.

To tam zadała to impertynenckie pytanie. Ktoś musi coś o niej wiedzieć.

Gdzie leży to całe Räv mossen w tym naszym długim jak kiszka kraju?

Poszedł po laptop.

Zaledwie dwadzieścia dziewięć kilometrów od Kymlinge. Może warto poświęcić na to poniedziałek? Dwie godziny w jedną i dwie godziny w drugą stronę. W końcu Stigman dał mu wolną rękę.

Oparł się w fotelu i ziewnął. Wiara, spokój ducha i mądrość, sam je sobie zamówił. Może już dostał, lepiej nie wiedzieć.

Rzucił okiem za okno. Śnieg wciąż sypał, ale przez chmury zaczęło się przebijać nieśmiałe słońce.

A to już coś.

18

Niedziela. Barbarotti dostał długi mail z Australii, napisał równie długą odpowiedź; jednak kiedy nadszedł poniedziałek, niepewność została.

Ledwo zdążył wejść do gabinetu, myślami będąc już w Ravmossen, zadzwoniono z recepcji.

- Jakaś kobieta chce rozmawiać o zaginięciu. Połączyć?

Barbarotti odpowiedział, że tak.

- Komisarz Barbarotti. W czym mogę pomóc?

- Chodzi o zaginięcie.

- Rozumiem, ale z kim rozmawiam?

- Nazywam się Mirja Laine. Dzwonię ze Sztokholmu, rozmawiałam z tutejszą policją, ale skierowali mnie do pana.

Brzmiała inteligentnie. Jak osoba wykształcona, co nie zawsze oznacza to samo. Przeliterowała nazwisko, a Barbarotti zapisał.

- A więc słucham, kto zaginął?

- Ktoś, kogo znam.

No, no, pomyślał. Ale jeszcze nie zapaliło mu się zielone światło. Jedynie trochę wzrósł puls.

- Proszę opowiadać.

Kobieta odchrząknęła.

- Wiem, że każdą nieobecność można jakoś wytłumaczyć. Ale od kilku dni próbuję się z nią skontaktować i nic, a to raczej do niej niepodobne. Dlatego postanowiłam to zgłosić.

Do niej? Barbarotti się zdziwił. O czym ona, do cholery, mówi...?

- Nazywa się Maria Green. Może obilo się panu o uszy. Jest poetką, niestety dzisiaj ludzie nie czytają poezji.

- To prawda - zgodził się Barbarotti, próbując uporządkować myśli. Czy to oznacza, że zniknęło już dwoje pisarzy? W ciągu jednego tygodnia? To brzmi jak... sam nie wiedział, jak to nazwać, w każdym razie jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkał. Ani na służbie, ani w życiu. Pisarze powinni siedzieć przy swoich biurkach i pisać, od czasu do czasu odebrać nagrodę czy wziąć udział w *Tańcu z gwiazdami* i zaistnieć w mediach na kilka godzin. Ale nie znikać.

- Nieważne - kontynuowała Mirja Laine. - Najważniejsze, żebyście ją znaleźli. O ile mi wiadomo, nikt jej nie widział od czwartku, była gościem kółka literackiego w waszym rejonie. Rozmawiałam z jej znajomymi, z synem i jej wydawcą, ale nikt nic nie wiedział.

- Od czwartku?

- Tak.

Barbarotti zanotował.

- Zajmiemy się tym. Kiedy pani widziała Marię Green ostatni raz?

- Dwa dni przed jej spotkaniem z czytelnikami... wydaje mi się, że to miała być jakaś świetlica. W ubiegły wtorek byłam u niej... mieszka dziesięć kilometrów od Mariefred. Zatrzymałam się u niej na noc.

- Gdzie jest ta świetlica?

- Pytałam w wydawnictwie. Gdzieś w Gardeby... zna pan to miejsce?

Barbarotti potwierdził.

- I jest pani pewna, że nie wróciła do domu?

- Tak. Ale nie byłam u niej i nie sprawdzałam.

- Czy możliwe, że po spotkaniu przenocowała gdzieś po drodze?

- Raczej tak. To dość daleko, a na pewno jechała samochodem.

- Ale nie wie pani gdzie?

- Nie, ale hotel w Kymlinge jest po drodze.

- Czyli rozmawiała pani z jej synem, tak? Mieszka z nią czy...?

- Ma trzydzieści lat i mieszka w Skåne.

- A Maria ile ma lat?

- Chyba czterdzieści dziewięć. Dokładnie nie pamiętam.

Barbarotti znów wszystko zanotował i zamyślił się na chwilę. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to:

- Czy ma pani jeszcze coś więcej, co by mogło nam pomóc?

- Tak się składa, że mam. Zdaje się, że ktoś ją prześladował.

Powiedziała mi, kiedy u niej byłam.

- Prześladował?

- Tak twierdziła. W Växjö...

- Ktoś prześladował Marię Green w Växjö? Tak pani powiedziała?

- No, może niezupełnie prześladował... ale pojawił się na spotkaniu i zachował się okropnie. Nie tylko ten jeden raz, ale więcej powiem następnym razem, teraz trochę się śpieszę. Powinien pan porozmawiać też z innymi osobami. Na przykład z organizatorami spotkania w Gardeby. Wydawnictwo ma wszystkie informacje, może pan do nich zadzwonić... Wydawca Marii nazywa się Gun-der Widman.

Barbarotti zanotował nazwę wydawnictwa i numer telefonu. Również kontakt do poetki i Mirji Laine, która zgłosiła zaginięcie. Mirja Laine powiedziała, że jest adwokatem, więc zna tak zwane ciemne strony życia.

Czyli siedzimy w tej samej łodzi, pomyślał Barbarotti i podziękował. Obiecał, że zajmą się sprawą i że się do niej odezwie.

- Coś się musiało stać - zakończyła Mirja Laine. - Znamy się od dwudziestu lat, to do niej niepodobne. Potraktujcie to bardzo

poważnie.

- Oczywiście - zapewnił Barbarotti. - Wszystko traktujemy bardzo poważnie.

Prześladował?

O ile Barbarotti dobrze zrozumiał, powiedziała, że ktoś ją prześladował. Zachował się wobec niej co najmniej okropnie... i to niejedynym razem. Siedział przy biurku, patrzył w okno i próbował zebrać myśli. Ale stawiała opór. O co w tym chodzi? Lunde też był prześladowany, tak to przynajmniej wyglądało. Czy to możliwe, żeby dwóch pisarzy zniknęło bez śladu w ciągu dwóch tygodni - oboje po spotkaniu z czytelnikami w okolicy Kymlinge - nie mając ze sobą nic wspólnego?

Raczej nie. Żeby nie powiedzieć wykluczone. Może się zdarzyć, że dwie przypadkowe osoby znikają bez śladu, ale tu chodzi o pisarzy. O dwoje prześladowanych pisarzy.

W ten grudniowy, ciemny poniedziałek - siedząc przy zawalonym papierami biurku - tylko on wiedział, że teraz mają już dwa przypadki. Jeśli Mirja Laine wiedziałyby o zniknięciu Franza J. Lunde, powiedziałyby mu. Barbarotti co prawda widział małą notkę w lokalnej prasie, ale informacja raczej się nie rozniosła na cały kraj. Poza tym nie było powiedziane, że chodzi o dobrze znanego pisarza. Tylko że zaginął gość hotelu Bergman. Jak na razie jego spalony samochód też nie jest informacją z pierwszych stron gazet, ale w połączeniu z historią Marii Green to już inny kaliber. Teraz sprawa nabiera zupełnie innego medialnego znaczenia, Barbarotti nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Dwoje pisarzy znika bez śladu. *Holy cow!* Nareszcie coś innego, niezwiązanego z gwałtem czy wojną gangów.

Zresztą... uświadomił sobie nagle... zresztą nie tylko on o tym wie. Dwie osoby. Oprócz komisarza Barbarottiego jeszcze sprawca?

A nawet cztery, jeśli Lunde i Green są jeszcze żywi i siedzą zamknięci gdzieś w piwnicy?

W piwnicy? Dlaczego akurat tam? Wyrzucił z głowy tę matematykę i fantazję. Nie należy wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Szczególnie dotyczy to jego, komisarza kryminalnego w trakcie wykonywania obowiązków służbowych... jak to kiedyś się mawiało.

Postanowił najpierw skontaktować się z wydawcą i z kółkiem literackim, zanim informacja dotrze do monsieur szefa, Stiga Stigmana. Nie jest przecież pewne, że Mirja Laine nie blefowała.

- A co, nie mogła? - wymamrotał Gunnar Barbarotti sam do siebie; to stało się już u niego nawykiem, ale tym razem nikt go nie słyszał.

Westchnął i zabrał się do pracy, zamiast siedzieć i spekulować.

Godzinę później mógł już coś powiedzieć.

Na przykład że to nie blef. Wszystko się zgadzało.

Z czasem rozwinęła się w nim podejrzliwość. Nauczył się, że łatwowierność się nie opłaca; że nie pozwoli sobie łatwo zamydlić oczu.

Z rozmowy z wydawcą Gunderem Widmanem wynika, że Maria Green miała spotkanie w Gardeby w czwartek. W niedzielę, zaraz po telefonie Mirji Laine, Barbarotti skontaktował się z organizatorkami, które to potwierdziły. Próbował też kilka razy dzwonić na komórkę poetki, ale bez powodzenia.

Czy wydawca dobrze ją znał?

Absolutnie. Poza tym byli kolegami z pracy, ponieważ Maria Green też pracowała w wydawnictwie. Wprawdzie jesienią wzięła kilkumiesięczny urlop, żeby promować swój nowy tomik poezji, ale znali się ponad dziesięć lat i spotykali codziennie.

Czy był zaniepokojony?

Bardzo. Coś się musiało stać.

Czy Gunnar Widman coś podejrzewa?

Nic, kompletnie. To nie do pojęcia.

Czy wie coś, co mogłoby dać policji jakiś trop?

Nie, a co by to miało być?

Barbarotti odpowiedział, że nigdy nic nie wiadomo, i oznajmił, że się jeszcze odezwie.

Organizatorką spotkania w Gardeby była Margot Eriksson. Kiedy Barbarotti zadzwonił, odebrała po pierwszym sygnale.

- Czekałam, aż się odezwiecie. To straszne, po prostu straszne...

Mówiła szybko, trudno jej było ukryć emocje.

- To był taki miły wieczór, a potem ta wiadomość... Zadzwonił wczoraj wieczorem... ten jej wydawca, nie zmrużyłam oka w nocy. Czy to możliwe? Przecież nie można tak po prostu zniknąć?

- Niestety, to się zdarza - odpowiedział Barbarotti tonem uspokajającym, delikatnym i trochę nudnym, jak pewien stary ksiądz, który przed laty udzielał mu komunii. - Nie wiemy na pewno, czy zaginęła, ale wychodzimy z założenia, że coś się musiało stać.

- Boże drogi! - wybuchła Margot Eriksson. - Ale dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślał Barbarotti. Nie dzwoniłbym, gdybym znał odpowiedź.

- Chętnie porozmawiam z panią w cztery oczy - powiedział. - Na przykład u nas w komisariacie. Ale dopóki jesteśmy na linii, muszę zadać kilka pytań. Zgadza się pani?

- Oczywiście... oczywiście, że się zgadzam. To straszne, więc jeśli mogę w czymś pomóc, to... Chętnie przyjadę. Jutro i tak muszę być w mieście, ale jeśli to pilne, to mogę nawet...

- Świetnie - przerwał Barbarotti. - Jutro wystarczy. Ale teraz proszę mi opowiedzieć o czwartkowym spotkaniu. Miało miejsce w Gardeby, zgadza się?

- Oczywiście...

- O której godzinie?
- Zaczęliśmy o siódmej, a skończyliśmy mniej więcej za piętnaście dziewiąta.
- Ile osób przyszło?
- Sześćdziesiąt... sześćdziesiąt jeden z Marią Green.
- Pewnie głównie kobiety?
- Pięćdziesiąt trzy kobiety, siedmiu mężczyzn.
- Rozumiem, że to zorganizowało wasze kółko literackie?
- Oczywiście, wszystko. Nazywamy się Literackie Pejzaże, działamy już prawie dziesięć lat...
- I macie aż sześćdziesięciu członków?
- Nie, aktualnie ośmiu, ale wstęp był wolny.
- A więc każdy mógł przyjść?
- Zgadza się.
- W jaki sposób się ogłaszacie?
- Nic specjalnego. Facebook, kilka plakatów w bibliotece w Kymlinge i u nas w Ringvide. Na ogół to wystarcza, świetlica nie jest taka duża.
- Jak często organizujecie spotkania?
- Staramy się to robić raz w roku. A świetlica w Gardeby jest wystarczająco duża, więc kilka ostatnich spotkań odbyło się tutaj. W czwartek obchodziliśmy mały jubileusz. Odwiedziło nas już dziesięciu pisarzy, część z nich bardzo znana, ale że coś takiego się wydarzy, nigdy byśmy nie...
- Margot Eriksson zatrzymała się, Barbarotti słyszał, jak coś pije.
- Czy znała pani uczestników spotkania?
- Tak, wiele osób regularnie przychodzi... było może dziesięć, piętnaście nowych twarzy.
- Barbarotti notował i się zastanawiał. Czyżby to był ktoś z tych dziesięciu, piętnastu? Niewykluczone.
- Skąd pytanie o publiczność? - zdziwiła się Margot Eriksson.
- Chyba pan nie sądzi, że ktoś mógłby...?

Nie dokończyła myśli, a Barbarotti nie odpowiedział.

- Gdzie nocowała Maria Green po spotkaniu? - zapytał. - Zakładam, że nie wróciła do domu, mieszka pod Sztokholmem.

- W Starze. Zarezerwowałam dla niej pokój. Zaproponowałam nocleg u siebie, ale wybrała hotel. Rozumiem, wielu pisarzy woli trzymać pewien dystans. Chociaż teraz żałuję, po tym, co się stało... Boże, nie mogę uwierzyć, że to prawda.

- Na razie, droga pani, nie wiemy, co jest prawdą, a co nie - wyjaśnił Barbarotti cierpliwie.

Pomyślał, że Star nie byłby jego pierwszym wyborem, ale pewnie Literackie Pejzaże muszą liczyć każdy grosz. Trzeba opłacić wynagrodzenie i podróż.

- Czy coś zwróciło pani uwagę? Ale o tym może porozmawiamy jutro. Może być o jedenastej?

Margot Eriksson odpowiedziała, że jak najbardziej i że ma nadzieję, że wszystko szybko się wyjaśni.

- To była naprawdę świetna poetka, jedna z najlepszych - zakończyła rozmowę.

Barbarotti został jeszcze w gabinecie, przeglądając notatki i zastanawiając się, co się do cholery stało. Następnie zadzwonił do komisarza Stigmana i poprosił o spotkanie.

Stigman odpowiedział, że jest mile widziany, natychmiast.

Natychmiast.

19

Pierwsze kroki, ustalone po godzinnym spotkaniu Barbarottiego z komisarzem Stigmanem, skurczyły się do dwóch.

Rozesłano informację do prasy oraz przydzielono dwóch dodatkowych komisarzy. Specjalnie do tej sprawy. A raczej do tych spraw. Dochodzenie tymczasowo zakwalifikowano jako porwanie, a ta dodatkowa dwójka komisarzy to Lindhagen i Kavafis, ten ostatni w żaden sposób niespokrewniony ze swoim imieniem, greckim wieszczem. Grupa stopniowo będzie się powiększać ze względu na media, które natychmiast podniosłyby krzyk, że tak poważną sprawą zajmuje się tylko trzech policjantów, ale nie ma się co martwić na zapas. Dwoje popularnych pisarzy znika bez śladu; to już wystarczająco dużo, nawet bez komentarzy prasowych. Podział obowiązków między tę trójkę wyglądał następująco: Lindhagenowi przypadł Sztokholm i środkowa Szwecja, Kavafisowi sprawdzenie dostępnych informacji o zaginionych pisarzach oraz znalezienie wszystkiego, co mogłoby pomóc w śledztwie. Zadanie Barbarottiego to wizyta w hotelu Star, położonym pięć minut spacerem od komisariatu. W drodze do hotelu zauważył, że przecieka mu but, i mimo iż minął dwa sklepy obuwnicze, nie zrobił nic, żeby to zmienić. Obowiązek przede wszystkim, jak było wygrawerowane na jednokoronówkach, które w pierwszych latach swojego życia wrzucał do metalowego pudełka.

Wizytę w hotelu zapowiedział przez telefon. Przyjęła go szefowa, tęga kobieta w jego wieku z opaską uciskową na przegubie ręki.

- Przewróciłam się na lodzie - wyjaśniła. - Odsnieżanie w tym mieście jest poniżej wszelkiej krytyki. Iris Douglas, ale wszyscy zwracają się do mnie Madame.

Przez moment Barbarotti zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej o swoim przeciekającym bucie, ale zrezygnował z zaproszenia do wspólnego narzekania. W milczeniu podążył więc za Madame do jej gabinetu położonego w bezpośrednim sąsiedztwie recepcji, w której dyżurowała młoda dziewczyna ze świeżo nadmuchanymi wargami, krzywo się uśmiechając. Barbarotti domyślił się, że jej krzywy uśmiech wiąże się z nowymi ustami, ale nie zapytał.

O tempora, o mores, pomyślał, nie zastanawiając się, co to właściwie znaczy. Jakby to, co powiedział, powstało w jakiejś innej głowie, a w jego znalazło się przez przypadek.

Więc ugryzł się w język, żeby za pomocą tej sprawdzonej sztuczki wrócić do rzeczywistości.

- Proszę usiąść - powiedziała Madame. - Słucham? Zdaje się, że chodzi o zaginięcie naszego gościa, tak?

- Zgadza się.

Barbarotti usiadł w plastikowym fotelu. Madame, dysząc, ciężko opadła na krzesło za biurkiem, które wypełniało połowę pokoju i było mniej więcej tak samo czyste jak jego. Włączyła komputer i założyła duże okulary.

- Kiedy?

- Dokładnie nie wiadomo, najprawdopodobniej w ubiegły czwartek wieczorem.

- Kto to był?

- Maria Green. Pokój rezerwowała dla niej Margot Eriksson.

Madame poklikała na komputerze i marszcząc czoło, zaczęła czytać informacje na ekranie.

- Zgadza się. Zameldowała się około wpół do dziesiątej wieczorem.

- Kiedy się wymeldowała?

- Nie wiadomo - odparła Madame Douglas i zdjęła okulary. - Pewnie wrzuciła klucz do skrzynki, pokój miała opłacony.

- Śniadanie?

- Bardzo możliwe. Jest wliczone w cenę.

- Rozumiem. Nie była winna za minibar?

Okulary znów powędrowały na nos.

- Nie mamy minibaru. Jeśli gość chce coś zjeść czy się napić, może zamówić w recepcji. Mam tu jej rachunki... tak, zamówiła kieliszek wina i kanapkę, zapłaciła gotówką.

Barbarotti zamyślił się na chwilę, a Madame wymachiwała wystającymi spod opaski palcami.

- Muszę ćwiczyć, inaczej mogę stracić czucie - wyjaśniła.

Dobrze, że chociaż palce starasz się utrzymać w formie, pomyślał Barbarotti, nie bez uprzedzeń.

- Chciałbym porozmawiać z osobami, które miały dyżur tamtej nocy - powiedział. - Zakładam, że personel pracuje całą dobę?

- Oczywiście - odpowiedziała Madame tonem pełnym oburzenia. - Zaraz sprawdzę. Tak, dyżur miała Malin... to ta, którą pan spotkał w recepcji. A w piątek rano zmienił ją Rasmus, jak zwykle o siódmej.

- Czy mają jakieś nazwiska? - zapytał Barbarotti.

- Oczywiście, że mają nazwiska - odparła Madame, najwyraźniej poirytowana. - Po prostu oboje nazywają się Lindberg. Mimo iż nie są spokrewnieni.

- Coś takiego - zdziwił się Barbarotti. - W takim razie może od razu porozmawiam z Malin Lindberg?

- Dobrze. Czy jeszcze w czymś mogę pomóc?

Barbarotti pomyślał chwilę.

- Tak, jeszcze jedno. Czy ktoś mieszkał w pokoju zaraz po Marii Green?

Madame znów spojrzała w komputer.

- Z piątku na sobotę, para z Danii, a od dzisiaj pan Lehmann z Niemiec, przyjeżdża raz w miesiącu do swojej firmy i zawsze się u nas zatrzymuje.

- Świetnie, czyli pokój był sprzątny po Marii Green... ile razy?

- Sprzątamy codziennie - odpowiedziała Madame i zza okularów obrzuciła go wzrokiem, jakby naprawdę zaczęła wątpić w jego zdrowy rozsądek.

- To dobrze - powiedział Barbarotti. - Ale pewnie przed każdym nowym gościem trochę dokładniej? Świeża pościel, i tak dalej?

- Chyba pan nie sądzi, że nasi goście śpią w używanej pościeli?

- Skądże znowu - odparł komisarz Barbarotti. - Mimo wszystko chciałbym rzucić okiem na pokój.

- Teraz mieszka tam pan Lehmann.

- A czy ten pan Lehmann jest teraz w środku?

- Właściwie to nie. Jest w firmie.

- To się dobrze składa - wyjaśnił Barbarotti. - Proszę się z nim skontaktować i poinformować, że policja chce wejść do jego pokoju na dziesięć minut. Jeśli się nie zgodzi, proszę go przenieść gdzie indziej.

- Ale przecież nie...

- Można, można, prowadzimy dochodzenie w sprawie przestępstwa... ewentualnego przestępstwa.

- Ale pan Leh...

- A teraz chciałbym porozmawiać z panną Lindberg. Chyba prościej będzie, jak pani ją tu poprosi?

Już miał na końcu języka, żeby poinstruować szefową hotelu, że na te parę chwil ona sama powinna stanąć w recepcji, ale zatrzymał to dla siebie. Madame najwyraźniej zrozumiała swoją rolę, bo wstała zza biurka, obrzuciła Barbarottiego mrocznym spojrzeniem i pokuśtykała po dziewczynę z krzywym uśmiechem.

Rozmowa z Malin Lindberg przebiegła stosunkowo gładko. Maria Green zameldowała się w hotelu w czwartek, o wpół do dziesiątej wieczorem. Zamówiła do pokoju kanapkę z krewetkami i kieliszek białego wina. Zapłaciła z góry, żeby w piątek wcześniej się wymeldować. Malin Lindberg zaniósła jej zamówienie. W lodówce były dwie kanapki z krewetkami, więc drugą zjadła sama i położyła się spać do ciasnego pokoiku za recepcją. Noc była raczej spokojna, około wpół do pierwszej zameldowało się kilkoro gości. Wstała o wpół do szóstej rano, o siódmej, kiedy kończyła swoją zmianę, zaczynała następna grupa, dwie osoby na etacie plus jeden stażysta. Kilka minut po siódmej Rasmus Lindberg przejął recepcję.

Czy w ciągu nocy ktoś wchodził lub wychodził z hotelu?

Nie, nic takiego nie zauważyła. Na ulicy też było spokojnie.

Ale spała kilka godzin?

Tak, ale kiedy ktoś wchodzi, dzwoni dzwonek.

I całą noc nikt nie dzwonił?

Nie, chyba nie.

Chyba?

Czasami dzwonek cicho zadzwonił sam z siebie.

O której zaczyna się śniadanie?

Od siódmej do dziesiątej, w dni powszednie.

Czy po dostarczeniu kanapki i wina widziała jeszcze Marię Green?

Nie.

Czy ma coś do dodania?

Nie.

Czy możliwe jest wyjście z hotelu niezauważonym?

Tak. Wystarczy wyjść schodami przeciwpożarowymi, są w trzech miejscach.

Po tych wyjaśnieniach komisarz Barbarotti poinformował, że na razie to wszystko, ale że niewykluczone, że się z nią skontaktuje.

Pobieżne oględziny pokoju trzysta dwadzieścia dwa, w którym zatrzymała się Maria Green, przynajmniej w nocy z czwartku na piątek, nic nie przyniosły. Po pięciominutowej, bezsensownej inspekcji Barbarotti nic nie znalazł. Pomieszczenie przypominało przeciętny pokój hotelowy w Europie Północnej. W związku z tym, że po tamtej nocy mieszkało w nim troje nowych gości – tyle samo razy był sprzątany – raczej trudno mieć nadzieję, że coś się znajdzie. Nie było żadnych śladów krwi, broni czy innych narzędzi przestępstwa.

Jeśli nie wiesz, czego szukasz, na pewno nie znajdziesz.

Tę prostą prawdę wbił Barbarottiemu do głowy jego stary mistrz, Axel Uhrman, i teraz tak się właśnie czuł.

Czego szukał?

Co się stało w tym pokoju cztery dni temu?

Czy w ogóle coś się stało?

Kiedy wychodził z hotelu, zauważył, jak łatwo się wydostać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, dokładnie tak, jak mówiła recepcjonistka Malin Lindberg. Krótki korytarz kończył się drzwiami prowadzącymi wprost do zejścia przeciwpożarowego, w gruncie rzeczy były to najzwyczajniejsze schody, które urywały się kilka metrów nad ziemią, zejście z nich dla osoby o przeciętnej sprawności nie powinno stanowić żadnego problemu. W dodatku drzwi z łatwością można było otworzyć, przynajmniej od wewnątrz, co było dobrym pomysłem, gdyby hotel stanął w płomieniach, a korytarz wypełnił się dymem.

Po krótkiej inspekcji Barbarotti wrócił do recepcji, aby wziąć kontakt do personelu, który miał dyżur w piątek, oraz do Rasmusa o wspólnym nazwisku Lindberg.

Pożegnał się z Madame Douglas, zagroził, że jeszcze tu wróci, i udał się do komisariatu. Natychmiast po wyjściu poczuł, że z przeciekającym butem nie jest ani odrobinę lepiej, a ponieważ natychmiast przypomniała mu się rada jego szanownej mamy – *jeśli marzną stopy, to zmarznie i głowa* – po drodze wstąpił do sklepu z obuwiem i kupił nową parę. Naprawdę ładne, w dodatku po przystępnej cenie, 1295 koron. Od razu je włożył, a stare zostawił w sklepie.

W dalszym ciągu nie miał jednak pojęcia, co się stało z poetką Marią Green. To samo dotyczyło jej kolegi po fachu, pisarza Franza J. Lundego.

Pożyjemy, zobaczymy.

Do diabła! – wykrzyknął inspektor Lindhagen. Sytuacja na świecie jest gorsza niż ta zaraza. Mamy dupków, nie przywódców, i to wszędzie: Turcja, Polska, Brazylia, Węgry, Rosja, Korea Północna, *you name it...* nie mówiąc o Afryce czy tej cholerycznej żółtej grzywce w Białym Domu.

Barbarotti czekał, a Lindhagen westchnął.

– Demokracja dogorywa, na Bliskim Wschodzie ludzie giną jak muchy, jedyne, co funkcjonuje w naszym kochanym królestwie, to przestępczość zorganizowana. Kalifat znów podnosi głowę, klimat się gotuje... i tak dalej, i tak dalej. A co my robimy? Szukamy dwóch zwariowanych pisarzy! Boże pomóż, napijesz się kawy?

– Chętnie – odparł Barbarotti.

Wzięli kawę i udali się do gabinetu Lindhagena. Mimo że była już za piętnaście piąta, inspektor poprosił o półgodzinną rozmowę, a Barbarotti się zgodził.

– Chociaż muszę przyznać, że to nawet interesujące – powiedział Lindhagen, zanim Barbarotti zdążył zacząć.

– Walki gangów czy strzelaniny to nic interesującego... po prostu żałosne. Popraw mnie, jeśli się mylę.

– Nie mylisz się – zgodził się Barbarotti.

– Liberalizm rynkowy to kloaka systemu. Zgodzisz się ze mną?

– Sam nie wiem – odparł Barbarotti. – Jeśli chodzi o naszych zaginionych, to też nie mam nic więcej do dodania. Wygląda na to, że Maria Green opuściła hotel i ślad po niej zaginął... podobnie Lunde. Dwa tygodnie wcześniej.

– Hm – westchnął Lindhagen.

Barbarotti wypił łyk lurowatej kawy i pokrótce opowiedział o swojej wizycie w hotelu Star.

– Hm – powtórzył Lindhagen. – I to wszystko?

– Został mi jeszcze recepcjonista. Może będzie coś wiedział. Podobnie jak kilkuset innych gości biblioteki w naszym kochanym mieście i w świetlicy w Gardeby.

- Samo życie - odparł Lindhagen. - Ale nie wolno się poddawać. Jutro czeka mnie nawet dość ciekawa wycieczka. Przydzielili mi Wolfsona jako towarzystwo, ale chyba zrezygnuję. Jest trochę męczący. Lepiej niech sam się tym zajmie.

To skrócony przez Lindhagena aspirant Wennergren-Olofsson. To znaczy jego nazwisko, nie sam aspirant, który wciąż miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- To pojedź sam - zaproponował Barbarotti. - Gdzie?

Lindhagen otworzył notes.

- Sztokholm, potem Sörmland, ale najpierw Ravmossen i Västerås... I jeszcze Lindesberg w sprawie Green, ale jeszcze nie wiem kiedy. Kręcili się po różnych miejscach, ci nasi kochani literaci, zanim... no właśnie, zanim przepadli jak kamień w wodę. I tu jest pies pogrzebany.

- Można tak powiedzieć - odparł Barbarotti.

- W dodatku ktoś im jeszcze groził... cholernie dziwna historia. Nie pamiętam, żebym w swojej karierze spotkał się z czymś podobnym.

- Ja też nie - powiedział Barbarotti. - À propos, a co z mediami? Dostali coś?

- Stigman właśnie rozmawia z TV4 czy z Echem. I tak już coś jest w Internecie. Nie zaszkodzi, jeśli w Ravmossen jeszcze przed moim przyjazdem dowiedzą się, co się u nich stało. Biblioteka zwróciła się do wszystkich, którzy byli na spotkaniu z Lundem, żeby dzwonili... podobnie w Västerås.

- Trochę mało czasu?

- Może, ale nigdy nic nie wiadomo.

- A Vaxjö? - zapytał Barbarotti. - Green też tam była.

- Tym się zajmę w drodze powrotnej - powiedział Lindhagen. - Po Sztokholmie. A potem zahaczę o jej dom w lesie. Wezmę inspektora na zwolnieniu lekarskim z Kungsholmen.

- Na zwolnieniu?

- Tak, ale jest już na nogach.

- To dobrze - odpowiedział Barbarotti.

- Mam nadzieję - odparł Lindhagen. - Wrócimy do tematu, jak będziemy trochę więcej wiedzieć. Na razie wiadomo tyle, że poetka Maria Green w nocy przed zaginięciem zatrzymała się w hotelu Star, zgadza się?

Barbarotti skinął głową.

- Ale nie wiemy, czy była tam rano?

- Na razie nie.

- Mówiłeś, że chłopak z recepcji mógł ją widzieć?

- Albo inni goście. Spróbujemy ich odnaleźć.

- To trochę dużo - westchnął Lindhagen. - A jej samochód? Bo pewnie przyjechała samochodem?

- Przed hotelem jest mały parking. Ale samochód zniknął, podobnie jak ona.

- Więc jak się rano wydostała i... i zniknęła? W Oslo, w Berlinie czy czort wie, gdzie jeszcze?

- Samochód równie dobrze mógł stać spalony gdzieś w lesie - odparł Barbarotti. - I mamy identyczny *modus operandi*.

- Skąd ty bierzesz te dziwne powiedzenia? - zdziwił się Lindhagen. - Nie wiemy, czy jadła śniadanie w hotelu?

- Nie. Już o to pytałeś.

- Przepraszam - powiedział Lindhagen i podrapał się długopisem za uchem. - Za wiele niewiadomych. O co tu chodzi? Samotny szaleniec przeciwko pisarzom... z jakiego powodu?

- Tylko niektórym - uściślił Barbarotti. - Może jakiś niedoszły literat, który dostał kiepskie recenzje swojej jedynej książki. Albo może odrzucili jego dzieło i przez to nigdy nie ujrzało światła dziennego.

- Albo jakiś wróg książek - powiedział Lindhagen i zrobił grymas. - Biedak, który nie nauczył się czytać. Stalking jest teraz w modzie, ale nie będziemy się gubić w domysłach. Nie mamy bladego pojęcia, co się z nimi stało.

- Pełna zgoda - odpowiedział Barbarotti. - Gównu wiemy.

- Może uciekli gdzieś na egzotyczną wyspę... Ale to raczej wykluczamy.

Barbarotti wzruszył ramionami.

- Raczej tak.

- Znali się?

- Nie mam pojęcia. Ale się dowiemy.

- Sporo się jeszcze musimy dowiedzieć - podsumował Lindhagen.

- Żebyś wiedział.

- Ale początki zawsze są trudne - skonstatował Lindhagen.

Po naradzie z Lindhagenem Barbarotti zadzwonił do Erika Kavafisa, żeby sprawdzić, czy jest jeszcze w komisariacie.

Był. Kavafis, który od pół roku może się tytułować: inspektor kryminalny, nie należał do tych, co to opuszczają służbę przed czasem; planował zakończyć za trzydzieści lat karierę jako główny inspektor policji, więc nie mógł leżeć do góry brzuchem. Całe przedpołudnie spędził zatem przed komputerem, szukając informacji o Franzu J. Lundem i Marii Green, a kiedy Barbarotti wszedł do jego gabinetu, pisał sprawozdanie.

- Jeśli poczekaś dziesięć minut, dostaniesz to na papierze - powiedział. - Masa porozrzucanych informacji. Nie wiem, co się może przydać, ale mam nadzieję, że coś znajdziesz. To bardzo dziwna historia, komisarz też tak uważa?

- Komisarz też tak uważa - odparł Barbarotti. - Jeśli w ogóle jest jakaś historia.

- Przecież samochód Lundego sam się nie podpalił - zdobył się na odwagę Kavafis.

Raczej nie, pomyślał Barbarotti i skinął głową. Zniknięcie samo w sobie nie jest przestępstwem, ale wbrew własnej woli już tak. Wszystko przemawia za tym drugim. Dokładnie tak, jak twierdzi Kavafis.

- Naturalnie - odparł. - Poczekam w kantynie, przynieś mi to, jak skończysz.

- Ma się rozumieć - odpowiedział Kavafis i wrócił do komputera.

Czy ja kiedykolwiek byłem tak ambitny jak on?, zapytał o to sam siebie, kiedy wyszedł. Może trzydzieści lat temu?

Nagle poczuł jakiś rodzaj irytującej niewiedzy. Ranę w głowie. Jest tak, jak powiedział Lindhagen, to jakaś cholerna zagadka, to ich zniknięcie.

Zagadki są po to, żeby je rozwiązywać. A znaki zapytania, żeby je prostować.

Muszę to sobie jakoś uporządkować, postanowił.

Tak, panie komisarzu.

Dwie godziny później był już z powrotem w Kymlinge. Rozmowa z recepcjonistą Rasmusem Lindbergiem niewiele dała. Wprawdzie w piątek rano widział gości, którzy się wymeldowywali czy szli na śniadanie. Ale nikogo podobnego do Marii Green. Oczywiście, nie był pewien na sto procent, ale na dziewięćdziesiąt siedem, może dziewięćdziesiąt osiem. Barbarotti zapytał, czy z zawodu jest matematykiem, i faktycznie, okazało się, że Rasmus Lindberg, zanim zaczął pracę w hotelu, studiował matematykę.

Willa Pickford wyglądała tak samo smętnie jak rano, kiedy wychodził. Smutna i opuszczona. A nawet rozżalona; Barbarotti postanowił, że następnym razem zostawi zapalone światło, żeby nie wpaść w depresję, jak będzie wracał do pustego domu.

Jeśli w następnym życiu będę domem, to chciałbym, żeby wokół mnie cały czas byli ludzie, pomyślał, kiedy po wyjściu z samochodu szedł błotnistą ścieżką do drzwi wejściowych. Śnieg topniał od dwóch dni, a prognoza pogody zapowiadała deszcze i wiatry aż do świąt.

Ciekawe, jak jest w Sydney?

Pogoda świetna, trudno jej coś zarzucić, powiedziała Eva, kiedy Barbarotti do niej zadzwonił. Poza tym bez zmian. W jej głosie nie usłyszał nadziei, wyczuł, że swój pobyt tam uważa za bezowocny. Powiedziała, że u niej jest w pół do szóstej rano, że wciąż mieszka w tym samym skromnym pensjonacie i że relacja między synem a synową pozostawia wiele do życzenia. Byłoby dla nich lepiej, gdyby się rozstali, co im zasugerowała. Pobicie zostało umorzone i odłożone do akt. Nikt tu jej specjalnie nie zatrzymuje, szczególnie synowa, więc na kilka dni wyjeżdża w Blue Mountains, żeby wszystko przemyśleć i nabrać dystansu.

- Wracaj do domu - powiedział Barbarotti.

Wtedy wyszło jeszcze coś.

- To nie tylko to. Potrzebujemy trochę od siebie odpocząć, ty i ja.

- Co? - zdziwił się Barbarotti.

- To nie znaczy... to nie znaczy, że chcę się rozstać. Absolutnie nie, ale ostatnio nie było między nami najlepiej. Chyba się ze mną zgodzisz? Dlatego pomyślałam, że to dobry pomysł, żeby...

Przerwała. Najwyraźniej szukała odpowiedniego słowa; zresztą on też. Minęło pięć sekund, może dziesięć. Długich jak węgore. Oplatające półkulę ziemską od Kymlinge aż do Mainly pod Sydney. Barbarotti poczuł, że słowa, czyny, bardziej lub mniej przemyślane decyzje czy wyznania miłosne w jednej chwili straciły znaczenie i zniknęły w czarnej dziurze. Niedługo skończy sześćdziesiąt lat, a jakby się na nowo narodził.

- Gunnar - powiedziała Eva. - Nie obawiaj się, to nie twoja wina. Wróć, ale pomyślałam, że jeśli jestem już tak daleko, to przyda nam się chwila wytchnienia. Kocham cię, ale przez ostatni rok było między nami trochę... szczególnie od jesieni. Może ma to związek z tym zastrzelonym chłopakiem, nie wiem... ale daj mi kilka tygodni, proszę cię, Gunnar.

Eva pociągnęła nosem, a on pomyślał, że... no właśnie, co pomyślał? Że Eva ma rację? Że on też się nosił z takimi myślami? Tylko schował je głęboko, bo jest mężczyzną. Ma rację, to się

zaczęło jakiś rok temu. Eva zastrzeliła młodego chłopaka, ale być może tym samym uratowała życie dwóm innym osobom. To powinno trochę zrównoważyć smutek, ale tak się nie stało.

W trakcie toczącego się śledztwa wzięli urlop i dwa miesiące spędzili na Gotlandii, w domu inspektora Lindhagena w Rute. Mieli tam dobry czas. Przynajmniej Barbarotti, bawił się nawet myślą, żeby się tam kiedyś osiedlić. Z dala od zamętu ludzkiego... nie pamiętał, skąd wzięło to wyrażenie, ale im był starszy, tym bardziej go pociągało. Inspektor Lindhagen poetycko nazywał to „kloaką systemu”.

Barbarotti był pewien, że Eva myśli podobnie. Żartowali nawet, żeby otworzyć tam biuro detektywistyczne. *Biuro Detektywistyczne w Fårö*. Miał to być nie tylko szyld zawieszony na pachnących dziegciem drewnianych drzwiach, ale sposób na życie w tym schowanym przed światem zakątku. Jeśli wciąż jeszcze takowe istnieją. Usunąć się na bok.

- Halo! Jesteś tam?

- Tak, jestem. Zamyśliłem się... spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Rozumiem cię, Gunnar. Nie tak to miało zabrzmieć, ale stało się. I wróć... jeśli wciąż jeszcze mnie chcesz?

- Oczywiście, że chcę.

- Dzięki. Odezwę się za kilka dni... z Blue Mountains. Kocham cię, Gunnar.

- Ja ciebie też.

Więcej już nic nie powiedzieli. Potem myślał tylko o tych dwóch słowach, najważniejszych, a zarazem najbardziej zużytych i wyświechtanych.

Zakłęcie czy nie zakłęcie? Oto kolejne pytanie.

Z głową pełną myśli przeniósł się w inną dekorację, usiadł w wykuszu okna z kubkiem herbaty i raportem inspektora Kava-fisa. Doszedł do wniosku, że to był marny dzień - najłagodniej

mówiąc - i potrzebuje głębszego kontaktu z wszystkim, a w szczególności z niebem. Postanowił, że przed pójściem do łóżka wskaże palcem miejsce w Biblii. O co prosił kilka dni wcześniej? O spokój ducha, rozum... i o coś jeszcze, ale już nie pamiętał co. Nowe buty się sprawdziły, ale potrzebuje większej zmiany.

Na to przyjdzie czas później, pomyślał. Teraz muszę się skupić na mojej policyjnej robocie, mam nadzieję, że Eva nie zniknie, tak jak ci pisarze.

21

Zapisanie trzech stron zajęło mu trzy godziny.

Następnego dnia rano, jedząc śniadanie (łącznie z witaminą D3) i słuchając deszczu za oknem, jeszcze raz przeczytał wszystkie nocne pytania i wnioski. Pytań wiele, wniosków wręcz przeciwnie. Najważniejsze, że były na piśmie.

Na początku lat osiemdziesiątych, jeszcze jako aspirant, zauważył, że słowa naniesione na papier dają jasność, klarowność. Trudno znaleźć odpowiedzi na pytania bezładnie krążące po głowie, ale kiedy przeleje się je na białą kartkę, nie uciekną. Poprzedniego wieczoru udało mu się ułożyć aż dwadzieścia, ale uświadomił sobie, że nie potrafi odpowiedzieć ani na jedno. Ale czy potrzebujemy pytań, na które znamy odpowiedź?

Teraz, jedząc skromne śniadanie, musi wybrać najważniejsze i ułożyć je w kolejności, od najpilniejszego do takiego, które może poczekać. Czyli znaleźć te, które najbardziej zaciemniają obraz i na które szybko trzeba znaleźć odpowiedź, żeby ruszyć dalej.

Przerzucił kartkę w notesie i zaczął zapisywać.

Związek między Lundem a Green?

Oboje są pisarzami i oboje nękani przez stalkera (prawdopodobnie tego samego?). Kroki: Kavafis nadal zbiera informacje.

Miejsca ostatnich spotkań autorskich?

Biblioteka w Kymlinge oraz świetlica w Gardeby. Czy sprawca to ktoś z gości? Kroki: przesłuchać wszystkich obecnych, co do jednego, w obu miejscach!

Maria Green!

Kroki, które należy podjąć: odnaleźć i przesłuchać osoby z jej otoczenia. Na przykład syna, byłego męża. Jeszcze raz przesłuchać Mirję Laine i wydawcę.

Ravmossen, Växjö, Lindesberg i Västerås?

Kroki: czekać na raport Lindhagena.

Oba hotele w Kymlinge – Bergman i Star?

Kroki: sprawdzić, kto wiedział, gdzie Lunde i Green mieli przenocować. Czy ktoś pojechał za nimi? Dlaczego w żadnym pokoju nie było śladów rumoru?

Barbarotti wpatrywał się w ostatnie pytanie – „rumor” to może nie najlepsze słowo w tym kontekście, ale czy możliwe, że autorzy opuścili swoje pokoje dobrowolnie? Czy są na to dowody?

To ważne rozróżnienie, dobrowolnie czy pod przymusem, jego subtelną analizę przerwał dzwonek telefonu. To monsieur szef, komisarz Stig Stigman. Uświadomił sobie, że śniadanie trochę się przeciąga, ale odebrał.

Dowiedział się, że za czterdzieści pięć minut pojawi się prokurator. Dokumenty leżą na jego biurku, więc niech podniesie tyłek i jak najszybciej przyjeżdża do komisariatu, żeby zdążyli zamienić kilka słów. To znaczy teraz. Natychmiast. Jakies pytania?

Barbarotti nie miał żadnych pytań. Łykiem zimnej kawy wypłukał ostatni kęs kanapki z serem, umył zęby i wyszedł. Nie zgasił ani jednej lampy.

Z samochodu zadzwonił do Margot Eriksson i powiedział, że zmienili taktykę. Nie musi przyjeżdżać do komisariatu, ale zamiast tego chciałby z nią porozmawiać dzisiaj po południu, u niej w Gardeby.

A dokładniej w świetlicy.

Margot Eriksson zapewniła, że nie ma nic przeciwko temu. Absolutnie. O drugiej? Wtedy zdąży już wrócić z Kymlinge. O drugiej, potwierdził Barbarotti.

Prokurator nazywała się Ebba Bengtsson-Ståhle. Barbarotti już wcześniej z nią współpracował. Niewiele wiedziała o sprawie, bo nikt za wiele nie wiedział. Barbarotti trochę jej opowiedział i umówili się za kilka dni, kiedy być może będą mieli coś więcej. Spotkanie trwało ponad czterdzieści minut, Stigman miał na sobie niebieski krawat i żeby zaznaczyć swoją obecność, wtrącił, że są postępy. W nadchodzącym tygodniu liczą na duże zainteresowanie w mediach, więc muszą nakarmić dziennikarzy i społeczeństwo nowymi informacjami, które pokażą, że posuwają się w śledztwie, i od których będzie wiało optymizmem, że... tak, że widać już znaczący postęp. Z każdym dniem coraz większy.

Prokurator Bengtsson-Ståhle i komisarz kryminalny Barbarotti pokiwali zgodnie głowami i powiedzieli, że rozumieją. A ponieważ wciąż jeszcze nie mieli ani sprawcy, ani przestępstwa – jedynie podejrzenie o uprowadzenie dwóch osób, co już samo w sobie dobrze nie wróży – postanowiono, że Barbarotti będzie nadzorował dochodzenie. Przynajmniej na razie.

- Dopilnuj, żeby to wreszcie ruszyło z miejsca – powiedział Stigman, kiedy byli sami. - Na zewnątrz ma to wyglądać, jakby to był najwyższy priorytet, ale wewnątrz, u nas, jeszcze niekoniecznie, rozumiesz, o co mi chodzi? Rozumiesz czy nie?

Barbarotti zapewnił go, że rozumie i że wraca do pracy. Ma kilka ważnych spotkań, więc szef pozwoli, że go zostawi samego

i zajmie się sprawą, priorytetową i od zewnątrz, i od wewnątrz. Mianowicie wojną gangów w Rocksta.

- Gangi - wymamrotał Stigman. - Gangi.

Myślał, że z Margot Eriksson będzie mógł porozmawiać w cztery oczy, ale na spotkanie do świetlicy w Gardeby przybyły trzy panie. Stały na schodach przed wejściem, kiedy Barbarotti wjeżdżał na podjazd. Wszystkie w wieku około siedemdziesięciu lat, z poważnymi minami. Jakby czekały na księdza przed pogrzebem.

- Pomyślałyśmy, że przyjdziemy wszystkie - wyjaśniła Margot Eriksson i przedstawiła siostry z kółka literackiego. - To myśmy zorganizowały spotkanie, właściwie to było nas cztery... ale jednej coś wypadło. To straszne. Macie już coś?

Barbarotti przeprosił, że niestety. Ale teraz musi zająć się tym, po co przyjechał. Oczywiście, panie nie mają sobie nic do zarzucenia, bo jeśli Marii Green coś się stało, to na pewno nie z ich winy, po prostu siła wyższa. Ale teraz chciałby, żeby opowiedziały o czwartkowym spotkaniu. Tylko może najpierw wejdą do środka?

Kiedy weszli, na stole stały kawa i ciastka. Barbarotti nie musiał o nic pytać, bo panie same zaczęły opowiadać o wieczorze piątego grudnia. O znakomitym wystąpieniu Marii Green, ze szczególnym akcentem na jej ostatni zbiór poezji, *Osiemnaście rozmów z koniem, gdybym go miała*. O tym, jak pięknie czytała, i o ciepłym przyjęciu przez publiczność. To był bardzo udany wieczór. Atmosfera magiczna, brawa długie i szczere. Po spotkaniu poetka podpisywała książki, w podziękowaniu dostała album i odjechała do Kymlinge do hotelu Star, zgodnie z planem.

Barbarotti słuchał uważnie, notował, wtrącił kilka pytań i oznajmił, że chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o publiczności. Wiek, płeć i tak dalej?

Margot Eriksson wiedziała, o co chodzi. Oprócz jej trio, które organizowało imprezę, w sali było pięćdziesiąt siedem osób. Pięc-

dziesiąt kobiet i siedmiu mężczyzn. Średnia wieku to siedemdziesiąt lat, nikt poniżej trzydziestki. Czyli tak jak się spodziewał, ale lepiej zapytać dwa razy, niż nie zapytać w ogóle.

- Jakieś znajome twarze?

- Wiele - odpowiedziała Margot Eriksson. - Jak zawsze przy takich okazjach.

- Ilu mogłaby pani wymienić? Mniej więcej?

- Co najmniej połowę - odparła Margot Eriksson po krótkim namyśle.

- Więcej - wtrąciła druga dama, której imienia nie pamiętał. - Myślę, że między trzydzieści pięć a czterdzieści.

- Na pewno nie mniej niż czterdzieści - powiedziała trzecia dama. - Mam nawet zdjęcia, jeśli to pana interesuje.

- Zdjęcia? - zapytał Barbarotti. - Gości?

- Tak. Kilka Marii Green, ale też widowni... jeśli pan komisarz jest ciekawy. Robione moją komórką. Muszę się pochwalić, że niektóre wyszły naprawdę dobrze.

- Jestem zainteresowany, jak najbardziej - zapewnił Barbarotti.

- Możemy...?

Oczywiście. Przez dobrą godzinę oglądali pięć zdjęć zrobionych tamtego czwartkowego wieczoru. W sumie sześćdziesięciu osobom, wliczając organizatorki. Po krótkiej chwili trzy bystre damy zgodnie przyznały, że kojarzą czterdzieści twarzy. Dwie osoby: „ta mieszka z Ivarem Lintonenem, a to jest nowy facet Kerstin Fornebod”, otoczyły kółkiem.

Summa summarum zidentyfikowały czterdzieści pięć osób.

Z pozostałych piętnastu jedenaście widać dość wyraźnie, z wyjątkiem czterech reprezentowanych przez czoła, włosy, ramiona, kolorowe rękawy i tym podobne detale.

Nad tymi jedenastoma będzie musiał popracować. To całkiem mała liczba, jeśli się wykluczy organizatorki.

Trzeba będzie na nich rzucić trochę światła.

Po dokładniejszej selekcji - wychodząc z założenia, że statystyczny morderca to mężczyzna - pozostaje fenomenalnie niska liczba, mianowicie trzy.

Morderca?

Zignorował to pytanie.

Dwóch mężczyzn z twarzą, jeden bez, pomyślał. Bo należy założyć, że wysokie czoło, z jeszcze wyższą czupryną przerzedzonych włosów, oraz ramię ubrane w tweedową marynarkę to raczej mężczyzna.

A kiedy o to samo zapytał trzy damy z Literackich Pejzaży, okazało się, że są tego samego zdania. Tak, to musi być mężczyzna!

- Ale czy pan komisarz rzeczywiście uważa, że...? - próbowała jedna z jego pełnych energii pomocnic, ale natychmiast rutynowo zaprzeczył:

- Jeszcze za wcześnie na takie wnioski. Absolutnie.

Komisarz Barbarotti przerzucił zdjęcia na swoją komórkę, listę nazwisk schował do teczki, podziękował za spotkanie i wyszedł. Wskoczył do samochodu i odjechał do Kymlinge.

Nadspodziewanie owocna wycieczka, pomyślał, widząc w lusterku wstecznym znikającą świetlicę w Gardeby. Jeśli rzeczywiście przestępca istnieje, a należy przyjąć takie założenie, to niewykluczone, że jego twarz wiezie teraz do komisariatu. Albo jego czoło lub czuprynę przerzedzonych włosów.

Całkiem nieźle.

I tę optymistyczną myśl postanowił zachować w pamięci.

zy prześladowcą Frasse Lundego mogła być kobieta? – zapytał inspektor Lindhagen, kiedy wreszcie udało im się skontaktować.

C – W pewnym stopniu – odparł Barbarotti.

– Nie można być kobietą w pewnym stopniu – zaprotestował Lindhagen. – Chyba że zmieniło się coś, o czym nie wiem?

– Lunde, z tego, co pisał, nie był pewien płci – powiedział Barbarotti. – Równie dobrze mogło chodzić o faceta, który się przebrał za kobietę.

– A ten, który pojawił się w Växjö na spotkaniu tej poetki?

– Nie wiadomo. Sprawdzę, może Mirja Laine coś wie. Wczoraj nie mogłem jej złapać.

– To ona zgłosiła zaginięcie?

– Dokładnie.

– No to już mamy priorytet – powiedział Lindhagen.

– Absolutnie. Obejrzyj zdjęcia, które ci przesłałem. Pokaż w innych miejscach, może znają jakąś twarz. Szczególnie te jedenaście, bez nazwisk... zwróć uwagę na dwie, które zaznaczyłem.

– Już sobie je dokładnie obejrzałem – powiedział Lindhagen. – Nawet czoło. Ale muszę przyznać, że jestem sceptyczny.

– Słyszę, ale rób, co mówię.

– Yes, boss – odparł Lindhagen. – Wiem, o co chodzi. Jeśli się okaże, że ta sama osoba była u jednego i u drugiego, to już wiemy, gdzie pies pogrzebany.

– Przynajmniej jeśli chodzi o Växjö i Lindesberg – dodał Barbarotti. – Chyba nie zakładamy, że był więcej niż jeden sprawca?

– Wystarczy nam jeden – powiedział Lindhagen.

– Jeśli w ogóle jakikolwiek istnieje – skonstatował Barbarotti. – Rozumiesz, o co chodzi?

– Jak najbardziej – zapewnił Lindhagen. – Ravmossen już sprawdziłem, niedługo będzie raport. Za godzinę jadę do Lindesbergu. Zaufaj mi, nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam.

– Na szczęście – odparł Barbarotti i skończył rozmowę.

Jeszcze przez dobrą chwilę siedział w gabinecie i oglądał zdjęcia z Gardeby, a nadzieja mieszała się z wątpliwościami. Czyżby to było takie proste, że wystarczy zidentyfikować jedną z tych twarzy? Wśród wszystkich, które z takim nabożeństwem słuchały Marii Green?

Bo tylko tak to można określić. Z nabożeństwem. Wszystkie oczy zwrócone w jednym kierunku, na poetkę, której plecy w czerwonym wdzianku, a raczej ich część, widoczne były na dwóch fotografiach. Niewątpliwie swoją publiczność miała w garści, spijali słowa jej z ust.

Barbarotti próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszał jakiś wiersz czytany na głos, ale nie pamiętał. Za to nasunęło mu się kolejne pytanie.

Czy w poezji Marii Green jest klucz do tego, co się stało.

Może powinien przynajmniej przejrzeć jej tomik poezji? Tyle może zrobić. Jaki to był tytuł? *Osiemnaście rozmów z koniem...* i jeszcze trzy, cztery słowa.

Rozmawiać z końmi? Właściwie dlaczego nie? Z ludźmi rozmawia przez całe życie. I musi przyznać, że z różnym skutkiem.

Ale swoje peryferyjne przemyślenia odsunął na dalszą przyszłość. Podobnie jak *Gęstą sieć* i *Ostatnie dni i śmierć literata*. Czas na literaturę przyjdzie później, teraz musi zająć się śledztwem.

Na przykład pytaniami, na które odpowiedzi znalazł ktoś inny.

Całe popołudnie zeszło mu na rozmowach z trzema osobami, z dwiema przez telefon i z jedną *in vivo*, tak to się chyba nazywa.

Pierwszy to Fredrik Green, syn Marii Green, lekarz w szpitalu uniwersyteckim w Lund. O tym, co się stało, został poinformowany w niedzielę wieczorem, gdy zadzwonił do niego zaniepokojony wydawca Gunder Widman. Syn był nieco przygaszony, ale budził zaufanie, pomyślał Barbarotti. Jednak nic nie wniósł do sprawy. Nie widział się z matką od początku września, ale cza-

sami rozmawiali przez telefon. Nie miał pojęcia, co było powodem jej zniknięcia, nie słyszał też, aby ktoś ją prześladował, jak sugerowała Mirja Laine.

Barbarotti zapytał, czy mieli bliski kontakt, czy dużo rozmawiali, kiedy się widzieli albo kiedy do siebie telefonowali. Fredrik Green przyznał, że bywało z tym różnie. Ale szanowali się, a kiedy kilka lat temu jego brat bliźniak zginął w wypadku, byli dla siebie dużym oparciem.

Na początku stycznia Fredrik będzie na tygodniowej konferencji w Göteborgu i jeśli nic się nie zmieni, jeśli jego matka wciąż się nie odnajdzie, umówili się, że się spotkają w cztery oczy i porozmawiają.

Ale oczywiście wszyscy mają nadzieję, że sprawa dużo wcześniej będzie miała szczęśliwy finał.

Numer dwa to również rozmowa telefoniczna. Nareszcie udało mu się złapać Mirję Laine. Powiedziała, że jest w drodze na salę sądową, ale że zadzwoni za godzinę. Barbarotti nie czekał dłużej niż dwadzieścia minut. Świadek się nie pojawił, więc sprawa została odroczone. Zresztą nie pierwszy raz.

Zaczął od podziękowania za kontakt z policją i na tym samym oddechu wytłumaczył, że utworzyli już specjalną grupę dochodzeniową.

- Specjalną grupę dochodzeniową? - zdziwiła się Mirja Laine.
- To może już coś macie?

- Jeszcze nie - odparł Barbarotti. - Ale wydaje się, że zniknięcie Marii Green mogło mieć coś wspólnego z innym, wcześniejszym zniknięciem. Pewnie pani czytała?

- Widziałam wczoraj w wiadomościach. O co tu chodzi?

- Nie wiemy - odparł Barbarotti. - Ale właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać. Czy Maria Green znała się z Franzem J. Lundem?

- Nie sędzę - odparła. - Ale pisarze spotykają się przy różnych okazjach. Poza tym Maria pracuje jeszcze w wydawnictwie, więc bardzo możliwe, że... że się na siebie natknęli.

- Nigdy o nim nie mówiła?

- W każdym razie nie ze mną. Możliwe, że jego nazwisko pojawiło się podczas jakiejś rozmowy, ale nie przypominam sobie.

- Czy Maria Green ma kogoś zaufanego? Przed kim może się otworzyć?

Mirja Laine zastanowiła się.

- Nie wydaje mi się. Jest raczej samotnym wilkiem, wiedziałabym o tym. W wydawnictwie ma oczywiście kolegów, ale czy przyjaciół... chyba nie.

- Jacyś mężczyźni?

- Podobnie. Twierdziła, że po rozwodzie z Maxem ma dość facetów. Nie, nie wspominała o żadnym... ile to już czasu? Od prawie dziesięciu lat. Ale mogę się mylić, to oczywiste, że pewnie od czasu do czasu uprawiała seks z jednym czy z drugim, ale na pewno nie było to nic poważnego. Bardzo dba o swoją niezależność i o swoją samotność, jeśli pan rozumie, o czym mówię.

Barbarotti potwierdził, że rozumie, i zapytał, czy od ich ostatniej rozmowy coś jej się przypomniało, co by mogło rzucić nowe światło, ale jako odpowiedź otrzymał zdecydowane nie.

- To wszystko jest takie dziwne... w dodatku jeszcze ten Lunde. Czy możliwe, że sprawca wybiera pisarzy zupełnie przypadkowo? Bo na przykład nienawidzi słowa pisanego... hejt jest teraz w modzie.

- Też o tym myślałem, ale miejmy nadzieję, że nie o to chodzi - zaprzeczył Barbarotti. - A ten człowiek, który pojawił się w Växjö, czy Maria opowiadała o nim?

Mirja Laine znów pomyślała.

- Powiedziała, że przypominał jej Ture Sventona.

- Ture Sventona?

- Tak twierdziła. Że był chudy. I dość dziwacznie ubrany.

- A czy mogło chodzić o kobietę przebraną za mężczyznę?

Znów się zastanowiła.

- Nie mam pojęcia, ale kiedy pan to mówi... właściwie to chyba nawet coś takiego zasugerowała.

Świetnie, pomyślał Barbarotti, podziękował Mirji Laine za poświęcony czas i jak zwykle powiedział, że będą w kontakcie.

Rozmowa *in vivo* miała miejsce kilka minut później, w pokoju młodego Kavafisa. Inspektor poświęcił całe dwa dni na poszukiwania tego, o co Barbarotti pytał Mirję Laine. To znaczy o możliwe powiązania między Marią Green a Lundem.

Oczywiście bardziej ogólne. Swoich poszukiwań jeszcze nie zakończył, co podkreślił, ale już wiadomo, że Lunde i Green musieli się na siebie natknąć, przynajmniej przy pięciu okazjach. Za każdym razem w związku z pracą.

Kavafis pokazał listę ich spotkań i jesiennych objazdów, jak kraj długi i szeroki.

- *Targi książki w Göteborgu, 22-25 września 2011*
- *Dzień książki w Kalmar, 13 listopada 2012*
- *Targi książki w Göteborgu, 25-28 września 2014*
- *Forum literackie w Kopenhadze, 11-13 listopada 2016*
- *Festiwal literacki w Kirunie, 16-19 października 2018*

Barbarotti zapytał, czy Kavafis wie, ilu autorów uczestniczyło w tych imprezach. Kavafis znał odpowiedź również i na to pytanie. A jakże.

- W Göteborgu około tysiąca, dziewięćdziesiąt procent ze Szwecji, dziesięciu z zagranicy...

- Doskonale - powiedział Barbarotti.

- W Kopenhadze liczba również wysoka, mianowicie kilkuset. Jeśli chodzi o Kalmar i Kirunę, to jesteśmy gdzieś między liczbą pięć a dziesięć.

Barbarotti pomyślał chwilę i wpadło mu do głowy pytanie tak inteligentne, że aż sam się zdziwił.

- Dobra robota, Kavafis. A czy mamy trzecie nazwisko, które było na... no, powiedzmy na przynajmniej trzech z tych imprez?

- Albo dwóch, nie licząc Göteborga? - zapytał Kavafis. - Jeszcze nie, ale to zabierze trochę czasu. Mam nadzieję, że pan komisarz to rozumie.

- Czas to na razie jedyne, co mamy - odpowiedział Barbarotti i doszedł do wniosku, że jednak nie jest najinteligentniejszym stworzeniem w tym pokoju.

Wziął listę i życzył Kavafisowi powodzenia w dalszych poszukiwaniach.

23

Kilka dni później Barbarotti umówił się z inspektorem Lindhagenem na piwo. Była sobota, czternasty grudnia. W nowo otwartym miejscu o nazwie Pieczona Kura jedli stek i pili piwo. Po pierwszym kęsie zaczęli rozmawiać o pracy.

- Mam już uczulenie na tę całą historię - powiedział Lindhagen.

- Niemożliwe - zaprzeczył Barbarotti. - Od czegokolwiek, ale na pewno nie od dochodzenia, które utknęło w martwym punkcie.

- Opieram się na nauce - powiedział Lindhagen. - No to niech będzie wysypka. Ale bardziej na duszy niż na ciele. Coś mi się wydaje, że dopadł nas syndrom Stasi, jeśli wiesz, o czym mówię.

- Stasi? - zdziwił się Barbarotti.

- Nadmiar informacji. Co czwarty Niemiec był donosicielem, a osób, na których donoszono, zrobiło się tak dużo, że niemożliwe było sprawdzenie ich wszystkich. Podobna sytuacja jest z tymi

cholernymi pismakami. Już straciłem rachubę, z iloma świadkami rozmawialiśmy: bibliotekarze, wydawcy, czytelnicy, goście hotelowi, Andersson, Petersson, Lunnström... a jak się trafi ktoś wiarygodny, pominiemy go, bo utonie w całym tym tłumie. Rozumiesz, o czym mówię?

- W takim razie co mamy robić, jeśli nie rozmawiać z ludźmi?

- Myśleć.

- Wydaje mi się, że ty już to robisz - powiedział Barbarotti.

- Jestem w trakcie - odparł Lindhagen. - Ale skoro o tym mowa, to możemy trochę pospekulować, co?

- Dlaczego nie? - odparł Barbarotti. - Zawsze mi się wydawało, że między myśleniem a spekulowaniem jest pewna różnica, ale niech tam.

- Bardzo cienka. Ale nie psuj zabawy.

- A więc szukasz motywu, czy się mylę? Dlaczego ktoś miałby usuwać pisarza, a nie na przykład maszynistę czy położną?

- Dobrze - powiedział Lindhagen. - Jesteś na właściwej drodze.

- Dlaczego? Takie jest pytanie. Na zdrowie.

Pili i jedli stek. Barbarotti pomyślał, że analiza Lindhagena nie jest jakoś szczególnie wartościowa. Ale to normalne na początku dochodzenia, jedyna różnica polega na tym, że tym razem problemu nie stanowi wyważenie drzwi w miejscu popełnienia przestępstwa, ponieważ... no właśnie, żadnego miejsca przestępstwa nie ma. W każdym razie nic takiego nie znaleźli. Nie mają też ciała. Żadnych technicznych śladów, jedynie spalony samochód. Groźbę i dwa zaginięcia... a raczej dwie groźby.

- Trochę słabo, że ani jeden świadek nie był w stanie opisać stalkera - powiedział Barbarotti. - Nie wiemy nawet, czy mamy do czynienia z facetem czy z kobietą.

- Może osoba niebinarna, jak to się teraz nazywa - skonstatował Lindhagen. - Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Ale jeśli powiem, że mamy do czynienia ze sprawcą neutralnym

plciowo, to... to jest to poprawne politycznie. Nie ujmuje ani jej, ani jemu.

- Większość morderców to faceci - powiedział Barbarotti. - A my wciąż mamy trzech nieznananych facetów ze zdjęcia z Gardeby.

Lindhagen wytarł z brody sos z zielonego pieprzu.

- Jakoś nie jestem przekonany. Przecież w Gardeby nie padło żadne niewygodne pytanie. A to oznacza, że naszego sprawcy tam nie było. Za to mam trzy inne teorie, chcesz posłuchać?

- Chyba nie mam wyjścia?

- Zgadza się. Kiedy je poznasz, będziesz mógł zagłosować. Do wygrania kalendarz Związku Daltonistów na dwa tysiące dwudziesty rok, udało mi się kupić dwa.

- Jeśli tak... - powiedział Barbarotti

- A więc w każdym przypadku mówimy o tym samym sprawcy, jest jeszcze teoria numer cztery, ale to później.

- No, dawaj, zanim zasnę - powiedział Barbarotti.

- Okej, mistrzu. Teoria numer jeden: mamy do czynienia z analfabetą. Jakiś nieszczęsny fan, który w życiu nie przeczytał żadnej książki i dlatego postanowił zabić tylu pisarzy, ile mu się uda.

- Chyba nic głupszego jeszcze nie słyszałem - powiedział Barbarotti. - Odpada.

- To może ta - zaproponował Lindhagen. - Numer dwa brzmi następująco: Lunde i Green zostali uprowadzeni. Siedzą gdzieś zamknięci, a sprawca czerpie przyjemność z dręczenia ich. Mści się za doznaną krzywdę. W świecie wydawniczym jest wiele zawiści i zazdrości, tyle się o tym czyta. Biorą się za łby, każdy z każdym. Nasza para nie ma z sobą nic wspólnego, ale każde z nich go skrzywdziło... może nawet jest z tej samej branży. Jednym słowem, nieszczęsny i zraniony kolega. Cholernie nieszczęsny i cholernie zraniony.

- Okej - powiedział Barbarotti.

- Teoria numer trzy jest właściwie podobna do numer dwa, jedyna różnica polega na tym, że mściciel zabił swoje ofiary. Zakopał je albo utopił w jeziorze, możesz wybrać. Co ty na to?

- Niewielki wybór - odparł Barbarotti po chwili namysłu. - A teoria numer cztery? Jeśli nawet nie podlega głosowaniu?

- Dla ciebie zrobię wyjątek - powiedział Lindhagen. - Numer cztery: Lunde i Green mają romans. Już to mówiłem poprzednio. Usunęli się, żeby mieć święty spokój. Opalają się teraz gdzieś na Wyspach Zielonego Przylądka czy w Tajlandii i mają w głębokim poważaniu, że my tu wypruwamy sobie żyły.

- Przecież oboje są singlami - zaprotestował Barbarotti. - Dlaczego nie mogli zamieszkać razem jak normalni ludzie?

- Bo to pisarze - wyjaśnił Lindhagen. - A to dziwne typy. Barbarotti westchnął.

- Oddaję głos. Chcesz jeszcze jedno piwo?

Lindhagen odpowiedział, że jedno chętnie wypije, więc Barbarotti podszedł do baru.

Rozmowa jeszcze się jednak nie skończyła. Przez następną godzinę siedzieli i wałkowali w kółko to, co miały do powiedzenia przesłuchiwane osoby. Niestety, żadnych konkretnych o ewentualnym stalkerze. Cztery czy pięć osób zapamiętało to impertynencje pytanie w Ravmossen, ale nikt nie widział jego autora/autorki. To samo w pozostałych miejscach. Nikt nie widział żadnego Ture Sventona. W bibliotece w Kymlinge również. Może w Västerås, bo w Lindesbergu też nie. Aż roilo się od pełnych fantazji przypuszczeń i tropów, ale nic z tego nie przybliżyło ich do rozwiązania.

Czy w ogóle ten stalker istnieje? A jeśli to wszystko tylko literackie fantazje?

Ale w dwóch miejscach? W dodatku od raczej wiarygodnych świadków?

Czy równanie będzie prostsze do rozwiązania, jeśli wykluczy się stalkera? Zaginęło dwoje pisarzy, musi być jakieś wytłumaczenie.

To, co się choć trochę wyklarowało, to ich obraz, a raczej obrazy. Z opisu znajomych i rodziny wynika, że oboje byli trudni. Bez uroku osobistego ani zdolności socjalnych. Egoistyczny i raczej niesympatyczny – oto opinia o Franzu J. Lundem. O Marii Green ktoś powiedział, że potrafiła być arogancka i pogardliwa i „zadzierała nosa”.

Wielu świadków podkreślało, że oboje byli indywidualistami i że łatwo zrażali do siebie ludzi, szczególnie w kręgach literackich i intelektualnych.

Jeśli zostali uprowadzeni (porwanie?, morderstwo?) z zemsty czy dla wyrównania rachunków, to potencjalnych kandydatów nie trzeba daleko szukać – nawet jeśli dotychczas nie wypłynęło żadne konkretne nazwisko. W każdym razie nie mógł to być jeden wróg dla obojga, nic na to nie wskazuje. Pominąwszy fakt, że brali udział w tych samych imprezach literackich, o których mówił Kavafis.

Media wisiały im na karku, tak jak się spodziewali, a ponieważ Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami, na świecie działo się tyle niepokojących rzeczy – brexit, Hongkong, Iran, Irak... nie mówiąc już o zmianach klimatycznych i tym kłamliwym twitterowym kłownie w Białym Domu – to wszystko było w granicach normy.

Zdaniem komisarza Barbarottiego, który od pewnego czasu czuł się, jakby był pod pręgierzem.

– Ktoś by się jeszcze przydał – powiedział inspektor Lindhagen, kiedy już przemaglowali temat na prawo i lewo. – Dwie osoby nie są w stanie stworzyć sensownego wzorca, ale kiedy będzie nas troje, a najlepiej czworo, coś z tego może powstać. Przecież świat jest trójwymiarowy.

– Zgadzam się, że świat jest trójwymiarowy – odpowiedział Barbarotti.

- Dzięki za wsparcie.

- Ale z góry dziękuję za trzecie zaginięcie przed świętami. To samo dotyczy ciebie, jeśli wybierasz się na Gotlandię.

- Już za tydzień - powiedział Lindhagen i spojrzął na zegarek.

- Masz rację, cholera by mnie wzięła, gdyby coś takiego teraz się przydarzyło. Mówiłeś, że święta spędzasz w domu, czy...?

- Na to wygląda - odpowiedział Barbarotti i ku własnemu zdziwieniu poczuł lekki wstyd.

- Wypijmy za wszystko, co nie jest pracą - podsumował Lindhagen.

Jednak sytuacja nieco się zmieniła w niedzielę.

Nie w sprawie Lunde/Green, ale prywatnie. Barbarotti obudził się późno, kiedy łykał witaminę D, zadzwoniła córka Sara.

- Zmiana planów - powiedziała, nie wdając się w szczegóły. - Spędzimy święta w willi Pickford. Okej?

- Dobrze... oczywiście.

- Czy ty rzeczywiście wyjeżdżasz?

- Zrezygnowałem - skłamał. - Jest tyle pracy, że dostałbym tylko parę dni urlopu.

- To się świetnie składa! - wykrzyknęła Sara. - Byłoby pusto bez ciebie. Jenny też będzie i może Henrik, ale to jeszcze nie jest pewne, bo musi też odwiedzić mamę w Strömsund. Rozmawiałam z nią wczoraj... to znaczy z Jenny.

- Dzięki - powiedział Barbarotti, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. - To świetnie. Czyli choinka, prezenty i tak dalej?

- Choinka na pewno, prezent dla Maxa, i wystarczy. My przygotowujemy coś do jedzenia, więc możesz pracować, ile chcesz. Andrej zrobił kurs robienia kielbasy.

- Co takiego?

- Nie przesłyszałeś się. Nie masz nawet pojęcia, jak dobra może być kielbasa, jeśli ją odpowiednio przyrządzić. Będziemy

w piątek wieczorem, Wigilia dopiero we wtorek, więc ze wszystkim zdążymy. Muszę kończyć, śpieszę się. Fajnie, że będziesz w domu.

Wyłączyła się. Barbarotti zamknął oczy i uświadomił sobie, że pomysł samotnego spędzenia świąt był dość idiotyczny.

Siedem godzin później, kiedy grudniowe ciemności rozpostarły się nad willą Pickford jak mokry koc, a Barbarotti rozpałał w kominku, żeby odgonić zimowy mrok, niespodziewanie zadzwonił telefon.

24

Gunnar Barbarotti, słucham.

- Komisarz Barbarotti?

- Tak.

- Tu Iris Douglas, pamięta mnie pan? Madame!

Barbarotti zastanowił się chwilę i odpowiedział, że oczywiście.

- Z hotelu Star. Powiedział pan, żebym dała znać, jeśli pojawi się coś nowego... właśnie w tej sprawie dzwonię.

- Ach tak? W takim razie słucham.

Madame przez chwilę dyszała do słuchawki.

- Pół godziny temu. Dokładnie o piętnastej pięćdziesiąt dwa. Nazywa się Elizavieta Peskovic.

Pewnie naoglądała się seriali kryminalnych, pomyślał Barbarotti i westchnął.

- Kim jest Elizavieta Pes...?

- Peskovic. Sprzątaczką.

- Zamieniam się w słuch.

- Robiła generalne sprzątanie pokoju trzysta dwadzieścia dwa.

- Generalne sprzątanie?

- Tak, raz w miesiącu przewracamy pokoje do góry nogami, centymetr po centymetrze.

- Świetnie - powiedział Barbarotti. - Brudne hotele to okropność. Pokój trzysta dwadzieścia dwa to ten, gdzie...?

- Tak, gdzie mieszkała ta Green, która zniknęła. Kiedy Elizavieta uniosła materac... znalazła książkę.

- Książkę?

- Właściwie to notatnik. A4, czerwony, w twardej oprawie, musiał należeć do tej poetki.

- Skąd ta pewność? - zapytał Barbarotti.

- Dlatego że na wewnętrznej stronie okładki jest jej imię i nazwisko, *Maria Green*. Zapisała trzydzieści, czterdzieści stron. Musiała go włożyć pod materac, kiedy leżała w łóżku.

- Jest pani teraz w hotelu?

- I ja, i Elizavieta, i notatnik.

- Będę na miejscu za piętnaście minut - poinformował Barbarotti. - Proszę go nie dotykać.

- Przecież nie jestem głupia - powiedziała stanowczym głosem Madame Douglas, parszając pogardliwie.

Elizavieta Peskovic była szczupła i niska. Barbarotti ocenił jej wagę na dwa razy mniejszą od wagi jej pracodawczyni.

Stwierdził również, że w tym kontekście to zupełnie nieadekwatna obserwacja. Obie panie czekały w biurze, sprzątaczką stała, a dyrektorka hotelu siedziała. Na brzegu biurka leżał wspomniany owoc generalnego sprzątania w postaci zwyczajnie wyglądającego notatnika. W czerwonej, twardej oprawie, rozmiaru A4, dokładnie tak, jak go opisała Madame.

- Proszę bardzo, panie komisarzu - powiedziała, machając wciąż zabandażowaną ręką. - Mam nadzieję, że ten drobiazg przyda się w śledztwie.

Trudno było nie zauważyć lekkiej złośliwości. Jakby to był jakiś osobisty podarunek - a raczej pogłaskanie po głowie - od zacnego obywatela dla niedostatecznie docenianego przedstawiciela władzy.

- Świetnie - powiedział Barbarotti i wyjął plastikowy worek. - Czy notatnika dotykał ktoś jeszcze z personelu hotelowego?

- Wydaje mi się, że tylko ja... - zaczęła się nieśmiało tłumaczyć Elizavieta Peskovic, zanim została uciszona przez swoją szefową.

- Naturalnie, że nie. Wiemy, co robimy, i dbamy o szczegóły.

- To się świetnie składa - odpowiedział Barbarotti. - Bo ta sama reguła obowiązuje u nas, więc proszę, aby obie panie stały się jutro na komisariacie w celu zdjęcia odcisków palców. Najlepiej przed jedenastą, mam nadzieję, że to nie problem?

- Naturalnie, że nie - powtórzyła Iris Douglas. - Czy coś jeszcze?

- Na razie to wszystko - odpowiedział Barbarotti. Bardzo chętnie osobiście zająłby się ich odciskami palców, skoro i tak jest na miejscu, ale tę uwagę sobie darował. Jeśli chodzi o sprzątaczkę, to nie miał jej nic do zarzucenia, natomiast jej tęga szefowa działała mu na nerwy. Być może w jej suchym głosie było coś, co przypominało mu Helenę, jego wyrzuconą już z pamięci pierwszą żonę, która ostatni raz dała o sobie znać trzy albo cztery lata temu z lotniska w Meksyku.

Ale wystarczy. Włożył notatnik do worka, schował do teczki i życzył obu damom miłego niedzielnego wieczoru.

Kiedy znów mógł usiąść w wykuszu okna z termosem herbaty i skopiowanymi stronami dziennika Marii Green, było wpeł do ósmej.

Dzisiaj mija dokładnie trzydzieści lat od mojego pierwszego stosunku seksualnego.

Tak się zaczynał. Dziwne, ale datowany na czternastego i dwudziestego siódmego listopada, a w następnym zdaniu napisała, że to kłamstwo.

Poeci, pomyślał Barbarotti, poprawił pozycję i czytał dalej.

Lektura zajęła mu trochę czasu. A dokładniej mówiąc, półtorej godziny i trzy kubki herbaty. Chodziło o trzydzieści sześć odręcznie zapisanych stron. Kiedy dobiegł do końca, uświadomił sobie, że przygryza wargi i czuje szum w skroniach. Był skupiony, a zarazem sfrustrowany, jakby nie mógł nadążyć za akcją w jakimś skomplikowanym filmie.

To zresztą nie było dalekie od prawdy, jedynie z tą różnicą, że nie chodziło o film, a o relację z prawdziwego życia. Sprawozdanie z punktem ciężkości na wydarzeniach ostatnich jesiennych miesięcy.

Które zakończyły się bardzo niefortunnie. Prawdopodobnie po spotkaniu z czytelnikami w Gardeby Maria Green leżała w łóżku hotelowym i pisała dziennik, gdy ktoś zapukał do drzwi. Możliwe, że to... Barbarotti nie odważył się użyć słowa „najprawdopodobniej”... jej zamówiona kanapka i kieliszek wina. Zanim podeszła do drzwi i otworzyła, zdążyła jeszcze zapisać:

*Wyrzucam z pamięci obraz tych pięciu samochodów, bo
powinny być cztery, i idę otworzyć drzwi.*

Over and out.

Czy rzeczywiście do pokoju zapukała dziewczyna z recepcji? Ale to łatwo sprawdzić.

A może już to zrobił? Przecież ta Lindberg, dziewczyna z krzywym uśmiechem, powiedziała, że zniosła do pokoju kanapkę i wino?

Coś nie tak z moją pamięcią, zmartwił się Barbarotti. Niedobrze.

A te teksty?, pomyślał zafrapowany, bo czy to nie jest dziwne? Tuż przed zaginięciem Franz J. Lunde wysłała do swojego

wydawcy *Gęstą sieć* i wstęp do *Ostatnich dni i śmierci literata*. A teraz te zapiski Marii Green o kimś, kto nazwał ją zbędną i prawdopodobnie ją śledził.

W każdym razie musiała zrobić to, co zasugerowała Madame Douglas. Schowała pamiętnik pod materac... i poszła otworzyć drzwi.

Notatnik przeleżał tam dziesięć dni, aż do generalnego sprzą-tania.

Ale nie te okoliczności, mniej lub bardziej prawdopodobne, spędzały sen z powiek komisarza Barbarottiego, tylko myśl o piątym samochodzie zaparkowanym przed świetlicą w Gardeby.

25

W poniedziałek tryskał energią już przed śniadaniem – mimo iż było raczej skromne. Żeby nie powiedzieć marne: kawa, sucharek, szklanka soku, witamina D3. Owa marność miała związek z nieobecnością Evy, ale tego ranka nie to było przedmiotem jego rozmyślań.

Zaczął od hotelu Star, na szczęście nie musiał rozmawiać z Iris Douglas, bo odpowiedź uzyskał od recepcjonistki Malin Lindberg.

– Tylko małe pytanie – wyjaśnił. – Tego wieczoru, kiedy Maria Green się u was zatrzymała, zamówiła u pani kanapkę i wino.

– Tak.

– Pani zaniósła jej to do pokoju, tak?

– O jedenastej. Już mówiłam. Opłaciła z góry.

– Pamiętam. Jestem ciekaw, jak to wyglądało. Najpierw zapu-kała pani do drzwi...?

– Zgadza się.

- A ona otworzyła?

- Niestety, nie. Pomyślałam, że pewnie bierze prysznic albo jest w toalecie, więc zostawiłam tacę pod drzwiami. Tak zazwyczaj robimy.

Barbarotti zastanowił się przez moment.

- Tacę z kanapką i winem?

- Tak... to, co zamówiła.

- Co się stało z tacą?

- Słucham?

- Czy Maria Green odstawiała z powrotem tacę za drzwi?

Prawie słyszał, jak Malin Lindberg wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie, nie sądzę... pewnie sprzątaczką ją wzięła, kiedy rano sprzątała pokój.

- Rozumiem. Kto sprzątał pokój Marii Green? Ile macie osób do sprzątania?

- Cztery... i dwie ekstra, w razie potrzeby. Ale nie wiem, kto miał wtedy dyżur.

- Czy można to sprawdzić?

- Myślę, że tak. Ale musi pan porozmawiać z Madame.

- I tak zrobię - odpowiedział Barbarotti i podziękował za pomoc.

Przed następnym spotkaniem odmówił krótką modlitwę.

Panie, Ty, który masz nad wszystkim władzę, spraw, aby chociaż jedna z tych moli książkowych w Gardeby była w tamten czwartek na tyle przytomna... że zapamiętała, czy na parkingu stał jakiś nieznanый samochód, kiedy poetka Maria Green po kolejnym udanym spotkaniu odjeżdżała do Kymlinge. Czy jasno się wyraziłem? Najchętniej jeszcze markę i numer rejestracyjny, jeśli to możliwe. Nie zapomnij też pozdrowić Marianne. Z góry dziękuję, amen.

Margot Eriksson odpowiedziała po pierwszym dzwonku.

- Komisarz Barbarotti. Dzień dobry, nie dzwonię za wcześnie?

- W żadnym wypadku - zapewniła. - Jestem na nogach już od siódmej, wiek robi swoje.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Mam pytanie związane ze spotkaniem z Marią Green.

- Naturalnie. Inaczej by pan nie dzwonił?

- Zgadza się. To tylko szczegół, ale może mieć znaczenie, dlatego proszę, aby się pani dobrze zastanowiła.

- Proszę mówić. Zawsze najpierw myślę, potem mówię.

- Dobra zasada, szkoda, że nie wszyscy jej przestrzegają. Moje pytanie dotyczy odjazdu Marii Green. Czy pani pamięta, ile samochodów stało na parkingu?

- Co takiego? - zapytała Margot Eriksson. - Do czego, na litość boską, to panu potrzebne?

- To może mieć znaczenie - poinformował ją Barbarotti. - Niestety, nie mogę więcej powiedzieć... dla dobra śledztwa. A więc ile tam było samochodów?

- Na parkingu?

- Tak.

Przez kilka sekund w słuchawce zapanowała cisza.

- To nie żaden parking.

- To bez znaczenia. Chciałbym tylko wiedzieć, ile tam stało samochodów.

I znów kilkusekundowa cisza.

- Panie komisarzu, przepraszam, ale nigdy się tym nie interesowałam i nie mam zielonego pojęcia, ile samochodów było tamtego wieczoru. Chętnie bym panu pomogła, ale po prostu nie wiem.

- Proszę nie przepraszać, w takim razie zmienmy pytanie. Ile powinno być samochodów... wliczając Marię Green i was? Czy kiedy odjechała, zostałyście tylko wy, organizatorki...?

Margot Eriksson znów się zastanowiła.

- Tak, tylko my... Vendela, Sigrid i ja. I żeby było śmieszniej, każda przyjechała swoim autem. Mieszkamy w różnych miej-

scach, ale często zabieramy się razem... jednak nie wtedy.

- A więc trzy samochody? Plus samochód Marii Green?

- Tak... tak, na to wygląda. Ale muszę się zastanowić, bo nie było powodu, żebym zapamiętała taki szczegół.

- Oczywiście - odparł Barbarotti. - A jeśli poproszę, aby pani zapytała Vendelę i Sigrid? Zawsze co trzy pary oczu, to nie jedna.

- Oczywiście. To wszystko jest takie straszne. Czy sądzi pan, że...?

Barbarotti nie odpowiedział.

- Zrobimy, co w naszej mocy, żeby pomóc - dodała Margot Eriksson. - Proszę dać mi godzinę, dowiem się i oddzwonię. Na ten sam numer?

Barbarotti obiecał, że sam się odezwie, podziękował i witaminę D3 przez pomyłkę popił sokiem.

Pięć samochodów. A powinny być cztery.

Rosła w nim frustracja. A jednocześnie kurczyła się nadzieja, że jego modlitwa zostanie wysłuchana.

- Utknęliśmy w martwym punkcie... w każdym razie ja. Panie też niewiele miały do powiedzenia.

Inspektor Lindhagen podrapał się po tygodniowym zaroście. Było kilka minut przed pierwszą, siedzieli w stołówce i jedli danie dnia: pieczoną kiełbasę z purée ziemniaczanym. Lindhagen właśnie skończył czytać zapiski Marii Green i stwierdził, że są tak samo ciężkostrawne jak kiełbasa, którą jadł.

- Niestety - zgodził się Barbarotti. - Pożegnały się z Green w drzwiach, w tym punkcie się zgadzamy. Ale żadna nie widziała, jak odjeżdża.

- Tak jak się można było spodziewać - odparł Lindhagen.

- Zakładam, że potrafią liczyć do pięciu. Na szczęście większość ludzi posiada tę umiejętność - dodał Barbarotti.

- Pełna zgoda. Jaki z tego wniosek?

- Na razie żadnego - odparł Barbarotti, wpatrując się w krążek kielbasy. - Równie dobrze to mógł być ktoś z gości... no właśnie, może po prostu siedział w samochodzie, palił papierosa i na przykład rozmawiał z kochanką przez komórkę.

- I miał uczciwe zamiary, to chcesz powiedzieć?

- Sam nie wiem, co o tym myśleć. To, że ktoś siedział w samochodzie, nie musi oznaczać, że jest mordercą... który pojechał za Green do hotelu i ją zabił.

- Pewnie masz rację - powiedział Lindhagen. - Ale to łatwo sprawdzić. Zostawmy sprawę samochodu Kavafisowi i Wolfsonowi, i tak się tym zajmują.

- Masz rację - zgodził się Barbarotti. - Ale co się stało w jej pokoju tuż przed jedenastą?

- Poczekaj. - Lindhagen westchnął. - Daj mi trochę czasu.

- Pisz, że ktoś puka do drzwi i że idzie otworzyć.

- To już wiemy - odpowiedział Lindhagen.

- Recepcjonistka?

- Możliwe. Albo ktoś inny.

- W takim razie kto?

- Czy to jakieś przesłuchanie? - zażartował Lindhagen.

- Wymiana myśli - powiedział Barbarotti. - Chcesz moją kielbasę?

- Jeśli ty weźmiesz moją - powiedział Lindhagen. - O której miałeś się spotkać ze Stigmanem?

Barbarotti spojrział na zegarek.

- Cholera. Za pół minuty.

Stig Stigman nie zdążył się zapoznać z rewelacjami z pokoju trzy-sta dwadzieścia dwa, ale został dobrze poinformowany.

- Świetnie - zaczął. - To bez wątpienia brakujący puzzel. Jakie wnioski?

- Trudno powiedzieć - odezwał się Barbarotti. - Wszystko zgadza się z tym, co mówiła Mirja Laine. Wszystko, co powiedziała

przyjaciółce o swoim prześladowcy, jest w jej dzienniku. Oprócz tego sporo o... o życiu, mówiąc w skrócie.

- O życiu? - zapytał Stigman z konsternacją w głosie. - Po co?

- Nie wiem - odparł Barbarotti. - Nie mam pojęcia, po co to pisała. Ale może pisarze tak pracują? To znaczy... to znaczy cały czas piszą.

- To jeden punkt widzenia - odpowiedział Stigman i poprawił swój niebieski krawat. - Poproszę o więcej.

- Jej rodzice byli świadkami Jehowy - powiedział Barbarotti.

- Co ma jedno do drugiego? - zapytał Stigman.

- Pewnie nic.

- Może się czegoś bała - wtrącił Lindhagen. - Chciała wszystko mieć na piśmie, na wypadek gdyby coś jej się stało.

- Tak jest napisane w dzienniku? - zapytał Stigman. - Dosłownie?

- Może nie dosłownie, o ile dobrze pamiętam - odparł Lindhagen. - Ale między wierszami. Prawda?

Lindhagen zwrócił się do Barbarotti, który przytaknął.

- Odpowiedź musi się kryć w jej przeszłości - powiedział Stigman po krótkim namyśle. - W dziewięciu przypadkach na dziesięć rozwiązanie znajduje się w przeszłości, nie zapominajcie o tym. Trzeba tylko dobrze szukać.

Teraz tylko brakuje, żeby zrobił wykład na temat pracy policyjnej, pomyślał Barbarotti.

- Nawet nie wiemy, czy jest ofiarą - zaznaczył Lindhagen.

- Zgadza się - powiedział Stigman. - Ale musimy tak założyć. Podobnie w przypadku Lundego. Mamy dwoje zaginionych pisarzy, oboje byli w jakiś sposób zastraszani, w tej sytuacji musimy założyć, że nie żyją. Nawet jeśli oficjalnie to tylko uprowadzenie. Czy to, co mówię, jest zrozumiałe?

Barbarotti pokiwał głową i podrapał się po brodzie.

- Profil sprawcy - kontynuował Stigman. - Chcę, żebyście się nad tym zastanowili i jutro już z czymś do mnie przyszli. Co to za

typ? Z jakim człowiekiem mamy do czynienia? Jaki miał czy miała motyw? Zrozumiano? Motyw!

- Zrozumiano - odpowiedział Lindhagen.

Barbarotti wyglądał przez okno i skonstatował, że pada śnieg.

- W takim razie to wszystko - powiedział Stigman. - Działajcie dalej. Po południu przeczytam jej zapiski. Pracujcie według ustalonego schematu. Spotykamy się jutro o jedenastej. O jedenastej. Jakież pytania?

Nie było żadnych pytań.

Kiedy Barbarotti miał gasić lampę stojącą na biurku i wyjść z gabinetu, zadzwoniła Mirja Laine. Rano wysłał jej kopię pamiętnika Marii i już go przeczytała.

- Świetnie - powiedział Barbarotti. - I jakie wrażenia?

- Dobrze napisane - odparła Mirja Laine. - Płakałam i się śmiałam. A jeśli pyta pan o ten wieczór przed zniknięciem, to wszystko się zgadza. Bardzo się bała. Żałuję, że jej nie odradziłam tej świetlicy. Ale skąd mogłam przypuszczać, że...

- To nie pani wina - powiedział Barbarotti. - Jakież spostrzeżenia? Coś, co by nam mogło pomóc?

Mirja Laine zastanowiła się przez chwilę.

- Nic mi teraz nie przychodzi do głowy - odpowiedziała. -

Przejrzałam te jej notatki bardzo pobieżnie. Odezwę się, jak przeczytam to jeszcze raz. Jutro albo pojutrze. A wy już coś macie?

Barbarotti musiał się przyznać, że nic specjalnego, ale intensywnie nad tym pracują.

- Mam nadzieję - odcięła się Mirja Laine.

Barbarotti, nie pytając, co miał oznaczać jej komentarz, podziękował za rozmowę i powiedział, że się wkrótce usłyszą.

Jechał do domu w ciemności i w śnieżycy przechodzącej w deszcz. Kolejny dzień. Uświadomił sobie, że od śniadania nie

poświęcił Evie ani jednej myśli. Ale kiedy wróci z Australii, porozmawiają o tym, jak to między nimi właściwie jest. Zastanawianie się nad tym teraz niczemu nie służy. Do świąt zostało tylko osiem dni.

Przyszło mu do głowy, że te zaginięcia dobrze korespondują z porą roku. Kto nie chciałby zniknąć pod koniec grudnia i być w ukryciu do kwietnia albo maja? Zapaść w sen zimowy albo uciec w jakieś ciepłe miejsce na półkulę południową? Siedzieć w szortach w portowej tawernie i czytać dobrą powieść? Albo wiersze, dla odmiany.

Zasugeruje to monsieur szefowi. *Zamierzam rozwiązać tę sprawę w następujący sposób: zabieram dzieła obojga naszych pisarzy i na kilka tygodni wyjeżdżam do Afryki. Przeczytam każde zdanie z tego, co napisali, i w ten sposób dowiem się, co się z nimi stało. Masz coś przeciwko temu, ty pajacu pod krawatem?*

Siedział za kierownicą i śmiał się sam do siebie. Nawet jeśli nigdy tych słów nie wypowie, to i tak dobrze się nimi pobawić. Maria Green napisała w dzienniku, że nie ma nic prawdziwszego niż słowo. Ubranie rzeczy w słowa daje przejrzystość.

Czasami nawet nie muszą być drukowane, pomyślał Barbarotti, parkując samochód przed swoim rzęsiście oświetlonym domem. Wystarczy zatrzymać je na kilka chwil w głowie.

Bo na początku było Słowo.

I nic więcej, jeśli dobrze zapamiętał.

Uległość

Kiedy przekraczamy granicę?

Albo inaczej: kiedy odkrywamy, że ją przekroczyliśmy?

Pytanie z jednej strony może bez sensu, ponieważ odpowiedź na nie i tak nie miała wpływu na przyszłość. Z drugiej strony miało znaczenie, bo mówiło coś o nim samym. O tym, kim jest, o jego charakterze. O najgłębszym ja.

Teraz był w zupełnie innym położeniu niż kilka miesięcy temu, bez najmniejszych wątpliwości. W innym wewnętrznym krajobrazie, i niezależnie od tego, czy ma przed sobą dziesięć, czy czterdzieści lat życia, zawsze będzie wracał do tamtych tygodni. Przed i po.

Mimo to wciąż nie wiedział. W którym momencie mógł zmienić przebieg zdarzeń, gdy decyzja należała do niego. Dziwne. Przycisnął twarz do zimnej szyby i patrzył w przepastną ciemność. Tak jak niemożliwe jest znalezienie nawet najśłabszego światełka w tej przepastnej ciemności, tak niemożliwe jest określenie krytycznego punktu, w którym granicę przekroczyliśmy.

Czy rzeczywiście? Rozmyślał i zapalił na wpół stopioną świecę na stole. Czy ważne dla nas zdarzenia potrafimy dostrzec dopiero wtedy, kiedy spojrzymy wstecz? Kiedy już się dokonają? Kiedy jest za późno?

Czy stojąc w obliczu wyboru, okłamujemy samych siebie? Czy aż tak się boimy, że nie potrafimy podjąć decyzji i pozwalamy rzeczom się dziać? Bo to nie wymaga wysiłku? Odmowa wymaga odwagi. Dlatego zamykamy oczy i wolimy nie widzieć?

Dlaczego zawsze myślimy „my”, kiedy chodzi wyłącznie o „ja”?

Tęsknota samotnego wilka za swoim stadem? Udawanie szaleńca, że jest normalny?

Raz rzeczywiście nie był sam.

W tym też nie jest sam, Bóg świadkiem. Jest dodatkiem, tchórzem, który był za słaby, żeby się przeciwstawić.

Siedział przez chwilę oświetlony wątłym płomieniem świecy, po czym ją zdmuchnął i położył się na łóżku.

Pewnego dnia okaże się, że jestem stracony, pomyślał. Pewnego dnia wszystko się skończy.

Kolejny raz.

LUTY–MARZEC 2020

26

Jack Walde leżał w wannie i pisał recenzję.

Jak zwykle ołówkiem, w rozpadającym się zeszytcie jeszcze z czasów licealnych. Trzydzieści pięć lat temu razem z kolegą włamali się do magazynu szkolnego i ukradli to, co udało im się wynieść. Na przykład cztery paczki zielono-białych zeszytów, na które dzisiaj nikt by nawet nie spojrział.

Trzy paczki przypadły Waldemu, w sumie sześćdziesiąt zeszytów, z czego do dziś, czyli do końca lutego, do swoich pięćdziesiątych trzecich urodzin, zapisał zaledwie połowę.

Recenzjami, tylko tym, niczym więcej. O zeszytach przypomniał sobie przy okazji wyprowadzki od pierwszej żony i rozpoczęcia pracy jako dziennikarz działu kultury w jednej z największych szwedzkich gazet. Do końca nie było dla niego jasne, jaki tajemniczy związek był między jego ekszoną a tymi pożółkłymi zeszytami, ale coś musiało być. W każdym razie na kilka miesięcy przed przelomem wieku.

Mniej więcej dwieście pięćdziesiąt recenzji, jedna czwarta pozytywnych, trzy czwarte miażdżących. Jest tylu żałośnie kiepskich pisarzy, że im wcześniej się zrobi selekcję, tym lepiej dla kultury.

Rewelacja dnia to książka młodej debiutantki, kobiety o na wpół szlacheckim nazwisku. Powieść nosi tytuł *Zaraza w środku lata* i opowiada, jak twierdzi notka wydawnicza, o dwóch siostrach wychowujących się w rodzinie alkoholików w małym smalandzkim miasteczku w dziewiętnastym wieku. Napisana językiem odważnym i twórczym, a opis dorastania dziewczynek jest głęboko poruszający i, mimo egzystencjalnego bólu, niosący nadzieję.

Cholera, zaklął Jack Walde i wziął łyk koniaku stojącego na brzegu wanny. Co za grafomania. Przecież ona do końca życia nie będzie w stanie napisać nawet zwykłego haiku.

Odszukał końcówkę miażdżącej oceny - *Tę tak zwaną powieść, jałową, pretensjonalną i napisaną straszonym językiem, należy natychmiast wyrzucić z pamięci* - i wyciągnął korek z wanny.

Jack Walde urodził się w Uppsali w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, w rodzinie akademickiej o lewicowych poglądach. Jack miał o trzy lata młodszą, autystyczną siostrę Janis. Po maturze w Katedralskolan, w osiemdziesiątym szóstym (zdanej o rok wcześniej niż powinien, ale to nic niezwykłego w przypadku uzdolnionych dzieci) zaczął studiować filozofię (teoretyczną i praktyczną) i literaturoznawstwo na miejscowym uniwersytecie. Trzy lata później uzyskał licencjat i kilka tygodni po runięciu muru berlińskiego wyjechał do Berlina ze swoją ówczesną dziewczyną. Zamieszkali w komunie, w dzielnicy Kreuzberg, w której Jack pozostał - pod różnymi adresami i z różnymi kobietami - aż do powrotu do Szwecji dziesięć lat później.

To w Berlinie znalazł swoje natchnienie. Dokładniej mówiąc, tym natchnieniem był sam Berlin. Jego dynamika, puls, awangarda, towarzystwo młodych artystów, pisarzy, przedwcześnie dojrzałych intelektualnych naprawiaczy świata... tak, Berlin lat

dziewięćdziesiątych był po prostu jego *raison d'être*. Jedynym miejscem na świecie, gdzie jego wnętrze zaczęło licować z jego zewnętrzem. Przynajmniej w tamtych latach, w tamtych rewolucyjnych czasach. Jack palił, pił czerwone wino i całymi nocami dyskutował o polityce, sztuce, filmie i literaturze. Po niemiecku czytał Hegla, Klimkego i Schopenhauera. Pracował w barach, protestował przeciwko wszystkiemu i pisał artykuły o kulturze do „Aftonbladet” i eseje do szuflady.

Ale nie tylko do szuflady. Jesienią tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku w dużym szwedzkim wydawnictwie wydał swoją pierwszą książkę. Zbiór rozważań filozoficznych pod tytułem *Przechadzki z Sokratesem*. Książka została jednogłośnie okrzyknięta mistrzowskim debiutem. Mniej więcej w tym samym czasie poznał Madeleine i porzucił okres „burzy i naporu”. Poważnie zaczął negować podstawowe idee demokracji i kontraktualizm, wybierając bardziej elitarny kierunek. Madeleine uciekła z Djursholm i zostali parą. Różnili się od reszty tłumu. Klasą i poglądami. Madeleine prowadziła własną firmę, w której projektowała ubrania dla osób z wyczuciem stylu. Całkiem dobrze jej szło, nawet na miarę Kreuzbergu. I mimo że w pewien sposób odcięła się od rodziny, to rodzina nie odcięła się od niej. Przeprowadzili się do dużego mieszkania na Burgstrasse, a pieniądze na drogie meble nie przyszły bynajmniej z „Aftonbladet” ani z jej dużej firmy, tylko z Djursholm.

Ale wszystko ma swój czas. Kiedy ukazała się druga książka Jacka, *Silny uścisk dżentelmena* - zaledwie rok po jego debiucie - miał dwadzieścia pięć lat i rozwinięty wysublimowany cynizm, który z czasem stał się jego znakiem rozpoznawczym. „Szkłanka cyjanku potasu w czasach intelektualnego bełkotu”, jak się wyraził jakiś recenzent.

Pięć lat później zdarzyły się dwa wypadki śmiertelne - ojciec Madeleine (samobójstwo) i mama Jacka (nowotwór) zmarli w odstępie kilku dni - i para wróciła do Szwecji. Wprowadzili

się do mieszkania na Banérgatan w Sztokholmie, a kilka lat później rozstali. Nie spłodzili dzieci, taka była ich wspólna decyzja. Jack kupił mieszkanie na Heleneborgsgatan na Söder, w którym, po jednym małżeństwie i kolejnych dwudziestu latach, wciąż mieszkał.

Nowa żona miała na imię Louise i wykładała *gender studies* w Wyższej Szkole w Södertörn. W lutym dwa tysiące drugiego roku urodziła mu syna Balthazara. Dziesięć lat później zamieszkali oddzielnie, ale nie wzięli rozwodu – sytuacja, która obojgu idealnie pasowała, szczególnie że prawie się nie widywali. Balthazar mieszkał trochę u jednego rodzica, trochę u drugiego. Jack w głębi duszy cieszył się, że chłopak rośnie na niezależnego mężczyznę, który gardzi wszystkimi i wszystkim wokół: szkołą, nauczycielami, politykami, rówieśnikami i imigrantami.

Tydzień po tym, jak Jack Walde wyszedł z wanny po napisaniu kilku zdań o morderstwie na tle seksualnym w *Zarazie w środku lata*, Balthazar skończył osiemnaście lat i stał się dorosły. Urodziny obchodzili we troje: ojciec, matka i świeżo pełnoletni syn. Siedzieli w kawiarni Opera, toast wznosili szampanem i bourgogne, a na deser rodzice wręczyli synowi wspólny prezent – klucze od dwupokojowego mieszkania na Strindbergsgatan w Gärdet. Podobnie jak ojciec Balthazar zrobi maturę rok wcześniej i zacznie studiować prawo. Pod warunkiem, że uzyska wystarczająco dobre świadectwo, z czym oczywiście nie będzie żadnego problemu. No jasne, przecież zawsze był najlepszy w klasie, już od przedszkola.

Jack Walde, kiedy się ubrał i siadał do komputera, pomyślał o synu i żonie. Spojrzał na zegarek. Miał ponad dwie godziny na przepisanie recenzji i pojechanie do centrum, gdzie umówił się na kolację ze swoim wydawcą.

- Wszystko w porządku? - zapytał Gunder Widman, kiedy usiedli za stołem w Nisch na Dalagatan. - Jak ci idzie? Mam

nadzieję, że robota ci się pali w rękach?

To ich standardowe pytanie, ale Jack Walde postanowił nie odpowiadać.

- Mam dobre wieści, *Pułapki dziewicy* sprzedało się ponad sto tysięcy. W następnym tygodniu drukujemy piąty nakład, a pockety wyjdą w połowie czerwca, nieźle, co?

- Ciszej, do cholery - upomniał go Jack Walde i rozejrzał się po pełnym lokalu. - Oszalałeś?

- Dobrze, dobrze - zaśmiał się Gunder Widman. - Myślisz, że mają mikrofony pod stołem i cię podsłuchują?

- Nigdy nie wiadomo, kto siedzi przy sąsiednim stoliku - powiedział Walde ściszym głosem i pochylił się nad stołem. - Powiedziałeś, sto tysięcy?

Widman pokiwał głową.

- Zaliczka już spłacona, ze sporym marginesem. Kiedy oddasz następną? W maju, czerwcu, tak jak się umawialiśmy?

- Praktycznie już skończyłem - odparł Jack Walde. - Ty dotrzymujesz umowy, ja dotrzymuję terminu.

Powodem tej tajemniczej konwersacji była nowa królowa kryminału, Tora Tilly. Dotychczas, do lutego dwa tysiące dwudziestego roku, wydała cztery powieści, a raczej „kwartet mrozących krew w żyłach thrillerów”, które rozeszły się jak świeże bułeczki nie tylko w Szwecji, ale w dwunastu innych krajach. Nazwisko autorki to pseudonim. Pomimo spekulacji, kto stoi za historiami o rozwiązałej detektyw Lornie Lewis, działającej w Djurgården, i jej niemniej rozwiązałej asystentce, Henriecie van der Klufft, stanowiło dobrze strzeżoną tajemnicę.

Rozwiązanie zagadki znały tylko dwie osoby, czyli tych dwóch dżentelmenów pijących teraz wino musujące cava w restauracji Nisch na Dalagatan.

- Jeszcze trzy książki i zniknie, jakby jej nie było - zapewniał Gunder Widman. - *We have a deal*. Na zdrowie, bracie.

Owo porozumienie nie było bezpodstawne. Gdyby się wydało, że za tym szeroko dyskutowanym w Szwecji pseudonimem kryje się budzący postrach krytyk i jednocześnie oszczędny w słowach pisarz Jack Walde, nominowany do Literackiej Nagrody Nordyckiej i do Nagrody Augusta oraz oczywisty kandydat do Akademii Szwedzkiej (w dobrze poinformowanych kręgach mówiło się, że już został zaproszony, jednak odmówił ze względu na turbulencje ostatnich lat) – stałby się pośmiewiskiem do końca życia, spluwaczką i literackim oszustem najgorszego sortu. Jeśli bowiem było coś, czym krytyk Jack Walde gardził z całego serca, to właśnie kryminały.

Tak, gdyby został zdemaskowany, wstyd byłby tak ogromny – uświadomił to sobie, kiedy pewnej nocy obudził się złany potem z koszmaru sennego, w którym prawda wyszła na jaw – że zostałyby mu jedynie dwa wyjścia: ucieczka z kraju lub samobójstwo.

Albo oba naraz.

Ale pieniądze to zawsze pieniądze. Umowa między nimi była taka, że Widman dostał sporą część z wpływów ze sprzedaży książek – tak dużą, że jesienią zamienił szeregowiec w Täby na ośmiopokojową willę w Brommie, z żoną i trójką dzieci.

Panowie poznali się jeszcze w Uppsali, gdzie obaj studiowali literaturoznawstwo. Wysoki, dobrze zbudowany Walde i szczupły, elegancki Widman, dwie charakterystyczne papużki nierozłączki, które już wtedy, u schyłku postmodernistycznych lat osiemdziesiątych, posiadały dwa równie charakterystyczne talenty i przepowiadano im wielką karierę w świecie kultury.

W przypadku Waldego przepowiednie okazały się trafione w dziesiątkę.

Kolacja w Nisch przeciągnęła się i kiedy Walde wyszedł z lokalu w wilgotny lutowy wieczór, było już po jedenastej. Postanowił

wrócić pieszo, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, może nawet zahaczyć o jakiś bar, a potem z Centralen wziąć taksówkę. Pomachał Widmanowi, który wsiadł do samochodu i udał się do domu w Brommie; pomyślał, że chociaż raz byłoby fajnie po prostu się upić. Na wesoło, beztrosko, bezstresowo. Jak za dawnych lat.

Poszedł w kierunku Bantorget. Nie pamiętał, czy jest środa czy czwartek, ale było mu wszystko jedno. Jest wolnym ptakiem i nie musi się martwić takimi błahostkami jak dni tygodnia. Jest arystokratą, który... w świecie pełnym lizusów, zadufanych influencerów i ogólnie indolentnych idiotów żyje tak, jak chce, według własnych reguł. Cholera jasna.

- Do diabła z kretynami! - Najpierw pomyślał, a potem głośno powiedział.

Ochoczo wygwizdując *Odeę do radości* Schillera i Beethovena, zmiażdżył słuchawki, które jakiś kretyn upuścił na chodnik na wysokości szpitala Sabbatsberg.

Clarion, postanowił. Gin z tonikiem w Clarionie, a potem taksówka do domu na Söder.

Jeśli nie przyłączy się jakaś laska.

Wypił dwa drinki, ponieważ ociężały na umyśle barman zabił pierwszy masą pokruszonego lodu. Kiedy siedział na kiepsko oświetlonej sofie numer dwa i zaczął tęsknić za papierosem... nie - za cienką czarną cygaretką, czyli cortézem albo hugo brillem, podeszła jakaś dziewczyna i usiadła obok. No, może niezupełnie obok, nie tak, żeby mieli kontakt fizyczny, ale mimo wszystko.

Mimo wszystko... Jack Walde poprawił się na sofie, próbując wyglądać na trzeźwego, i myślał nad odpowiednią repliką. Nad jakimś cytatem, oczywiście adekwatnym do sytuacji. Dziewczyna była szczupła i miała chłopięcy wygląd, coś pomiędzy

Karin Boye a Edith Södergran, ale zanim zdążył coś powiedzieć, pochyliła się do niego, prawie dotykając wargami jego ucha, tak że przez ułamek sekundy wydawało mu się, że chce go pocałować albo przynajmniej polizać, i wyszeptała:

- TB. Chyba nie zapomniałeś o TB?

Potem szybko wstała i zniknęła w drzwiach.

Mało brakowało, a Jack Walde zwymiotowałby prosto na czarny szklany stół.

27

Minęły trzy, może pięć dni. Skończył się luty i nadszedł marzec. W Sztokholmie było szaro, buro i zero stopni.

Coraz więcej mówiło się o nowej epidemii wirusa, podniesionej do stopnia pandemii, ale Jacka Waldego nie za bardzo to obchodziło. Nie wychodził z domu, siedział i pisał artykuł o późnym dramacie Wernera Wallendorffa, kilkuzdaniowy wstęp do swojego zbioru esejów *Światło nocy* i cztery rozdziały piątej książki Tory Tilly *Nagie kłamstwo*.

Z tyłu głowy cały czas miał pytanie o TB. Już sam nie był pewien, czy rzeczywiście ktoś mu je wyszeptał do ucha na sofie w Clarionie, czy mu się po prostu śniło. Pamiętał jak przez mgłę powrót do domu tamtego wieczoru z kolacji z Widmanem w restauracji Nisch. Chyba wziął taksówkę i chyba rzeczywiście przedtem wstąpił na kilka drinków do Clariona. Był porządnie pijany, poza tym dłaczego jakaś szczupła laska miałyby się do niego przysiąść tylko po to, żeby wypluć mu do ucha te zapomniane inicjały? Tak, to dobre pytanie. Żeby nie powiedzieć: zagadka, i im więcej czasu mijało od owego incydentu,

tym bardziej mu się wydawało, że to nie miało miejsca. Że mu się po prostu przyśniło. Nie warto sobie tym zawracać głowy, ni cholery.

Z domu ruszył się czwartego lub szóstego dnia. Wziął tak-sówkę do Gröndal i pojechał odwiedzić siostrę Janis. Do ośrodka przeniosła się pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kilka miesięcy po śmierci matki, i mieszkała tam do teraz.

Nie mówiła. Od roku dwutysięcznego nie powiedziała ani jednego słowa, ale najwyraźniej podobało jej się otoczenie i rutyna w ośrodku Dusza i Serce. Jack odwiedzał ją kilka razy w miesiącu, jego wizyty stały się już rytuałem. Przychodził po lunchu, rozgrywali pięć partii sudoku, kończyli około wpół do czwartej, tuż przed podwieczorkiem.

Jak zwykle Janis wygrywała wszystkie partie. Za każdym razem była gotowa już po dwudziestu minutach - kiedy on wciąż miał dziesięć pustych kratek - i cieszyła się. Jack nie mógł wyjść z podziwu, jaki ogrom inteligencji kryje się w głowie jego siostry, jednak już dawno stracił nadzieję, że cokolwiek się zmieni. To coś w rodzaju *das Ding an sich* albo kamienia filozoficznego.

Zanim wyszedł, został poproszony na rozmowę przez kobietę, która tytułowała się kierowniczką. Wy tłumaczyła mu, że w związku z wirusem jego siostra zalicza się do tak zwanej grupy ryzyka i dlatego najlepiej będzie, jak na razie przestanie ją odwiedzać. Takie dostali rekomendacje z Ministerstwa Zdrowia i muszą ich przestrzegać.

Bzdury, pomyślał Jack Walde. Nie boję się żadnego cholernego wirusa. Ale trzymał język za zębami, w końcu nic się nie stanie, jeśli z powodów niezależnych od niego przez chwilę nie będzie się z nią widywał.

Z Gröndal pojechał prosto do gazety. Porozmawiał z kolegami z branży o różnych głupotach i o pandemii, dzięki której może przestaną międlić w kółko o tym, co się stało w Akademii

Szwedzkiej. Poinformował szefa działu kultury, że artykuł o Wallendorffie będzie gotowy na następny dzień, i dostał nową książkę do recenzji. Jeszcze jeden debiut. Wiosna to tradycyjnie okres debiutów, prawdziwi pisarze czekają do jesieni.

Powieść nosiła tytuł *Plucha*, miała sześćset stron i została rozreklamowana jako modernistyczna, ale Jack wcale się nie palił do jej przeczytania.

Kilka wieczorów później, kiedy pogoda w Sztokholmie przypominała raczej chorobę chroniczną, Jack Walde siedział w Teatrze Dramatycznym i oglądał przeniesioną na deski sceniczne powieść Strebina *Chciwy*. Przedstawienie odbywało się na Małej Scenie i należało do nieudanych, nawet jeśli widzowie docenili to, co zobaczyli. Jack Walde czuł pewien rodzaj frustracji, że nie może napisać miążdżącej recenzji, bo już ktoś to zrobił. Niestety, nie była druzgocząca, a szkoda. O ile dobrze pamięta, jeden z kolegów w styczniu, zaraz po premierze pochwalił sztukę, a młodego reżysera nazwał „obietnicą, którą należy bacznie obserwować”. Walde postanowił, że przy okazji podejmie temat. I zapyta kolegę, czy nie był przypadkiem szantażowany albo czy nie miał może wylewu.

Do teatru zabrał syna Balthazara, który po ponadgodzinnym przedstawieniu nie miał nic do powiedzenia ponad to, że było krótkie. Przy steku i piwie w KB. Potem Jack zapytał syna, jak mu się mieszka w Gärdet, Balthazar odpowiedział, że bardzo dobrze. Przez chwilę rozmawiali o koronawirusie, o planach na przyszłość, na najbliższe wakacje, a potem padło niewygodne pytanie, które nie pozwalało Jackowi zasnąć do późnych godzin nocnych.

- Dobrze się bawiłeś przedwczoraj w Clarionie?

- Co?

- Z tą panienką na sofie. Dość szybko się zwinęła, więc chyba jej coś powiedziałaś. Nie wyglądała za szczególnie.

- Jak... cholera? - wyrwało się Jackowi.

- Sorry, siedziałem z kumplami przy barze. Byłeś trochę pijany, więc nie podchodziłem, żeby cię nie zawstydzić.

Jack uśmiechnął się.

- *Shit happens* - skonstatował krótko. - Byłem na kolacji z ludźmi z wydawnictwa. I wstąpiłem na drinka... a jeśli chodzi o tę dziewczynę, to pierwszy raz ją widziałem na oczy.

- Okej - powiedział Balthazar. - Nie musisz się tłumaczyć.

Jack Walde zapłacił, ojciec i syn wyszli z restauracji i każdy ruszył w swoją stronę.

Niech to cholera, człowiek nigdy nie może się czuć bezpiecznie.

Jeszcze nigdy nie przeżył takiego marca jak ten. Koronawirus, który nazwano COVID-19, sparaliżował cały świat. Kraje pozamykały swoje granice. Zamknęły szkoły, restauracje, miejsca pracy. Zakazano ludziom spotkań, imprez sportowych. Przełożono olimpiady, pozamykano teatry, nie wolno było wychodzić z domu. Podstępna zaraza zbierała obfite żniwo, jak świat długi i szeroki, a wszelkie informacje dotyczyły wyłącznie pandemii, która w krótkim czasie osiągnęła prawie że apokaliptyczny wymiar. Skończyło się podróżowanie, linie lotnicze, jedna po drugiej, ogłaszały bankructwo. Zamarł przemysł hotelarski i turystyczny. We wszystkich mediach podawano straszne liczby, jakby to był jakiś konkurs. Szwedzkie Ministerstwo Zdrowia codziennie organizowało konferencje prasowe, zalecano pozostanie w domach i pracę na dystans oraz unikanie kontaktów towarzyskich. Premier tłumaczył, że przede wszystkim należy chronić starszych i chorych, ale wirus nie wybierał. Starzy i chorzy padali jak muchy w domach opieki, które przez lata

cięły koszty, a służba zdrowia się załamała. Prezentowano krzywe wzrostu zachorowań i śmiertelności, a dla gospodarki przyznano pakiet pomocowy na nieznaną dotąd skalę.

Świat zaczął się sypać.

Jack Walde został w domu, w odgórnie narzuconej izolacji. Śledził wiadomości, wzruszał ramionami i pisał. Z domu wyszedł dopiero w imieniny Rudolfa, dwudziestego siódmego marca, i znów spotkała go nieprzyjemna przygoda. Rudolf to drugie imię Jacka Waldego, po dziadku ze strony ojca, który już jako nastolatek walczył w wojnie hiszpańskiej, dzięki czemu w rodzinie zyskał miano bohatera. A ponieważ bohater wbrew wszystkiemu i wszystkim wciąż jeszcze był przy życiu, już sto dwa lata, Jack tradycyjnie w dzień jego urodzin odwiedzał go na Skånegatan, gdzie mieszkał od lat sześćdziesiątych.

Tego roku również. Poszedł pieszo przez wyludnione ulice. Rudolfa seniora zastał pełnego wigoru. Umówili się, że nie będą gadać o tym pieprzonym wirusie. Pili kawę i jedli tort, a kiedy Rudolf junior zostawiał starszego imiennika smacznie chrapiącego we własnym łóżku, stwierdził, że staruszek jeszcze trochę nacieszy się życiem wśród innych żywych bohaterów, może pięć, sześć lat. Jeśli nie więcej. Tylko coś silniejszego niż jakiś wirus byłoby w stanie wykończyć żołnierza, który przeżył i wojnę hiszpańską, i wszystko inne.

Mężczyzna na Nytorget pojawił się jakby znikąd. Walde nie zwrócił na niego uwagi, zapamiętał jedynie, że na głowie miał czapkę z daszkiem, hipsterską brodę i okulary. Był w niemodnym prochowcu, ale co do tego nie miał pewności. Wszystko stało się tak szybko.

- Przepraszam, chciałbym to przekazać.

Wyciągnął kopertę. Małą, bładoniebieską, zwyczajną. Walde wziął ją bez namysłu, a mężczyzna natychmiast zniknął.

- Halo?

Ale posłaniec przyśpieszył kroku i po chwili został wchłonięty przez puste miasto. Walde stał z kopertą w ręku. Pomyślał chwilę i schował ją do kieszeni. Ruszył przez Söder i zatrzymał się dopiero, kiedy wszedł do domu na Heleneborgsgatan i zamknął za sobą drzwi. Wiadomość była napisana odręcznie i miała zaledwie dwa zdania. Dziewięć słów plus inicjały:

Pasożytujesz na dobrej woli. Ale twoje dni są policzone. TB

TB? Jasna cholera, co się dzieje?

Podarł kopertę i list na drobne kawałki, przez chwilę chciał je nawet połknąć, ale w końcu wyrzucił do kosza.

28

Na mapie twórczej Jacka Walde są białe plamy. Ale nigdy się nimi nie zajmował, bo go po prostu nie interesowały.

Na przykład sport. Na przykład motory, muzyka pop i wszystko, co miało związek z rekreacją na świeżym powietrzu. Jednak w obszarach, w których wiedza była cokolwiek warta, zawsze uważał, że jeśli nie wyrobi sobie zdania, choćby powierzchownie, będzie to jego porażka. W ostatniej klasie liceum nauczyciel filozofii przyłapał go na tym, że nie zna różnicy między pojęciem *a priori* a *a posteriori* Immanuela Kanta. Do dzisiaj, po ponad trzydziestu latach, kiedy sobie o tym przypomni, czuje głęboki i szczery wstyd.

Z czasem znaczenie owych luk i białych plam zmalało, Jack był pewien, że gdyby z quizów telewizyjnych wyłączyć pewne

bezsensowne dziedziny wiedzy, wygrałby każdy. Ale to oczywiście nierealne, bo nie ogląda telewizji, którą uważa za jedno z najbardziej ogłupiających i najbardziej infantylnych mediów.

Istnieje jednak coś znacznie gorszego, mianowicie niewiedza własnej roli w grze, którą nazywamy życiem. Błądzenie w jego różnych kontekstach, i tych hierarchicznych, i tych horyzontalnych, albo tych i tych (te są najczęstsze). Od ostatnich dni marca, od tego, co się wydarzyło w imieniny Rudolfa i w Clarionie, dręczyła go taka właśnie frustrująca niewiedza.

Co się, kurwa, dzieje, mówiąc prozą?

I nie myślał tu o COVID-19. Tylko o TB.

Oczywiście, inicjały to Trine Bang, nawet dziecko by się domyśliło. Ale to już historia, raczej tragiczna. Sprawa już dawno i raz na zawsze została odłożona do lamusa. Pewnego wieczoru, na przełomie marca i kwietnia odszukał w szufladzie biurka jej nekrolog.

Trine Margarete Bang

**15 lipca 1990*

†20 stycznia 2017

Kochający

Mama, tata, brat

Przyjaciele

Odпочywał w pokoju

Jakby nic się nie działo

Jakby właśnie w tym miejscu

Zatrzymał się czas

Nekrolog zobaczył przez przypadek, kiedy był w Malmö, żeby przeprowadzić wywiad z pewnym francuskim pisarzem. Rano, tuż przed powrotem do Sztokholmu, po dobrze wykonanej robocie podczas śniadania w hotelu wszystkie gazety były w czytaniu. Musiał się zadowolić „Polityką”, gazetą znad dru-

giej strony zatoki, i to wtedy zauważył nekrolog. Raczej potwierdzenie niż wiadomość.

Kilka tygodni później od duńskiego kolegi po fachu dowiedział się, że prawdopodobnie jakaś młoda pisarka popełniła samobójstwo. Wskoczyła z dziesiątego piętra swojego domu na jednym z kopenhaskich przedmieść. Oczywiście to nieoficjalna wiadomość, ale zawsze tak jest w przypadku samobójczej śmierci.

Siedział przez chwilę i próbował sobie wszystko przypomnieć, potem zgniótł nekrolog i wrzucił do kominka. W ciągu kilku sekund ten mały kawałek papieru przestał istnieć, ale niewiedza została.

Ale niech się wstydzi ten, kto się poddaje. Jeśli trudno rozwiązać duży problem, trzeba go podzielić na kilka mniejszych.

Zaczął od najbardziej oczywistego. Jeśli ktoś, mężczyzna bądź kobieta, wie coś, czego nie powinien/powinna wiedzieć, to dlaczego, do cholery, ten okropny typ śmiał go napastować? I to dwa razy! Raz na sofie w Clarionie przy Norra Bantorget, drugi raz na Skånegatan. W żadnym z przypadków nikt nie wiedział, że tam będzie, więc jak ten ktoś go znalazł?

To nie mógł być zbieg okoliczności. I ta dziewczyna na sofie, i mężczyzna w czapce z daszkiem musieli wiedzieć, gdzie go spotkać, wszystko inne wykluczone.

Ergo?

Więc o co tu chodzi?

Dorzucił do kominka trochę drewna, nalał sobie kieliszek porto i usiadł w starym fotelu bujanym dziadka Rudolfa. Kilka lat temu dziadek znudził się meblem i w dzień swoich imienin podarował go wnukowi, a zarazem imiennikowi.

To dzięki fotelowi Jack Walde znalazł rozwiązanie jednej części swojego dużego problemu. I to całkiem niezłe.

Znajdowało się w gazecie. Rok wcześniej napisał wspomnienia ze swoich odwiedzin u dziadka Rudolfa. Rozważania nad starością, nad relatywnie starym mózgiem w relatywnie starym, szwankującym ciele, o rozmowach z człowiekiem urodzonym tuż po pierwszej wojnie światowej, któremu udało się przetrwać okropieństwa początku dwudziestego wieku i nie mniej gorsze pierwsze dwadzieścia lat wieku dwudziestego pierwszego i nie zwariować.

Nie tracąc przy tym dobrego humoru, ale też tak zwanego świętego gniewu wobec tych, którzy na to zasłużyli, żeby nikogo nie pominąć (nikogo) ani o nikim nie zapomnieć (może się zdarzyć).

We wspomnieniach (odnalazł je i przeczytał) pisał o tym, co się stało w imieniny Rudolfa i na Skånegatan, którą co roku, odkąd staruszek skończył dziewięćdziesiąt lat, wracał do domu.

A więc, doszedł do wniosku Jack Walde, ten typ spod ciemnej gwiazdy musiał siedzieć na ławce przy kościele i na niego czekać. Albo w jakimś barze, których sporo przy Nytorget.

Tak, to jest wytłumaczenie. Jeśli chodzi o typa z listem.

Kim był?

To już zupełnie inne pytanie. Jack zaczął się zastanawiać nad dziewczyną z Clariona. Skąd wiedziała, że właśnie tamtego lutowego wieczoru będzie siedział na tej cholernej sofie (w dodatku obserwowany przez własnego syna)? Zaczął zgadywać na chybił trafił. Czy to przypadek, czy może... czy może go śledziła?

Aż od...?

Zaraz, zaraz, pomyślał Jack Walde, nie tak szybko. Nie wyciągaj zbyt pochopnych wniosków. Bardzo możliwe, że obserwowała go już w Nisch, a jeśli tak, to nietrudno sobie wyobrazić, że zauważyła go przypadkiem. Kiedy szedł Dalagatan... bo tę drogę wybrał tamtego wieczoru.

A potem postanowił wstąpić do baru. Nic mu nie zostawiła. Po prostu wyszeptała mu do ucha te okropne słowa, o których myślał, że mu się przyśniły.

Na mur-beton, mówiąc potocznie. Tak właśnie musiało być.

Jack, zadowolony z wniosków, do jakich doszedł, dolał sobie porto, wypił łyk i natychmiast sobie uświadomił, że jego samozadowolenie – w świetle źle wróżących i niepokojących pytań – zniknęło równie szybko jak kamień rzucony w wodę.

Kto? Dlaczego? Po co?

29

Jack Walde nie bał się, że umrze – albo zakazi się – przez ten mały podstępny wirus.

W ogóle „lęk” to dla niego pojęcie abstrakcyjne. Myśl, że może być zdemaskowany, że jest pisarzem kryminałów, to jeden z przykładów lęku czysto abstrakcyjnego. A że ów lęk nigdy nie stanie się rzeczywistością, nie musi sobie tym zaprzętać głowy.

To, co poczuł w związku z wydarzeniem w Clarionie i na Nytorget, było czymś zupełnie innym. Diametralnie różnym, czymś fizycznym, prawie namacalnym. Wtedy zdał sobie sprawę, że prawdziwy strach należy do kategorii przeżyć egzystencjalnych, które trudno sobie wyobrazić, dopóki ich nie doświadczymy.

Podobnie jak cierpienie, zakochanie czy głód.

Jego lęk uzewnętrzniał się na różne sposoby – drżeniem, potami, biegunką i atakami nagłego bezdechu (to nie miało nic wspólnego z wirusem, był tego pewien) – i mimo iż po imiennach Rudolfa nic specjalnego się nie wydarzyło, przybierał na

sile. Szedł w parze z przymusową czujnością – nie tą pandemiczną, powszechną w miarę rosnącej liczby zmarłych, gdy szwedzka strategia poddawana była coraz ostrzejszej krytyce, wręcz przeciwnie, bardzo osobistą, unoszącą się w jego pobliżu. Jedna lub więcej osób chcą go skrzywdzić i mogą to zrobić w każdej chwili. Każde wyjście z domu powodowało w nim napięcie. Atak mógł przyjść z każdej strony i czuł się bezpiecznie tylko w jednym miejscu. We własnym domu.

Oraz w gazecie przy własnym biurku, przynajmniej w teorii. A ponieważ Ministerstwo Zdrowia wciąż rekomendowało, aby pracować z domu – jego koledzy po fachu zastosowali się do zaleceń – więc Jack Walde również posłuchał. Pod parasolem strategii antywirusowej przestał w ogóle wychodzić, poza krótkim (maksymalnie dwudziestominutowym) spacerem każdego przedpołudnia. Jeden raz wziął taksówkę z Heleneborgsgatan do redakcji, ale rozmyślił się, jak tylko wysiadł z samochodu, i poprosił kierowcę, żeby go odwiózł do domu. Zaczął zamykać drzwi na klucz, przez całe noce zostawiał zapalone światło i jedzenie zamawiał do domu. Jeśli chodzi o alkohol, to miał spore zapasy. W Wielki Czwartek rano, dziewiątego kwietnia, zrezygnował ze spaceru i przez całe święta nie wystawił nawet stopy za próg. Jeśli nie miałby nic innego do roboty, mógł czytać *Pluchę*, którą trzymał na szafce nocnej, ale nawet jej nie otworzył. Powieść i jej recenzja miały się ukazać na Światowy Dzień Książki, dwudziestego trzeciego kwietnia. Zostały mu dwa tygodnie. Sześćset czterdzieści osiem stron, gorzej, niż mu się wydawało.

Ale mówisz i masz, jest akcja, jest reakcja.

Autor nazywał się Kasper Kornbalk, według notki wydawniczej na skrzydełku okładki urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku i z zawodu był dentystą. Starszy niż ja, pomyślał Walde, wziął książkę, kieliszek wina, kanapkę z pastrami i usiadł w fotelu przed kominkiem. Przynajmniej

facet ma pięćdziesiąt pięć lat, więc pewnie może się odwołać do własnych doświadczeń życiowych, dobre i to. Jack, nawet jeśli się do tego nie przyznawał, od jesieni, kiedy wybuchła akcja *me too*, rozwinął w sobie pewną niechęć do piszących kobiet, szczególnie tych młodszych i atrakcyjniejszych.

Ale na litość boską, przecież dentysta z Närke też może kiepsko pisać, co absolutnie byłoby zaletą, jeśli okazałoby się, że książka jest słaba. Po pierwsze, Walde nie musiałby jej czytać, po drugie, nie ma się co oszukiwać, dużo ciekawiej pisze się recenzję druzgocącą niż miłą i pełną peanów pochwalnych.

Jednak wbrew własnej woli zaczął się wciągać w historię debutanta Kornbalka - opartą na faktach, przynajmniej na pierwszy rzut oka, o morderstwie dokonanym w okolicach Kumli pod koniec lat pięćdziesiątych. Ale to nie był kryminał, a raczej studium ludzkich reakcji na zbrodnię - szczególnie samego mordercy. Jak mógł żyć po tak krwawym czynie, wciąż będąc na wolności, oraz jak powoli zaczął dochodzić do wniosku, że postąpił właściwie, zabijając ciosem w głowę własnego stryja, największego prześladowcę w okolicy. Ale na świecie jest dużo prześladowców i dręczycieli. Dlaczego zaraz ich likwidować?

Dobra, pomyślał Jack Walde, kiedy kilka minut po północy przerwał na stronie sto dwudziestej drugiej. Cholernie dobra.

Wielki Piątek minął podobnie jak Wielki Czwartek. Walde siedział w bujanym fotelu, palił w kominku, do osiemnastej pił wino, potem porto i czytał *Pluchę*. Od czasu do czasu zadzwoniła komórka, ale nie odpowiadał, nawet na znany numer. Świat zewnętrzny trzeba trzymać na dystans, pomyślał, a cała powieść okazała się równie obiecująca jak jej początek. Oczywiście, miał kilka uwag, na przykład zbyt dużo średników, lecz kiedy skończył drugą część na stronie trzysta ósmej, postanowił, że napisze pozytywną recenzję, pierwszą w tym roku. Decyzja oznaczała, że będzie musiał przeczytać książkę do końca,

ale ma jeszcze trzy dni świąt, więc to nie problem. O jedenastej wieczorem przeniósł się do sypialni i czytał dalej, dopóki nie zasnął i książka nie zsunęła się na podłogę.

Obudził się po godzinie i pomyślał, że przeczyta jeszcze kilka stron. Główny bohater to kompleksowa postać. Na stronie trzysta czterdziestej dziewiętej i kilku następnych parobka o imieniu Sebulon męczyły wyrzuty sumienia, ponieważ niewinną osobę skazano za dwa morderstwa, które to on popełnił. Kiedy Jack Walde doszedł do strony trzysta pięćdziesiątej siódmej, a potem trzysta pięćdziesiątej ósmej i dziewiętej, serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

W środku znalazł żółtą karteczkę samoprzylepną z informacją napisaną wytłuszczonym drukiem:

ŚMIERĆ CZEKA NA CIEBIE. TB

Jack się zatrząsł, jakby go poraził prąd. Uderzył głową w róg łóżka i zemdłał. *Plucha* znów się znalazła na podłodze.

Nie miał pojęcia, o której godzinie stracił przytomność, ale kiedy się ocknął, było wpół do szóstej rano. W pokoju panowała ciemność, cienkie, fluoryzujące cyfry budzika groźnie się w niego wgapiały. Przez ułamek sekundy był przekonany, że to rzeczywiście się stało.

Śmierć czeka na ciebie.

Wciąż jednak oddychał, wprawdzie ciężko, ale mimo wszystko. Czy po śmierci człowiek oddycha? Mógł zacisnąć dłonie i poruszać rękoma i nogami. Twarz była na swoim miejscu, język też, mimo iż suchy i spuchnięty, mógł zamykać i otwierać oczy. Nawet jeśli w ciemności nic nie widział.

Poza tym czuł średnio intensywny, pulsujący ból głowy. Błądząc po omacku dłońią, znalazł na podłodze lampkę nocną

i książkę, które prawdopodobnie jednocześnie spadły z szafki nocnej.

Ostrożnie odsunął kołdrę na bok, powoli usiadł, potem wstał i dowlókł się do okna. Odślonił ciężkie zasłony i ujrzał szare światło poranka, które wbijało mu się w oczy tak, że aż musiał się cofnąć kilka kroków.

Świat wciąż istnieje, pomyślał. A ja wciąż żyję.

Ale Śmierć czeka na ciebie?

Plucha? A w niej ta cholerna karteczka! TB!

Nagle z mózgu odpłynęła mu krew albo wręcz przeciwnie, napłynęła w zbyt dużej ilości. W każdym razie zaczęło mu się kręcić w głowie, czuł nasilający się, pulsujący ból, powoli doszedł do łóżka, na które runął jak kłoda.

Jednak wciąż był przytomny. Pojęcie strachu zaczęło ustępować miejsca swojemu starszemu bratu, czyli przerażeniu.

Przez dobre dziesięć minut leżał nieruchomo na plecach. Mentalnie sparaliżowany, nie mogąc wykrzesać z siebie ani jednej myśli. Jakby go przejechał pociąg.

Żadne uczucie nie trwa wiecznie i powoli starszy brat przerażenia zaczął się wycofywać. Ale Jack wiedział, że tylko na chwilę, bo było jak dzikie zwierzę, jak potwór, który schował się w swojej pieczarze, żeby odpocząć. Ze swoim młodszym bratem strachem jako strażnikiem, i ani mu się śniło odpuścić.

Co za śmieszny obraz, skonstatował wciąż jeszcze żyjący w nim krytyk literacki, i prawdopodobnie to ta rozsądna myśl spowodowała, że znów zaczął się zachowywać jak myślący człowiek.

Który zadaje pytania. Sensowne pytania.

W jaki sposób ta wiadomość została schowana w debiutanczej powieści dentysty Kornbalka? W książce, którą własnoręcznie przyniósł z redakcji... kiedy to było? Przed tygodniem? Dzieście dni temu? Nie pamiętał. Kto mu ją dał? Szef działu kultury,

o ile dobrze pamięta... tak, on. Pamięta też, że zaśmiał się nie-naturalnie, że to taka cegła, i powiedział, że pozostali koledzy też są obłożeni.

Na pewno *Plucha* trochę leżała w redakcji, zanim trafiła do niego. Więc każdy mógł to zrobić. Czyżby to znaczyło, że to ktoś z kolegów...?

Nawet nie chciał o tym myśleć. Przecież to szczyt niedorzeczności. Wziął książkę do ręki, żeby znaleźć tę przekłętą karteczkę. *Śmierć...*

Przez chwilę przerzucał strony, nie mając pewności, w którym miejscu przerwał czytanie, i po kilku minutach się poddał. Najwyraźniej wypadła z książki, więc zaczął jej szukać na podłodze, przy łóżku.

Nic.

Ani w książce, ani na podłodze, ani w pościeli.

Powtórzył całą procedurę. Książka. Podłoga. Łóżko.

Co do diabła... - pomyślał Jack Walde. Czy ja oszalałem? O co chodzi?

Aż nagle przyszło olśnienie. Jedyne możliwe wytłumaczenie.

Jasna cholera. Jeśli chodzi o tę dziewczynę w Clarionie, to prawie udało mu się przekonać samego siebie, że jej tam nigdy nie było - że to był tylko sen - aż do momentu, kiedy Balthazar zadał mu to demaskatorskie pytanie.

A teraz znów tam był. Tylko inaczej. Ta żółta karteczka z groźnym przesłaniem miała wszelkie znamiona rzeczywistości - napisana wielkimi literami wiadomość. Po prostu jej realność. Pamiętał, że jej dotknął, a nawet odkleił od strony i trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. A jeśli...

A jeśli ją połknął?

Podobna myśl majaczyła mu w głowie kilka tygodni wcześniej, kiedy darł list od tupa w czapce z daszkiem. Wtedy

kawałki listu po prostu wrzucił do śmieci, więc dlaczego teraz tego nie zrobił? Żeby uczynić z niej rzeczywistość?

Czy można zapomnieć, że zaledwie parę godzin wcześniej zjadło się kartkę?

Jack Walde doszedł do wniosku, że to pytanie, na które nie ma odpowiedzi.

Czyżby naprawdę oszalał?

To kolejne pytanie, które na próżno domaga się odpowiedzi.

30

Minął kolejny tydzień. W Sztokholmie było kilka dni o temperaturze około dwudziestu stopni. Pandemia trwała z niesłabnącą siłą. Śmiertelność rosła, ludzie utrzymywali dystans, wszystkie wiadomości dotyczyły wyłącznie koronawirusa. Jack Walde skończył pisać *Nagie kłamstwo* – jak zwykle na starej maszynie do pisania marki Olivetti, żeby nie było żadnych śladów związku z Torą Tilly. Wysłał Gunderowi Widmanowi ponad czterystustronicowy maszynopis, dobrze zapakowany w pudle z napisem *Przepis na ciastka ze szkoły gastronomicznej we Frövi* – bez potrzeby wychodzenia z domu – i pomyślał, że ten mały zabieg przybliżył go do zarobienia kolejnych kilku milionów. Nie do pogardzenia.

Na razie żadnych gróźb, jeśli chodzi o TB. Przez kilka błogosławionych chwil wydawało mu się, że to już za nim. Że to tylko pusty strzał i nic więcej.

Ale jego optymizm nie trwał długo. W momentach niebłogosławionych męczył go strach, a w nocy, kiedy na kilka krótkich godzin zasypiał, w swoje władanie brały go koszmary.

Przebiegłe cizie, gryzące go w ucho i sączące groźby wprost do jego mózgu, faceci w czapkach z daszkiem, ze sztyletem pod prochowcem, pojawiające się i znikające karteczki samoprzylepne. A pewnej nocy, najgorszej z wszystkich, śniło mu się, że zamordował własną siostrę. Udusił ją gołymi rękami, a ona tuż przed śmiercią spojrzała mu głęboko w oczy i przemówiła, po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Falsz.

W piątek, siedemnastego kwietnia, po tygodniu kompletnej izolacji od świata zewnętrznego mimo wszystko wyszedł z domu. Wziął taksówkę do prawie pustej redakcji i zawiózł pochlebną recenzję debiutanckiej powieści *Plucha* oraz artykuł o późnej twórczości Wernera Wallendorffa. Wszystko wydrukowane – zgodnie z własną zasadą, w której był raczej osamotniony – a do kompletu digitalna wersja dostępna w kolejnym dniu roboczym.

Przeciągnął pobyt w wyludnionej redakcji o kilka godzin, siedział za biurkiem i odpowiadał na maile, które wcześniej ignorował. Kiedy nieoczekiwanie pojawił się jego kolega po fachu, Staffan Lidberg, zagadał do niego:

– Pandemia i jeszcze raz pandemia, jakżeby inaczej.

A po chwili rzucił pytanie. Jakby od niechcienia.

– À propos Franza J. Lundego, wiesz może, co u niego? Pisze coś?

– Lunde? Przecież zaginął, nic nie wiesz?

– Zaginął?

– Już w grudniu, jeśli się nie mylę. Cholera wie, co się z nim stało. Podobnie ta poetka, Maria... Maria Green. Jak to możliwe, że nie wiesz?

Jack Walde poczuł, jak podłoga usuwa mu się spod nóg, a jego ciałem wstrząsa lodowaty dreszcz. Tsunami od stóp do głów.

- Jasna cholera... - wyrwało mu się. - Nie, nic nie słyszałem. Kiedy to się stało?

Lidberg zastanowił się chwilę.

- Jakoś pod koniec roku. W grudniu albo w listopadzie, dokładnie nie pamiętam. Pisali o tym w każdym brukowcu, mówili w radiu i w telewizji... tak, to musiało być przed świętami.

- Przez cały grudzień byłem w Brazylii, a potem w Argentynie - powiedział Walde. - Wróciłem dopiero w połowie stycznia.

- Wtedy już trochę ucichło - odparł Lidberg i wzruszył ramionami. - Pewnie w Ameryce Południowej to nie była wiadomość z pierwszych stron gazet. Nie czytałeś szwedzkiej prasy?

- Jedną z zalet wyjazdu jest odcięcie się od informacji - powiedział Walde.

- Masz rację - zgodził się Lidberg i zrobił grymas. - W każdym razie wciąż nie wiadomo, co się z nimi stało. Nie pamiętam, żebym słyszał, by się odnaleźli. Okropna historia... a raczej okropne historie. Ale dlaczego o niego pytasz?

- Tak... tak po prostu. Bez powodu.

- Okej - powiedział Staffan Lidberg. - Muszę lecieć. Miłego weekendu, mamy w końcu wiosnę! Dobrze, że chociaż możemy ją oglądać przez okno.

- To minie - odpowiedział Jack Walde, sam nie wiedząc, czy miał na myśli wiosnę czy wirus. Czy coś zupełnie innego.

Kiedy znów zatopił się w fotelu za biurkiem, sam się zdziwił, że podczas rozmowy z Lidbergiem nie stracił kontroli. Nie wiedział, że tak świetnie potrafi udawać, ale w tej sytuacji to raczej marna pociecha.

Czyli w jakiej?

Miał pustkę w głowie. Lunde zniknął. Co to, do cholery, znaczy? I Maria Green, poetka. Pewnie... pewnie przed świętami trąbili o tym na lewo i prawo. Prawdopodobnie był jedynym

człowiekiem w kraju, który nic nie wiedział. A przynajmniej jedynym w tych kręgach.

Siedział w redakcji jeszcze przez godzinę i przeglądał informacje z grudnia o ich zaginięciu. Najprawdopodobniej zniknęli zaraz po spotkaniach z wiernymi czytelnikami, gdzie opowiadali o swoich książkach i o trudach pisania. Walde nigdy się nie złapał na haczyk takich komercyjnych spektakli; chociaż na początku kariery wystąpił na kilku tak zwanych dniach książki czy innych literackich przedsięwzięciach. Ale to było dawno temu, jego pozycja wysmakowanego prozaika oraz krytyka raczej nie licowała z tego typu rozrywką. Lunde i Green zniknęli w odstępie tygodnia, po spotkaniach w dwóch różnych miejscach: w bibliotece w Kymlinge i w świetlicy kilkanaście kilometrów dalej.

Oprócz spalonego samochodu Lundego znalezione na obrzeżach Kymlinge policja nie miała żadnych śladów. Mimo że tuż przed zaginięciem zostawili notatki ze spotkań.

Cholernie dziwna historia, pomyślał Walde, to jak jakiś kiepski scenariusz telewizyjny. Ale natychmiast zmienił zdanie, kiedy przeczytał, że oboje byli śledzeni przez stalkera. I to prawdopodobnie jego sprawka. W każdym razie tak twierdzi policja.

Jack przełknął ślinę, zacisnął mocno powieki, zaraz potem otworzył oczy i zmusił się, żeby czytać dalej.

Motyw? Nie wiadomo. W połowie stycznia, kiedy już minęły wszystkie święta, dowodzący śledztwem komisarz Barbarotti powiedział, że wciąż pracują nad obiema sprawami, ale niestety, nie mają ani podejrzanego, ani tak zwanych żadnych dowodów technicznych. Trudno nawet stwierdzić, czy w ogóle zostało popełnione jakiegokolwiek przestępstwo, poza tym nie stwierdzono żadnego związku między zaginionymi.

Jedyne, co mieli wspólnego, to fakt, że oboje byli pisarzami. I że zaginęli w tym samym regionie i mniej więcej w tym

samym czasie.

Jack Walde wyłączył komputer i zastanawiał się, czy da radę wstać. Ktoś ich śledził. Stalker. Jezu Chryste.

Jednak nic o inicjałach ani o jakimkolwiek związku z Trine Bang. W innej sytuacji, pomyślał, natychmiast poszedłbym na policję.

Ale jeszcze za wcześnie wtajemniczać w to wszystko kogoś z zewnątrz. Za wcześnie i zbyt ryzykownie.

A nie?, Jack Walde zapytał samego siebie. Wierzę w pojedynczego człowieka.

Kiedy doszedł do siebie, zadzwonił po taksówkę i wrócił na Heleneborgsgatan, do swoich bezpiecznych czterech kątów. Kiedy otwierał drzwi do mieszkania na czwartym piętrze, zobaczył na wycieraczce list. Natychmiast się domyślił, że nie był nadany na pocztę, bo listonosz chodził, zanim jeszcze wyszedł do redakcji

Odpowiedź poznał, kiedy usiadł w kuchni przy stole, rozrwał skromną kopertę i stał się częścią niespecjalnie skromnej wiadomości.

Spotkajmy się jutro wieczorem. Jeśli pojawisz się w Bishops Arms na Hornsgatan kilka minut po ósmej, będziesz miał szansę uratować swoją skórę. Jeśli nie, poniesiesz konsekwencje. TB

Jack Walde przeczytał wiadomość co najmniej pięć razy, zanim zrozumiał, o co chodzi.

Chwyił za komórkę i zadzwonił do Balthazara.

KWIECIEŃ 2020

31

Gunnar Barbarotti i Eva Backman siedzieli w samochodzie w drodze do Sztokholmu.

Był wtorek, dwudziesty pierwszy kwietnia. Barbarotti był sfrustrowany. Nie z powodu wirusa, który wszystkich frustrował – pandemii, przez którą, jak twierdzili i sensowni eksperci, i wielu innych, świat już nigdy nie będzie taki sam. Zmieni się albo na dobre, albo na złe.

Jednak tego ranka coś innego przyćmiło wirusa, a mianowicie zaginięcie kolejnego literata w królewskiej stolicy. Zdaniem Barbarottiego była to informacja równie ważna jak rozegranie partii szachów pod wybuchającym wulkanem. Ale co zrobić, trzeba uprawiać własny ogródek.

Wyruszyli o wpół do ósmej rano. Barbarotti nie spał do czwartej, za piętnaście piąta obudził Evę i zasypał ją gradem pytań.

Czy nie śpi?

Może by już wstali i ruszyli w drogę?

Jak myśli, co za szaleniec to zrobił?

Dlaczego minęło tyle czasu między dwoma pierwszymi zaginięciami a trzecim? Aż cztery miesiące, o co tu chodzi?

Czy mają jakiś jogurt w lodówce, czy będzie musiał zrobić owsiankę?

Jakie jest prawdopodobieństwo, że Jack Walde miał jakiś związek z Lundem i Green? Czy to nie był ten... no, jak to się nazywa?

- *Copycat*? - odpowiedziała Eva i ziewnęła. - To miałeś na myśli?

- Dokładnie - odparł Barbarotti. - Ktoś chciał się pozbyć Jacka Waldego i użył tego samego... mod... do diabła, jak to się nazywa?

- *Modus operandi* - pomogła mu Eva Backman. - Masz jakąś amnezję?

- Jest trochę wcześniej - odparł Barbarotti. - Ale myślę, że możemy wstać i jechać. Jeśli i tak nie śpimy.

- Dobrze, dobrze - powiedziała Eva. - Niech ci będzie.

Zatrzymali się za Jönköping. Zatankowali, wypili kawę, patrząc na jezioro Vetter. Duża przydrożna restauracja z pięćdziesięciu stolików zajętych miała sześć. Jeślibyśmy nie byli policjantami, pomyślał Barbarotti, kiedy Eva wyszła do łazienki przypudrować nos, równie dobrze mogliby nas wziąć za małżeństwo w drodze na lotnisko, lecące odwiedzić rodzinę w Minnesocie. Albo na pogrzeb w Gävle.

Zakładając, oczywiście, że w ogóle jakieś samoloty latają. Jak jest teraz z pogrzebami, Barbarotti nie wiedział. Może ciała są przechowywane w jakichś podziemnych chłodniach, aż się skończy pandemia. A może organizują pogrzeby online. Dlaczego nie? Barbarotti patrzył na siedem innych osób pijących kawę, na dwie pary i troje singli, wszyscy siedzieli w odpowiedniej odległości od siebie, zgodnie z rekomendacją Ministerstwa

Zdrowia. Panowały cisza i lekka niepewność. Podróżowanie w tej sytuacji to nie lada wyzwanie. Nawet w kraju o obniżonej zawartości tłuszczu w mleku, który ma najłżejsze restrykcje i jedną z najwyższych śmiertelności w świecie zachodnim.

Barbarotti westchnął. O ludziach wiemy tyle, ile widzimy, pomyślał. Zakazony czy niezakazony. Już bardziej anonimowo być nie może.

Ale oni są policjantami. Więc nie ma o czym mówić. Poza tym w trakcie służby. I wcale nie chce, żeby było inaczej. W każdym razie dzisiaj. Chodzi o trzeciego zaginionego pisarza! *Czysta metafizyka*, jak zatytułowała swoje nocne wydanie jedna z gazet, a Barbarotti tylko się z tym zgadzał.

Jack Walde był bardziej znany jako krytyk i dziennikarz kulturalny niż pisarz. Barbarotti czuł irytację, ale miał powody. Pytania bez odpowiedzi, które przez całą wiosnę siedziały mu w głowie, nagle dostały... no właśnie, jak to nazwać? Nową pożywkę? Odżyły? Przed świętami Lindhagen wysnuł teorię, że trzeba trzeciego zaginięcia, żeby ruszyć dalej, bo świat jest trójwymiarowy. Więc teraz mają trzecie zniknięcie. W czasach powiększających się katastrof klimatycznych, brunatnej prawicy, psychopatycznych prezydentów, umierającej demokracji i tak dalej, i tak dalej... i nagle to wszystko musi ustąpić miejsca wirusowi, na tyle silnemu, że jest w stanie sparaliżować całą ludzkość... tak, a jako przeciwstawienie do uwertury tego totalnego upadku ktoś postanowił, że wyeliminuje... dobre słowo, pomyślał Barbarotti, wyeliminuje... jeszcze jednego pisarza. Czy osobę, która żyła z pisania, jak kto woli.

Kapryśnego i budzącego postrach guru krytyki literackiej, Jacka Waldego.

Można by zapytać: po co? Dlaczego ktoś zadał sobie w ogóle ten trud?

Marnował siły na jakiegoś peryferyjnego snoba, kiedy armagedon czaił się za rogiem. To tak, jakby skarżyć się na niepo-

sprzątaną kajutę, kiedy statek już tonie.

Albo rozwiązywać problem szachowy pod wybuchającym wulkanem.

Mimo wszystko, myślał Barbarotti. Mimo wszystko muszę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Czy ta historia nie jest komentarzem do... do człowieka i jego kondycji?

Co to wszystko znaczy, Panie, Mój Stwórco?, zapytał górno-
lotnie, po czym zamknął oczy i złożył ręce na zdezynfekowanym stoliku. Czy dobrze zrozumiałem, że niezależnie od sytuacji na świecie, moim zadaniem jest iść na dno za nieznanym losem tych literatów?

Nie na dno, odpowiedział Nasz Stwórca. Źle się wyraziłem. Musisz się dowiedzieć, co się stało.

Właśnie to robię, zaczął się tłumaczyć Barbarotti. Ale to nie takie proste.

Nikt nie twierdził, że to będzie proste, odpowiedział Nasz Pan i przerwał połączenie, bo Eva wróciła z łazienki.

- Nad czym tak myślisz? - zapytała. - Wyglądasz, jakby ci dom okradli. Chcesz jeszcze kawy?

Między nimi znów było dobrze.

Najkrócej mówiąc. Eva została w Australii do ósmego stycznia, ostatnie dwa tygodnie w samym centrum pożarów, które o mało nie strawiły całego kontynentu. Jeszcze jeden przykład na to, że klimat zaczyna wariować i że trzeba to potraktować bardzo poważnie. Może jako wstęp do COVID-19. Opowiedziała mu o słynnym plakacie wiszącym w księgarni w małym prowincjonalnym miasteczku unicestwionym przez płomienie.

Literatura postapokaliptyczna przeniesiona do działu z literaturą faktu.

Być może właśnie doświadczenia ostatniego tygodnia na antypodach, gdzie widziała płonące niebo i wdychała czarne od

dymu powietrze, spowodowały, że innym okiem spojrzała na własne życie i wszystko sobie przewartościowała – to jej własne słowa, jak ekstremalne wydarzenia zmieniają percepcję świata. Zaczynamy dostrzegać to, co rzeczywiście ważne. W ostatniej chwili została ewakuowana z małego miasteczka pod Sydney, gdzie mieszkała w skromnym pensjonacie, a następnego dnia dowiedziała się, że miasteczka już nie ma. Cztery osoby, które kwestionowały nakaz władz i mimo wszystko postanowiły zostać, zginęły w płomieniach.

– Nie sądziłem, że świat musi się aż zawalić, żebyś ustąpiła – podsumował Barbarotti.

– Kocham cię – odparła. – I powiem ci, że zasługujesz na mnie.

Pojednanie stało się faktem. Kryzys związku został zażegnany. Dzięki Barbarottiemu zaczęła nawet czytać Biblię i nie mogła wyjść ze zdziwienia, jak, do diabła, udało mu się zachować wiarę w takim szalonym świecie.

– A znasz lepsze lekarstwo? – zapytał, ale mu nie odpowiedziała.

Jednak dzisiaj, w ten ciepły, kwietniowy dzień nie sprawy światopoglądowe były tematem, który ich zaprzętał. Apokalipsa i życie prywatne również nie. Wręcz przeciwnie: praca. Policyjna robota dotycząca zaginięcia niejakiego Jacka Rudolfa Horacego Waldego.

– Jak można dać dziecku na imię Horacy? – zapytała Eva, kiedy dojeżdżali do Ödeshög czy do Mjölby.

– Dobre pytanie – odparł Barbarotti. – Ale nie to jest najważniejsze w tym momencie.

– A co jest najważniejsze?

Barbarotti pomyślał chwilę.

- Oprócz zagadkowego zniknięcia Waldego... Lundego i Green... to myślę, że jak najlepsze wykorzystanie czasu w Sztokholmie, żeby wreszcie ruszyć ze śledztwem.

- Pewnie najpierw Sara Sisulu? Jaka ona jest?

- W porządku. Czarna, zgrabna i inteligentna.

- I pewnie też młoda?

- Wydaje mi się, że ma niecałe trzydzieści lat. Ale spotkałem ją tylko raz.

- Dobrze, że kobiety zostają glinami. Nie obchodzi mnie, czy są czarne, zgrabne czy młode. A potem kolej na syna i wydawcę, tak? - Eva patrzyła w kartkę. - Syn ma na imię Balthazar, nic dziwnego. Jeśli ojciec ma na imię Horacy, to synowi daje się imię Balthazar. Mam przecucie, że to bardzo specyficzne towarzystwo, nie uważasz?

- Wydawca nazywa się Gunder Widman - zaznaczył Barbarotti. - Ale na przykład w takiej pipidowie jak Blomstermåla tak też się można nazywać.

- W Blomstermåli?

- To tylko przykład.

- Rozumiem. Ile drogi nam jeszcze zostało?

- Jakies dwie godziny.

- Okej. W takim razie zdrzemnę się. Nie będę wytykała palcami, kto mnie obudził w środku nocy. Obiecujesz, że nie zaśniesz za kierownicą?

- Jestem ożywiony jak skowronek - odpowiedział Barbarotti.

Dwie i pół godziny później siedzieli w gabinecie Sary Sisulu w komisariacie w Kungsholmen. Oprócz ich dwojga i młodej aspirantki był jeszcze komisarz Pallander. Wysoki, łysawy gość w brązowych, okrągłych okularach. Według Barbarottiego mógł mieć jakieś siedemdziesiąt lat. W każdym razie był w tak zwanej grupie ryzyka, ale mógł też być młodszy. Bo przecież poli-

cyjant kryminalny nie musi sobie dorabiać po przejściu na emeryturę?

- Palle jest z nami, bo nie ufa małodatom - wyjaśniła Sara Sisulu, kiedy podali sobie ręce.

- Jestem tutaj, bo muszę - wtrącił komisarz Pallander. - Moje stuletnie doświadczenie oczywiście nic tu nie znaczy.

- My też jesteśmy urodzeni w średniowieczu - odezwała się Eva. - Poza tym z prowincji.

- Nie możemy się poddawać - powiedział Pallander. - I ani słowa o tej cholernej pandemii, jeśli mogę prosić.

Po tych wstępnych piruetach oraz czterech kubkach czarnej kawy nadszedł czas na zabranie się do roboty.

32

Jak już wspomniałam, udało mi się porozmawiać z częścią osób - wyjaśniła Sara Sisulu. - Na przykład z synem i z żoną... raczej była żoną, nie są rozwiedzeni, ale mieszkają oddzielnie. Palle rozmawiał z Gunderem Widmanem, wydawcą, a zarazem przyjacielem Waldego, i kilkoma jego kolegami z redakcji. Widman jest też wydawcą Marii Green, ale to pewnie już wiecie. Na razie to tyle, co mamy. Zostaliśmy dołączeni do śledztwa w niedzielę wieczorem, siedzimy w tym dopiero jeden dzień... może półtora.

- Jeśli o mnie chodzi, to tylko telefonicznie - dodał komisarz Pallander. - Ze względu na sytuację.

- Jaką sytuację? - zapytał Barbarotti.

- Zaraza - odparł Pallander.

- No tak, wyleciało mi to z głowy - zażartował Barbarotti.

- Jakieś ślady? - zapytała Eva Backman.

Sisulu pokręciła głową.

- Żadnych śladów, żadnych teorii, żadnych pomysłów - dodał Pallander.

- Przynajmniej wiemy, na czym stoimy - odezwał się Barbarotti.

- Na razie udało nam się ustalić - wtrąciła Sara Sisulu - że Jack Walde zaginął w ubiegłą sobotę po siedemnastej. Zadzwoił do syna i słuch po nim zaginął. Być może z czasem pojawi się jakiś świadek, na razie wiemy, że to była sobota, osiemnastego kwietnia, około dziewiętnastej. Umówił się z Balthazarem w pubie Bishops Arms na dwudziestą drugą, ale się nie pojawił.

- Przed sobotą rozmawiali jeszcze kilka razy przez telefon - dodał Pallander. - Ostatni raz Walde zadzwonił do syna w piątek wieczorem.

- A powód spotkania? - zapytał Barbarotti. - Nie zaszkodzi usłyszeć to jeszcze raz.

- Walde miał się spotkać ze swoim stalkerem - powiedział Pallander. - Czy jak go tam zwać. W każdym razie nie miało to być spotkanie ojca z synem. Walde chciał, żeby Balthazar też tam był i z odległości ich obserwował. Musiał się nieźle przestraszyć.

Pallander zdjął okulary i przetarł chustką oczy. Barbarotti domyślił się, że pewnie ma coś ze wzrokiem, ale nie zapytał.

- Wiemy, czy Walde wyszedł z domu? - zapytał Barbarotti. - Czy na przykład zamówił taksówkę?

- O ile nam wiadomo, to nie - wtrąciła się Sara Sisulu. - W każdym razie nie Taxi Sztokholm... a zazwyczaj tam dzwonił, jak twierdzi syn. Ale możliwe, że zamówił w innej korporacji, badamy to. Teraz dużo taksówek stoi beczynnienie, ludzie już tak nie jeżdżą.

- Jak daleko jest od mieszkania Waldego do pubu? - zapytała Eva Backman.

- Jakiś kilometr - odpowiedział Pallander i założył okulary. -
Możliwe, że poszedł pieszo.

- Ktoś go widział? - zapytał Barbarotti.

- Na razie nie mamy nikogo takiego.

- Skąd wiadomo, że dzwonił z domu, a nie z innego miejsca?

- Od jego syna.

- Sąsiadka widziała też światło w oknie około siódmej -
dodała Sara Sisulu. - Ale to wysoce niepewne. Była na ulicy,
mieszkają na czwartym piętrze, drzwi w drzwi. Mógł wyjść i nie
zgasić światła.

- Obejrzelście mieszkanie? - zapytała Eva.

Sara kiwnęła głową.

- Pobieźnie... żadnych śladów. I zgadza się, światło było
zapalone.

Komisarz Pallander porządnie odchrząknął.

- Musimy pamiętać o jednym. Nie mamy pewności, czy znik-
nięcie Waldego ma coś wspólnego z tymi poprzednimi. Czas
zniknięcia przemawia przeciwko temu. Minęły cztery miesiące.
Ale na razie zakładamy, że jest jakiś związek, dlatego tu siedzi-
cie.

- Zrozumieliśmy - odparł Barbarotti. - Jeśli i tym razem
okaże się, że to też jakiś prześladowca, to będzie jasny znak. Co
wiecie o tym człowieku?

- Tyle, ile opowiedział nam syn - wyjaśniła Sara Sisulu. -
Niewiele, więc spokojnie możecie jeszcze raz z nim porozma-
wiać. Będziecie mieć informacje z pierwszej ręki.

- To prawda - przyznał Barbarotti.

- Zrobimy to jeszcze dzisiaj, z wydawcą też się spotkamy -
powiedziała Eva Backman. - Ale nie mamy w planach rozmów
z innymi dziennikarzami. Mieli coś do powiedzenia?

Pallander zmarszczył czoło i zastanowił się chwilę.

- Walde był jakiś nieswój... Rozmawiałem z jego szefem i z kolegą i obaj stwierdzili to samo. Trudno powiedzieć dlaczego, ale od pewnego czasu nie był sobą. Nie widywali się za często, dziennikarze na ogół pracują z domu. Oczywiście, nie można wykluczyć, że tak mówią, bo wiedzą, że zaginął, ale pewnie nie mówili tego bez powodu. Walde zawsze był bardzo pewny siebie, wręcz arogancki, zadzierał nosa, ale ostatnio stał się jakby potulniejszy. Jeden z dziennikarzy powiedział, że rozmawiali parę razy przez telefon, a raz się nawet widzieli w redakcji.

- Potulniejszy? - zapytała Backman.

- Takiego słowa użył - odpowiedział Pallander.

- Więc coś musi być na rzeczy - dorzucił Barbarotti.

- Najwyraźniej. Ten tak zwany stalker to oczywiście tylko przypuszczenia... pamiętaj o tym.

- Wezmę to pod uwagę - obiecał Barbarotti i spojrzał na zegarek. - Na nas już czas, musimy zdążyć na nasze randki. I co, następne spotkanie jutro przed południem?

- Punkt dziesiąta - potwierdziła Sara Sisulu.

- To moje sformułowanie - przypomniał jej Pallander.

- Przynajmniej na coś się przydajesz - docięła mu młoda, czarna, zgrabna i bystra aspirantka.

Balthazar Walde też był czarny, ale tylko jeśli chodzi o ubranie i włosy. Poza tym był wysoki i chudy, z grzywką przykrywającą pół twarzy, pozostała, widoczna połowa, była naburmuszona i kwaśna.

Jest spięty, pomyślała Eva Backman, kiedy się przywitani i usiedli w prawie pustej kawiarni na Strindbergsgatan. To może nie najlepsze miejsce na poważną rozmowę, ale była otwarta, a Balthazar mieszkał w pobliżu, więc poszli mu na

rękę. Przecież ojciec mu zniknął bez śladu, poza tym będzie bardziej odprężony niż na komisariacie.

- A więc nie mieszkasz już w domu? - zapytała Eva. - Jesteś w ostatniej klasie liceum, tak?

- Mamy lekcje online. Ale co ma jedno do drugiego? - odpowiedział pytaniem.

- Pewnie nic - odparła Eva Backman. - Wolisz, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy?

- Najchętniej. Już rozmawiałem z jednym gliną.

- Wiemy - wtrącił się Barbarotti. - To była twoja inicjatywa, prawda?

Balthazar wypił łyk herbaty, ale nie odpowiedział.

- Boisz się, że coś się mogło stać twojemu ojcu? - zapytała Eva.

- A jak myślicie?

- Myślmy, że masz negatywne nastawienie do policji. Zgadza się?

- Dlaczego miałbym was kochać?

- Na przykład dlatego, że siedzimy tu z tobą i próbujemy się dowiedzieć, co się stało z twoim ojcem.

- Okej - wymamrotał Balthazar Walde. - Sorry.

- Wiem, że już o tym mówiłeś - powiedział Barbarotti. - Ale muszę cię poprosić, żebyś jeszcze raz wszystko opowiedział. A więc w piątek wieczorem zadzwonił twój tata w ważnej sprawie. Co to była za sprawa?

Balthazar zagryzł dolną wargę i po chwili zaczął opowiadać.

- Chciał, żebym mu w czymś pomógł. Ktoś go śledził.

- Śledził?

- Tak. Nie wiem, jak to nazwać.

- Mów dalej.

- Miał się spotkać z tą osobą w Bishops Arms, to pub na Hornsgatan, i chciał, żebym tam siedział i obserwował, co się

wydarzy. Czekałem od wpół do dziesiątej, mieli się spotkać o dziesiątej... ale się nie pojawił. Byłem do jedenastej, dzwoniłem do niego kilka razy, ale nie odpowiadał.

- A potem? - zapytała Eva Backman.

- Pojechałem do domu. Dzwoniłem jeszcze kilka razy, rano też... napisałem nawet SMS.

- I co, nie odpowiadał?

- Nie. W niedzielę pojechałem do niego, ale go nie zastałem.

- Wszedłeś do mieszkania?

- Jasne, mam klucz. Do Gärdet przeprowadziłem się miesiąc temu. Wcześniej mieszkałem trochę u ojca, trochę u mamy.

- Zwróciłeś na coś uwagę?

- Nie, na nic. Zrobiłem sobie kanapkę i zostawiłem mu kartkę w kuchni.

- Co mu napisałeś?

- Żeby się odezwał. Pomyślałem, że może zgubił komórkę.

- A potem postanowiłeś zadzwonić na policję?

- Mhm.

- O której godzinie, mniej więcej?

- O dziewiątej wieczorem.

Barbarotti przejął inicjatywę.

- Co ojciec mówił o tej osobie, która miała go śledzić?

Balthazar zastanowił się chwilę. Wpatrywał się w stół, jakby nie mógł się zdecydować.

- Widziałem ją - powiedział w końcu.

- Widziałeś ją? - zdziwił się Barbarotti. - W jakich okolicznościach?

Balthazar wziął głęboki wdech i odrzucił na bok długie włosy.

- Nie mówiłem o tym policji. Nie wiem... właściwie to wiem.

- Mów dalej.

- Bo wydawało mi się to trochę obciachowe... to znaczy dla ojca.

- Nie przejmuj się tym - wtrąciła Eva Backman. - Najważniejsze, żebyśmy się jak najwięcej dowiedzieli.

- Wiem, o co chodzi, dzięki - powiedział Balthazar. - Przez przypadek widziałem tę kobietę razem z ojcem. Kilka miesięcy temu w Clarionie na Norra Bantorget. Kiedy zadzwonił do mnie w piątek, zapytałem, czy to ona, powiedział, że wydaje mu się, że tak.

- A więc kobieta - powiedział Barbarotti. - Możesz ją opisać? W jakiej sytuacji ich widziałeś?

- To była chwila. Ojciec siedział na sofie w Clarionie, a ja z kumplami przy barze, kawałek dalej. Nie widział nas, był trochę wstawiony. Ta kobieta podeszła, usiadła obok niego i coś mu zaczęła szeptać do ucha... tak mi się wydaje. Chyba jej coś powiedział, bo odeszła.

- Jak wyglądała?

- Dość szczupła... chłopięca, ale dobrze jej nie widziałem.

- Ubranie? Kolor włosów?

- Ciemna kurtka... tak mi się wydaje. Ciemne włosy, krótkie. Więcej nie pamiętam.

- Poznałbyś ją?

Balthazar zawahał się na moment, a potem potrząsnął głową.

- Chyba nie.

- Okej - odparła Eva Backman. - Czy twój ojciec wiedział, że też tam byłeś i go widziałeś?

- Tak, powiedziałem mu o tym tydzień później.

- Czy mógł znać tę kobietę?

- Chyba nie. Odwrotnie, nie chciał jej widzieć.

- Rozumiem. Skąd wiesz, że to ona go prześladowała?

- Powiedział mi. Ale nie był do końca pewien, czy... czy to była ona, nie pamiętam dokładnie. Wydarzyły się jeszcze inne rzeczy.

- Okej. Mów.

- Powiedział, że w okolicach Nytorget podszedł do niego jakiś facet. Zagroził mu i zniknął. Ale równie dobrze mogła to być kobieta przebrana za mężczyznę. Był niski i szczupły... albo odwrotnie, w Clarionie był facet... przebrany za kobietę.

- Czy wiesz, co dokładnie ta osoba powiedziała ojcu? - zapytał Barbarotti.

- Groziła mu.

- Kiedy to było?

- Wydaje mi się, że kilka tygodni temu, może miesiąc.

- Okej. Opowiedziałeś wszystko policji?

- Wspomniałem o Clarionie i o Nytorget. Ale nie o tym, że też tam byłem.

- Jeszcze coś? Powiedziałeś, że wydarzyło się parę rzeczy.

- List. W którym było napisane, żeby przyszedł do Bishops Arms.

- Powiedział dokładnie, jaka była jego treść?

- Nie.

- Widziałeś ten list?

- Nie.

- Kiedy siedziałeś w pubie i czekałeś na tatę, dostrzegłeś kogoś, kto przypominał tę kobietę, którą widziałeś w Clarionie?

- Nie - odpowiedział Balthazar nieoczekiwanie szybko. - Zastanawiałem się nad tym, ale nie przypominam sobie nikogo podobnego do niej... jak już mówiłem, nie bardzo pamiętam, jak wyglądała. Poza tym w pubie było dość pusto. Teraz ludzie siedzą raczej w domach i gapią się w ścianę.

Barbarotti otworzył notatnik, w którym nie napisał jeszcze ani jednego słowa, i spojrzał na Evę.

- Masz jakieś pytania?

- Tak, jedno. O ile dobrze zrozumiałam, to twój tata był niepokojny przed tym spotkaniem w sobotę wieczorem. A mimo to zwrócił się do ciebie zamiast do policji. Wiesz może dlaczego?

Balthazar rozejrzał się, zanim odpowiedział.

- Zapytałem go, ale się zaśmiał i chyba powiedział, że... że to nic poważnego?

- Dobrze.

- Mimo to chciał, żebyś tam był?

- Wiem, że to trochę dziwne. Ale nie rozmawialiśmy o tym.

- Okej - westchnęła Eva Backman. - Myślę, że na razie na tym zakończymy. Ale jeśli coś ci się przypomni, to koniecznie się z nami skontaktuj. Tutaj masz nasz numer. Możesz dzwonić o każdej porze.

Eva podała mu wizytówkę, a Balthazar schował ją do kieszeni swojej czarnej koszuli.

- Mogę o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Dlaczego wy się tym zajmujecie? Przecież nie jesteście ze Sztokholmu.

- To prawda - odpowiedziała Eva Backman. - Pracujemy w Kymlinge. Ale mamy już dwa podobne przypadki.

- Czy...?

- Tak?

- Czy chodzi o tych pisarzy, którzy zaginęli przed Bożym Narodzeniem?

Jego głos drżał, kiedy to mówił, i po raz pierwszy nikogo nie udawał, był sobą. Nastoletnim chłopakiem, przerażonym, że jego ojcu coś się stało.

- Nie wiemy, czy mają z sobą coś wspólnego - powiedział Barbarotti. - Ale nie możemy tego wykluczyć.

Następnie oboje podziękowali Balthazarowi Walde, że przyszedł na spotkanie i odpowiadał na wszystkie pytania. Jeśli się nie odezwie, policja sama się z nim skontaktuje. Pewnie wkrótce, trzeba to jak najszybciej rozwiązać.

Chyba się z nimi zgadza?

Oczywiście. Młody Walde też tak uważał.

33

Kiedy dotarli do Valhallavägen, była już piąta i komisarz Barbarotti poczuł się głodny.

- Teraz? - zdziwiła się jego koleżanka po fachu i narzecona. - Za pół godziny mamy kolejne spotkanie.

- Wiem - odparł Barbarotti. - Ale musimy je przesunąć. Mamy trochę do przemyślenia.

Eva Backman zatrzymała się i zaczęła się zastanawiać.

- Okej. Masz rację. Zadzwoń i zapytaj, czy możemy się spotkać jutro przed południem... nie, po prostu powiedz, że przyjdziemy. Musi się dostosować.

Barbarotti pokiwał głową. Zadzwoił do Widmana i wyjaśnił, że powstały pewne komplikacje i dlatego spotkają się jutro.

O dziesiątej w wydawnictwie, jeśli to pasuje?

Pasuje.

Z tego powodu spotkanie z Sisulu i Pallanderem musieli przesunąć na późniejszą godzinę. Barbarotti zadzwonił do Sisulu.

Też im pasowało. Elastyczność to jej znak rozpoznawczy.

A Pallander?

Ma inne zalety.

Po kilku godzinach zameldowali się już w hotelu Reisen na Skeppsbron i siedzieli przy stoliku w prawie pustej restauracji Tradycja, którą Barbarotti pamiętał z ostatniego pobytu w grudniu, a od której dzieliły ich zaledwie dwie minuty spaceru z hotelu.

I właśnie słowo „spacer” było pierwszym tematem wieczoru. Oczywiście chodziło o zupełnie inny spacer.

- Najpierw zjemy, a potem pójdziemy jego śladem - powiedział Barbarotti. - Z Heleneborgsgatan do pubu na Hornsgatan.

- Ale nawet nie wiemy, czy on wyszedł z domu - wtrąciła Eva.

- Z domu na pewno wyszedł - odparł Barbarotti. - I wiemy, że nie dotarł na miejsce.

- I dlatego uważasz, że leży zamordowany w jakimś rynsztoku po drodze, tak?

- Dokładnie tak myślę. Nie ufam naszym kolegom. Podejrzewam, że nie wzięli pod uwagę najbardziej oczywistego scenariusza. W zamierzonych czasach ta dzielnica nazywała się Dzielnicą Nożowników, nie zapominaj o tym.

- Jezus Maria - powiedziała Eva Backman. - W takim razie idę z tobą. Tylko najpierw coś zjedzmy.

- Dzięki - odparł Barbarotti. - Z tobą czuję się bezpieczny.

- W tym czasie zastanowimy się, co ich wszystkich łączyło. Prawda, że podobieństwa są dość wyraźne?

- Absolutnie - odparł Barbarotti. - Masz na myśli to, że wszyscy troje mają coś do ukrycia, tak?

- Między innymi - zgodziła się Eva Backman. - Trzy osoby dostają groźby... w każdym razie są atakowane werbalnie... Wszyscy są pisarzami i żadne z nich nie skontaktowało się z policją. Czyli oczywiste, że musieli mieć coś na sumieniu?

- Hm, ciekawe, czy to samo - wtrącił Barbarotti.

- Jeśli nie, to sprawy się trochę skomplikują. Szkoda, że nie wiemy, co ten prześladowca powiedział Waldemu... albo co napisał w liście. Może jest gdzieś w mieszkaniu?

- To już niech sprawdzą Sisulu i Pallander - powiedział Barbarotti. - Niech też coś wniosą. O, idzie pudding.

Mieszkanie Jacka Waldego znajdowało się na Heleneborgsgatan pod numerem czterdzieści i dopiero kiedy Barbarotti i Backman wysiedli z taksówki, mogli mu się dokładnie przyjrzeć. Dom wyglądał, jakby miał co najmniej sto lat, był dobrze utrzymany i leżał rzut kamieniem od Riddarfjärden. Po drugiej stronie, też rzut kamieniem, wznosił się kościół. Barbarotti doszedł do wniosku, że w tej dzielnicy mieszkają tylko ludzie, których na to stać. Te historie o Dzielnicy Nożowników już dawno musiały odejść do lamusa.

Nie udało im się dowiedzieć, które mieszkanie należało do Waldego, oprócz tego, że było na czwartym piętrze, ale celem ich wizyty nie była rewizja czy włamanie.

Chcieli po prostu zrekonstruować drogę ofiary.

Eva Backman zastanawiała się, czy to jeden z mniej udanych pomysłów Barbarottiego, czy rzeczywiście coś w tym było. Skłaniała się jednak ku temu pierwszemu.

- Interesujące - powiedziała. - To już wiesz, którą drogę wybrał? Obok kościoła?

- Nie, kościół leży na wzgórzu - powiedział Barbarotti, studiując mapę w komórce. - Na pewno go obszedł. Tak, GPS pokazuje, że musiał iść Pålsundsgratan... i po dziesięciu minutach był w pubie. Chodźmy i miejmy oczy i uszy otwarte.

- Myślisz o plamach krwi, niedopałkach?

- Jakbyś zgadła. Części ciała też wchodzi w grę. I łuski od nabożów.

Szli w ciszy i bez pośpiechu, po około dziesięciu minutach stali pod Bishops Arms na Hornsgatan.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Eva. - Ale nie znalazłam ani jednego śladu.

- Ja też nie - przyznał się Barbarotti. - Nieważne.

- Nieważne? Nie rozumiem, co mistrz ma na myśli?

- Ile osób widziałeś?

- Niewiele. Chodzi ci o...?

- Ja naliczyłem dwie. A nie ma jeszcze dziewiętej. Jack Walde szedł tędy później, poza tym było już ciemno. Plus wirus. Wejdziemy?

Weszli do tradycyjnie urządzonego pubu, usiedli na jednej z dziesięciu wolnych ławek i u zgorzkniałego kelnera zamówili ekskluzywne i dość drogie piwo IPA. Nie dało się nie zauważyć, że w pandemii puby ucierpiały, zamówienia poleciały w dół na łeb na szyję, pomyślała Eva Backman, ale postanowiła, że nie będzie sobie teraz tym zaprzętać głowy.

Mają ważniejsze problemy do przegadania.

Na przykład Gunder Widman.

- Dwoje z nich wydawało u niego swoje książki - powiedziała. - Więc powinien sporo wiedzieć.

- Myślisz o jakichś punktach wspólnych? - zapytał Barbarotti.

- Między Marią Green i Jackiem Walde'em, zgadza się. Jeśli wciąż zakładamy, że jakieś są. Bo jeśli myślimy inaczej, to w jakim miejscu jesteśmy?

- Na pustyni, bez mapy ani GPS-u. Więc lepiej przyjmijmy, że wszystkie trzy przypadki miały ze sobą coś wspólnego.

- Masz rację - odparła Eva. - Trzeba sobie ułatwiać życie, jeśli to możliwe. Mówiłeś, że Kavafis zrobił jakąś listę?

Barbarotti wypił łyk i przez moment wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Dobrze. Co mówiłaś?

- Lista, którą zrobił Kavafis.

- No tak... racja, spis miejsc, w których byli Green i Lunde, i ile razy. Chodzi o spotkania z czytelnikami. Na przykład co roku oboje mogli obchodzić midsommar w Skansenie. Skontaktuję się z nim.

Eva Backman się uśmiechnęła.

- Najlepiej przed jutrzejszym spotkaniem z Widmanem. Żeby jeszcze dziś wieczorem mógł sprawdzić, czy Walde też tam był. W Skansenie albo...

- Zaraz napiszę do Kavafisa - powiedział Barbarotti.

- Jest wpół do dziesiątej.

- Jest młody i przebojowy. Nie będzie problemu.

I nie było. Odpowiedź od Erika Kavafisa przyszła po dziesięciu minutach; naprędce przejrzeni spis miejsc i dat, a potem Barbarotti przesłał listę Widmanowi z komentarzem, że chcieliby się dowiedzieć, gdzie w danym czasie był Jack Walde. Wydawca powinien to wiedzieć, prawda?

1. *Targi książki w Göteborgu, 22-25 września 2011*

2. *Dzień książki w Kalmarze, 13 listopada 2012*

3. *Targi książki w Göteborgu, 25-28 września 2014*

4. *Forum literackie, Kopenhaga, 11-13 listopada 2016*

5. *Festiwal literacki w Kirunie, 16-19 października 2018*

- Przepraszam, że to mówię, ale szukamy igły w stogu siana - powiedziała Eva Backman.

- Bierzemy, co mamy - odparł Barbarotti.

- Wiem. Potrzeba matką wynalazków. Ale ten spacer i ta lista to chyba trochę... za mało, nie? Właściwie nawet nie

wiemy, kogo szukamy? Nie uważasz?

Barbarotti wypił następny łyk i milczał przez chwilę.

- Sam nie wiem, co uważam. Zgadza się, że to bardziej błądzenie po omacku niż szukanie. Ale im więcej informacji o Waldem zbierzemy, tym lepiej. Pallander i Sisulu dopilnują, żeby przesłuchać sąsiadów. Na pewno ktoś widział, jak w sobotę wieczorem wychodził z domu.

- W tym najlepszym ze światów - powiedziała Eva Backman.

- Czyż nie w takim żyjemy? - zapytał Barbarotti zdziwiony. - Najciekawsze jest to, czy nasze trio miało coś na sumieniu... nikt z nich nie odważył się iść na policję, mimo że się bali.

Eva Backman kiwnęła głową.

- Ale to już ustaliliśmy, pamiętasz?

- Tak, tak. - Barbarotti westchnął. - Dopijemy piwo i zamówimy taksówkę do hotelu. Jestem potwornie śpiący, za intensywnie myślałem. Jutro, jak się wyśpimy, wszystko będzie łatwiejsze, zobaczysz.

- Oczywiście - zgodziła się Eva Backman i swoje India Pale Ale wypijała do ostatniej kropli.

34

ZAGINIĘCIE TRZECIEGO PISARZA

- donosił tytuł jednego z dzienników.

ZNANY KRYTYK ZNIKNAŁ BEZ ŚŁADU

- krzyczał inny.

Tę ponurą wiadomość – dla Barbarottiego i Backman też taka była – Gunder Widman zobaczył podczas porannego spaceru albo w metrze, w drodze do swojego dużego wydawnictwa. To zaledwie trzecia jego wizyta w pracy w ciągu miesiąca, bo podobnie jak większość kolegów stosował się do rekomendacji Ministerstwa Zdrowia, aby pracować zdalnie.

Wyglądał na wstrząśniętego, kiedy wpuszczał gości z policji do swojego gabinetu. Wprawdzie był dobrze ubrany i starannie ogolony, ale sine worki pod oczami zdradzały, że miał za sobą zaledwie parę godzin snu. A może w ogóle nie spał. Jego uścisk ręki skojarzył się Barbarottiemu z przemoczonym filetem z dorsza, który zbyt wiele godzin przeleżał na deszczu. Coś w tym rodzaju. Skąd mu wpadło do głowy to porównanie? Czyżby powitanie poprzez dotknięcie się łokciami już nie obowiązywało?

– Jestem w szoku – zaczął wydawca. – Siadajcie, proszę. Co się dzieje?

– Niezwykle relewantne pytanie – przyznał Barbarotti, podążając tropem swoich myśli. – A jak pan sądzi?

Widman rozłożył bezradnie ręce.

– Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że to już koniec... to znaczy to, co się stało z Marią i z Lunde... przecież minęło już tyle miesięcy... a teraz jeszcze Jack! I to w takim przeklętym czasie. To nie do pomyślenia!

– Słyszałem, że Jack Walde jest pana dobrym przyjacielem – powiedziała Eva Backman. – Że łączą was nie tylko więzy zawodowe, zgadza się?

– Oczywiście, znamy się ponad trzydzieści lat – potwierdził Widman. – Razem studiowaliśmy w Uppsali, w latach osiemdziesiątych.

Barbarotti rozmawiał kilka razy z Gunderem Widmanem w związku ze zniknięciem Marii Green, ale tylko przez telefon, więc zdziwił się jego bezradnością, kiedy teraz mieli okazję

porozmawiać twarzą w twarz. Nie było najmniejszych wątpliwości, że los Jacka Waldego, niezależnie od wszystkiego, bardzo go poruszył. Jakby chodziło o członka rodziny, pomyślał Barbarotti. Może to nic dziwnego, skoro się przyjaźnili przez prawie pół życia.

- Wiemy, że to dla pana bardzo trudne - powiedział. - Mimo to musimy zadać kilka pytań, mamy nadzieję, że pan to rozumie?

- Oczywiście, oczywiście - powiedział Widman. - Przepraszam, jestem trochę nie w sosie... ale zrobię, co będę mógł, żeby pomóc. Znam Jacka bardziej niż wszyscy inni. Jack... - Przerwał, jakby szukał odpowiedniego słowa.

- Tak? - zapytała Eva Backman. - Proszę mówić dalej.

- Jack nie ma wielu przyjaciół, tylko to chciałem powiedzieć.

- Ale może ma wrogów? - zapytał Barbarotti.

Gunder Widman westchnął.

- Niestety, tak.

- Czy może pan rozwinąć temat? - poprosiła Eva.

- Oczywiście... hm, przepraszam. Mam nadzieję, że to nie będzie nic drażliwego, jeśli wyjdzie na jaw. Jack to skomplikowana osoba. Jest niezwykle inteligentny i mówi, co uważa, szczególnie wtedy, kiedy coś nie trzyma poziomu, jaki sam wyznaczył. To powoduje, że budzi postrach jako recenzent, i w ten sposób narobił sobie wrogów. Czasami pisze ostro, jest krytyczny i nie próbuje się podlizywać. Szczególnie w kręgach pisarskich jest wielu, którzy najchętniej by się go pozbyli, gdyby mogli.

- Pozbyli? - zapytał Barbarotti. - Dlaczego pan użył właśnie tego określenia?

Widman zastanowił się chwilę.

- Może nie zabili, ale jeśli Jack skończyłby z pisaniem i wyjechał za granicę, na pewno by po nim nie płakali. Przykro mi, ale

tak to wygląda. Jest błyskotliwy, ale dla wielu niewygodny. Nawet bardzo.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Czy to samo można powiedzieć o jego twórczości?

- Absolutnie - odparł Widman stanowczo. - Skomplikowana, ale trzyma poziom, do którego nikt inny nie dosięga. W każdym razie w tym kraju.

- Od kiedy jest pan jego wydawcą?

- Od jego trzeciej książki, *Modlitwa dla słabych na umyśle*. Zadebiutował w dość młodym wieku, mieszkał wtedy w Berlinie, a ja nie byłem jeszcze w tej branży. Ale mniej więcej od roku dwutysięcznego trzymamy się razem.

- Często się widujecie? - zapytała Eva Backman.

Widman potrząsnął głową.

- Nieszczęśliwie. Jack nie jest jakoś specjalnie towarzyski. Nienawidzi imprez, nie lubi przebywać z ludźmi tylko dla samego przebywania. Spotykamy się najwyżej raz w miesiącu... idziemy wtedy do restauracji, żeby pogadać... oczywiście o książkach. O tych przeczytanych albo o tych, nad którymi pracujemy.

- Kiedy się widzieliście ostatni raz?

Gunder Widman pomyślał chwilę.

- Jakiś czas temu... pod koniec lutego, o ile się nie mylę... albo na początku marca. Umówiliśmy się w restauracji.

- Od tamtej pory mieliście tylko kontakt telefoniczny albo mailowy, tak?

- Może kilka razy... nie więcej.

- Skąd się pan dowiedział, że zaginął?

- Od policji. Zadzwonili do mnie jakoś... tak, przedwczoraj.

- Był pan zaskoczony?

- No oczywiście... a nawet więcej, doznałem szoku. Przecież wciąż miałem z tyłu głowy Marię Green i... i Lundego. Tak, to

nie do pomyslenia. Macie jakieś ślady? Kto to mógł zrobić... bo to chyba ten sam typ? Zakładam, że...

Widman powędrował wzrokiem najpierw na komisarza Barbarottiego, potem na komisarz Evę Backman, jakby czekał na odpowiedź. Lecz jedyne, co dostał, to delikatne wzruszenie ramion i „może tak, może nie” od Barbarottiego.

- Czy pan zna żonę i syna Waldego? - zapytała Backman.

- Spotkałem ich, oczywiście. Kiedy jeszcze mieszkali razem, ale już od kilku lat ich nie widziałem.

- Kiedy się rozeszli?

- Może pięć lat temu... albo siedem, czas płynie tak szybko.

- To prawda - zgodził się Barbarotti. - Czy może pan coś powiedzieć o stosunkach Waldego z synem... Ma na imię Balthazar, prawda?

- Myślę, że mają dość dobry kontakt - odparł Widman po krótkiej pauzie. - Wiem od policji, że w zeszłą sobotę czekał na Jacka... w pubie. Prawda?

Barbarotti zastanawiał się, dlaczego go o tym poinformowali, ale uznał, że to bez znaczenia.

- Czy pan wiedział, że ktoś nęka Waldego? - zapytał.

- Dowiedziałem się od policji - wyjaśnił Widman. - Nie miałem pojęcia. Ale najwyraźniej rozmawiał o tym z Balthazarem i pewnie dlatego...

Przerwał w połowie zdania, ale Barbarotti pokazał ręką, żeby dokończył myśl.

- ...i dlatego to przypomina te poprzednie zaginięcia. Marię Green i Lundego.

- To tylko teoria - powiedziała Eva Backman. - Jedna z wielu. Kiedy się widzieliście ostatni raz?

- Zaraz sprawdzę - odpowiedział Widman i wyjął kalendarz z kieszeni. Przekartkował. - Dwudziestego siódmego lutego.

W czwartek... byliśmy w Nisch, to knajpa na Dalagatan. Wtedy jeszcze można było wychodzić.

Eva Backman wszystko zanotowała i obrzuciła Barbarottiego pytającym spojrzeniem.

- A, jeszcze jedno - powiedział. - Lista, którą panu wczoraj wysłaliśmy, miał pan czas, żeby ją przejrzeć?

Wydawca zaczął czegoś szukać w komórce.

- Jeśli chodzi o Jacka, to nigdy nie zapisywałem. Ale wiem na pewno, że nie było go w Kalmarze i w Kirunie. Targi w Göteborgu... tak, możliwe, że tam był, ale lepiej, żebyście zapytali u niego w redakcji. Kopenhaga... nie mam pojęcia. Być może tak, bo to dość znacząca impreza, ale raczej jako dziennikarz niż autor. W redakcji na pewno będą coś wiedzieć.

- W takim razie dziękujemy - powiedział Barbarotti. - Sprawdzimy to. A jeśli byśmy założyli, że wszystkie trzy przypadki mają ze sobą coś wspólnego, to czy pana zdaniem Waldego coś z nimi łączyło? Z Marią Green na przykład, przecież tu pracuje...

Barbarotti uświadomił sobie, że między myślą a językiem nastąpiła zamiana czasów. *Pracowała* przeszło w *pracuje*. Czysto automatycznie, być może dlatego, że nie uśmierca się ludzi, zanim nie umrą.

Gunder Widman potrząsnął głową.

- Spotykali się, ale chyba nie byli przyjaciółmi... nie, na pewno nie.

- A Lunde?

- Podobnie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Jak już mówiłem, Jack był samotnikiem. I to mu pasowało. Inteligentny, bezpośredni, nienawidził szczebiotania czy gadek o niczym. Kiedy coś organizowaliśmy w wydawnictwie, to część pracy, nigdy nie przychodził, mimo iż był zapraszany.

- Kobiety?

- Jeśli kogoś pozna, na pewno zatrzyma to dla siebie.

- Czy pracował nad jakąś nową książką?

Widman wybuchnął śmiechem, jakby na moment zapomniał o powadze sytuacji.

- Jeśli o to chodzi, to nie mogę nic zdradzić. Ale wiem, że pracował nad czymś o królowej Krystynie i Kartezjuszu... wiecie, ten, który zamarzył na śmierć w zamku.

- Ach tak - zdziwił się Barbarotti. - Czy pisał jakiś dziennik... to znaczy Walde, nie filozof.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie sądzę.

Barbarotti wzruszył ramionami.

- Czy jest jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc?

Widman zastanowił się chwilę.

- Nie, na razie nic. Ale jeśli coś mi się przypomni, obiecuję, że dam znać... wam, prawda?

- Albo tutaj na policję, to bez znaczenia. Będziemy w kontakcie.

- Naprawdę, mam nadzieję, że Jack się odnajdzie - zakończył wydawca, wstał i przytrzymał gościom drzwi. - Jest bez dwóch zdań moim przyjacielem, mimo swoich wad.

- Pieszko czy bierzemy taksówkę? - zapytał Barbarotti, kiedy wyszli na zewnątrz.

- Pieszko - powiedziała Eva Backman. - Przecież jest wiosna i dużo miejsca na chodniku. I co, jesteś mądrzejszy?

- Niespecjalnie - przyznał Barbarotti. - Ale głupszy też nie. A ty?

- Kura czy jajko. Czy Walde jest samotny, bo jest okropny, czy jest okropny, bo jest samotny?

- Trudno stwierdzić - powiedział Barbarotti. - Na jego miejscu też bym unikał ludzi, jeśli bym ich tak obsmarowywał. W Biblii wprawdzie jest napisane, że *zastawiasz przede mną*

stół wobec moich wrogów, ale trzeba wiary z żelaza, żeby z takimi usiąść do stołu.

- Ty tego nie robisz?

- Czasami.

- Rozumiem. Zresztą ja też nie lubię pustej paplaniny. Ale to nie znaczy, że jestem złośliwa. Nieważne... co robisz?

- Chcę coś sprawdzić - powiedział Barbarotti, szukając w komórce numeru telefonu.

Zadzwoił, ale dopiero po piętnastu minutach, kiedy byli na wysokości ratusza, ktoś odebrał. Zadał pytanie, potem następne, poczekał na odpowiedź i się rozłączył, wyglądał na zadowolonego.

- Czy myślisz, że nie wiem, o co chodzi? - zapytała Eva Backman. - Nie masz twarzy pokerzysty, a tak na marginesie, to już sprawdziłam datę.

- Ech... - odezwał się Barbarotti.

- Dowiedziałeś się, że to było tego samego wieczoru, tak? Walde zjadł kolację ze swoim wydawcą, a potem poszedł do Clariona na drinka. I tam spotkał swojego prześladowcę. Chociaż...

- Co „chociaż”? - zapytał Barbarotti lekko zirytowany.

- Chociaż nie rozumiem, co ma jedno do drugiego.

- Ja też nie - westchnął Barbarotti. - Ale to interesujące.

- A Widman?

- Pytasz, czy on też był w Clarionie?

- Dokładnie.

- Prawdopodobnie nie. W każdym razie Balthazar tam go nie widział, Jack Walde siedział sam, dopóki... dopóki nie pojawiła się ta osoba.

Szli w ciszy przez Hantverkargatan.

- A jednak jesteśmy trochę mądrzejsi - odezwała się Eva po minucie czy dwóch.

- Może odrobinę - powiedział Barbarotti. - Ale teraz sprawdzimy, co mają nam do powiedzenia ci geniusze w komisariacie.

35

Geniusze z komisariatu w Kungsholmen byli ci sami, co poprzedniego dnia. Młoda i bystra oraz stary i brzydki.

- Witamy, witamy - powiedział Pallander. - Już rozwiązaliście zagadkę?

- Jesteśmy na dobrej drodze - odpowiedział Barbarotti i rozłożył ręce. - Brakuje nam jeszcze kilku puzzli. Pomyśleliśmy, że pomożecie nam je znaleźć.

- Z wielką przyjemnością - zapewniła Sara Sisulu. - Ale najpierw opowiedzcie o rozmowie z synem i wydawcą?

Zrelacjonowanie zajęło Backman i Barbarottiemu pół godziny, z punktem ciężkości na tym, że Balthazar Walde widział prawdopodobnie tak zwanego prześladowcę.

- Dobrze, że udało wam się to z niego wycisnąć - skomentował komisarz Pallander. - Nie twierdzą, że zaraz będziemy go mieli, ale dobrze wiedzieć, jak będzie jakiś podejrzany.

- Na pewno jeszcze nie w tym tygodniu - powiedziała Sara Sisulu. - Myślicie, że Balthazar wie coś więcej? Możemy go wziąć na porządne przesłuchanie?

- Wstrzymajcie się na razie - zaproponował Barbarotti. - Przecież tu chodzi o jego ojca. Nie lubi policji, więc naciski nic nie pomogą.

Aspirantka Sisulu pokiwała głową. Komisarz Pallander przetarł oczy.

Jeśli chodzi o wydawcę, to cały tercet był jednomyślny. Nie wie nic więcej ponad to, co powiedział. Był bardzo zaniepokojony tym, co się stało z jego dobrym przyjacielem, więc jeśli miałby coś wniesić do śledztwa, to lepiej, żeby nabrał trochę dystansu i się uspokoił.

O spacerze śladami ofiary i o wizycie w Bishops Arms komisarze z prowincji nie wspomnieli ani słowem. Nie mieli pewności, czy tu w stolicy rozumieją tak wyszukane metody śledztwa, więc Backman i Barbarotti uznali, że to nie najlepsza pora, żeby ich edukować.

A czy miejscowi śledczy mają coś do dodania?

Trochę. Mieszkanie Jacka Waldego na Heleneborgsgatan zostało bardzo dokładnie przeszukane. Nie znaleziono nic konkretnego, ale zabezpieczono jego komputer, więc wkrótce będzie wiadomo coś więcej. Ponadto skontaktowali się z operatorem telefonii komórkowej w sprawie korespondencji, której się warto przyjrzeć bliżej; oczywiście, byłoby idealnie, gdyby Walde i jego prześladowca kontaktowali się w ten sposób, ale raczej w to nie wierzyli. Przesłuchali szesnaścioro sąsiadów, niestety, tej krytycznej soboty, między dziewiętnastą a dwudziestą drugą wszyscy byli albo ślepi, albo głusi. Emerytowany pułkownik twierdził, że widział Waldego z okna około osiemnastej, ale okazało się, że to był piątek, a nie sobota – poza tym była to zupełnie inna osoba, mianowicie niejaki Paul Polański, jeden z sąsiadów, który z wyglądu przypominał zaginionego krytyka.

Sprawdzili też korporacje taksówkarskie w Sztokholmie, i okazało się, że Jack Walde prawie na sto procent nie zamawiał w sobotę taksówki. Jeśli w ogóle wieczorem wyszedł z domu, to na pewno poszedł pieszo. Nie miał samochodu, wprawdzie posiadał rower marki Pegasus, ale od dwóch lat stał w komórce z pękniętą oponą.

- Może wysłać kogoś, żeby poszedł jego śladem – wpadł na pomysł Pallander. – To znaczy z mieszkania do pubu. Być może

to nic nie da, ale nie zaszkodzi.

- Wcale niegłupi pomysł - powiedział Barbarotti.

Jednak jeśli chodzi o jakieś ślady czy spostrzeżenia, które pomogłyby śledztwu ruszyć z miejsca, było to raczej mało przydatne.

- Po prostu Walde postanowił zapaść się pod ziemię - powiedziała Sara Sisulu. - Wyjechał i się ukrył... musimy sprawdzić, czy od soboty używał komórki albo karty kredytowej.

- Kiedy będziemy coś wiedzieć? - zapytała Eva Backman. - Mniej więcej.

- Dziś wieczorem albo jutro.

- Jestem raczej sceptyczny - powiedział Barbarotti. - Przecież nie wysłał syna, żeby obserwował spotkanie, które miałyby się nie odbyć. Ale oczywiście nigdy nic nie wiadomo...

- Może się przestraszył - powiedział Pallander. - To się zdarza.

- Wpadł w panikę - dodała Eva Backman. - A potem nie odzywał się do syna przez kilka dni. Nie, to raczej niemożliwe.

- A więc co, do diabła, zakładamy? - zapytał Pallander poirytowany. - Że wyszedł do pubu i został zamordowany w drodze, tak?

- Dokładnie - powiedział Barbarotti. - Doszedłem do wniosku, że tak właśnie było. Jeśli nie zamordowany, to... tak, to uprowadzony.

- Uprowadzony! - parsknął komisarz Pallander. - I jak by to miało wyglądać, jeśli mogę zapytać?

- Sprawdzam to - odparł Barbarotti. - Mogę zadzwonić, kiedy skończę?

Aspirantka Sisulu wybuchnęła głośnym śmiechem, a komisarz Pallander wyszedł z pokoju.

Godzinę później siedzieli znów w samochodzie.

- Stałeś się gwiazdą Kungsholmen - powiedziała Eva Backman. - Przynajmniej wśród policyjnej młodzieży.

- Ten podstarzały geniusz nie mógł znieść, że poniósł porażkę - powiedział Barbarotti. - Następnym razem będę grzeczniejszy.

- Uważasz, że będzie następny raz?

- Tego nie wiem. Ale musimy się pogodzić z tym podwójnym dowodzeniem na dystans. Mam nadzieję, że Walde miał na tyle rozumu, żeby zniknąć w Kymlinge.

- Nie można mieć wszystkiego - skostatowała Eva. - A tak na marginesie to zapomnieliśmy zostawić listę Kavafisa. W razie gdyby znów chcieli dzwonić do redakcji.

- Nie zapomniałem. Ale to możemy załatwić przez telefon. W grę wchodzi tylko Göteborg i Kopenhaga - wszyscy troje mogli tam być jednocześnie. W dodatku nie jestem do końca pewien, czy to odgrywa jakąś rolę. Walde miał wielu wrogów, którzy mu życzyli śmierci. Te elitarne koguty żyją niebezpiecznie, taka ich natura.

- Czyli uważasz, że wcale nie musiał się z nimi zadawać?

Barbarotti pomyślał chwilę.

- Sam nie wiem, co uważam. A ty?

Eva się zaśmiała.

- Niech szanowny pan komisarz się ode mnie odczepi. Przecież nic nie wiem o poprzednich, a na tę wycieczkę pojechałam tylko dla towarzystwa. Jako *sidekick*, tak to się chyba nazywa.

- W takim razie powiem Stigmanowi, że jesteś leniwa i utrudniasz śledztwo.

Leń uśmiechnął się tylko i położył rękę na jego udzie.

- Mimo wszystko dobrze wiedzieć, że się starasz dopłynąć do brzegu.

Dopłynąć do brzegu? Barbarotti przypomniał sobie te słowa dwanaście godzin później, kiedy obudził się w środku nocy.

To tylko pobożne życzenie. A ponieważ przez piętnaście minut nie udało mu się ponownie zasnąć, wstał, zrobił sobie herbaty i usiadł w wykuszu okna, w swoim tymczasowym kąciku analiz.

Ale jak?, brzmiało pierwsze pytanie. Jak doprowadzić do brzegu taki statek? A jeśli brzegu nie widać, to jak znaleźć właściwy kierunek?

Powiedzenie Lindhagena, że trzy przypadki tworzą lepszy wzór, zaczęło go irytować. Czy tylko tak powiedział, bo to brzmi efektownie, czy coś w tym jest? W jaki sposób los Jacka Waldego może rzucić światło na to, co się stało z Franzem J. Lundem i Marią Green?

I odwrotnie, czy zaginięcie Franza J. Lundego i Marii Green może im dać jakąś informację na temat trzeciego zaginięcia?

Jestem całkiem niezły w zadawaniu pytań, pomyślał Barbarotti. Przynajmniej sobie samemu, kiedy nie mogę spać po nocach.

Być może w każdym śledztwie dochodzi się do takiego punktu, w którym ta metoda wystarczy. Siedzieć w nocy w fotelu, stawiać odpowiednie pytania, znajdować poprawne odpowiedzi i w ten sposób rozwiązać zagadkę. Znaleźć mordercę. Nagle przypomniało mu się pojęcie *punkt Borkmanna*, o którym opowiadał mu stary Van Veeteren, tego jednego razu, kiedy się spotkali. Jeśli dobrze pamięta, chodziło o pewien moment w śledztwie, w którym niepotrzebne są już dodatkowe informacje i dane. Śledczy musi po prostu usiąść i poukładać w spójną całość wszystko, czego dowiedział się wcześniej.

„To się intuicyjnie wyczuwa”, twierdził stary. Jednak na razie, zastanawiał się Barbarotti, w tym przypadku... a raczej w tych trzech konkretnych przypadkach, nie mógł go znaleźć.

Ale cóż. Wiedza o tym, że się nie wie wystarczająco dużo, to też jakaś wiedza.

Więc gdzie jest ta brakująca informacja?

Przyszło mu do głowy wyrażenie - *it's all in the family* - i zastanawiał się, czy to tylko nocny przebłysk geniuszu, czy rzeczywiście coś w tym jest. Na przykład z kim z rodziny Jacka Walde jeszcze nie rozmawiał?

Syn załatwiony. Z byłą żoną rozmawiał któryś z kolegów ze Sztokholmu, Barbarotti nie pamiętał kto. Walde ma jeszcze głęboko autystyczną siostrę, która przebywa w specjalnym zakładzie, rodzice nie żyją, ale żyje prawie stuletni dziadek. I to wszystko, jeśli nikogo nie pominął. Czy któryś z członków rodziny, wykluczając tych, którzy zmarli, mógł mieć jakieś informacje, które by go naprowadziły na właściwy kurs?

Wypił łyk herbaty, zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić żaglówkę (lepiej niż kajak) na turkusowych wodach, w drodze na niewidoczne jeszcze wyspy (*Solutions Islands*, dlaczego nie?). Im dłużej miał zamknięte oczy, tym wyraźniej widział, że to on jest kapitanem tej łajby... i w tej samej chwili, kiedy słońce chowało się za horyzont, postanowił, że troje pasażerów na gapę wyrzuci za burtę. Dziadka, byłą żonę i siostrę. Nie mieli czego szukać na statku. Zadowolony ze swojej decyzji i z tego, co zrobił, nareszcie mógł zmrużyć oczy.

W odpowiednich okolicznościach resztę nocy można dobrze przespać nawet w wiklinowym fotelu.

K - Co z tobą?
- Bola mnie plecy - powiedział Barbarotti. - Spałem w nocy w wiklinowym fotelu, nie polecam.

Ostrożnie usiadł na zwykłym krześle i skinął głową do zebranych przy stole prokurator Bengtsson-Ståhle, inspektorów Lindhagena i Toivonena oraz inspektora Kavafisa. Wszyscy w rekomendowanej odległości, półtora metra od siebie.

- Media chcą rezultatów - zaczął Stigman. - Nawet w pandemii. Więc co dla mnie macie?

Otworzyły się drzwi i weszła Eva Backman. Usiadła na ostatnim wolnym miejscu i dała Barbarottiemu kilka chwil do namysłu.

- To i owo - powiedział. - Niestety nic, za co media by nas pokochały.

- A dla nas tu zebranych? - zapytał Stigman, otwierając usta jedynie na milimetr. - O ile dobrze widzę, nie ma tu dziennikarzy. Ani jednego. Zero.

- Zgadza się - powiedział Barbarotti. - Mamy przed sobą kompleksowy przypadek z wieloma znakami zapytania. Największy z nich to taki, czy nasza ostatnia ofiara miała coś wspólnego z pozostałymi zaginionymi.

- Mówisz, jakbyś czytał z książki - wtrącił Toivonen. - Ale kontynuuj.

- Dziękuję - odparł Barbarotti. - Zaraziłem się w kręgach literackich, w jakich ostatnio miałem okazję bywać. Ale przechodząc do rzeczy, uważam, że powinniśmy przyjąć założenie, że Walde ma coś wspólnego z Lundem i Green. A jeśli nie, to powinien leżeć na stole w komisariacie w Sztokholmie, a nie u nas.

- Co wcale nie byłoby takie złe - zgodził się Stigman. - Mamy co innego do roboty, nie muszę przypominać, co leży

odłogiem? Bomby i granaty. No ale nie możemy się uchylać od odpowiedzialności. A pani prokurator?

Ebba Bengtsson-Ståhle, próbując ukryć uśmiech, założyła na nos okulary.

- Jestem w kontakcie z prokuratorem ze Sztokholmu, zapoznał się ze sprawą. Dochodzenie toczy się i u nas, i u nich, i nie ma w tym nic niezwykłego. Dopóty, dopóki nie okaże się, że między nimi nie było żadnego związku, kontynuujemy. Barbarotti w dalszym ciągu przewodzi śledztwu i jest w kontakcie z...
- prokurator spojrzała do laptopa - ... z komisarzem Pallanderem. Pewnie już się spotkaliście?

- O tak - odparł Barbarotti.

- Ja też miałem tę przyjemność - dodał Lindhagen. - Przed świętami. Osiemdziesiątka na karku, plus minus pięć, nie należy do najsympatyczniejszych, ale ma dobrą asystentkę.

- Jestem tego samego zdania - potwierdził Barbarotti. - Nasza teoria opiera się na dwóch rzeczach. Punkt pierwszy: wszyscy troje zaginieni są pisarzami i punkt drugi: ktoś ich śledził, zanim zniknęli. Lunde i Green zostawili pisemne świadectwo, ale to mógł być przypadek. Walde nie. Ale opowiedział o tym swojemu synowi, zanim zmarł... to znaczy zaginał... dlatego wiemy.

- Jakież pytania? - zapytał Stigman i rozejrzył się wokół stołu. - Pytania?

Oczywiście, że były pytania, a nawet odpowiedzi na niektóre z nich. Kiedy spotkanie dobiegło końca, Barbarotti pomyślał, że wcale by się nie zmartwił, gdyby Pallander... albo najchętniej Sara Sisulu... zadzwonili z Kungsholmen z informacją, że znaleźli Jacka Waldego żywego, na przykład u jakiejś kobiety w Fittji. Albo martwego, zmarłego śmiercią naturalną (COVID-19)

w jednym z wielu domów opieki w stolicy. Ale nie był aż tak stary, to jego dziadek skończył sto lat.

Oczywiście nie zadzwonili, ale sytuacja trochę się rozjaśniła, kiedy ustąpił miejsca rozważaniom Evy Backman i Lindhagena.

- A więc tak, drodzy koledzy - zaczął Lindhagen. - Jest takie pojęcie, którego cholernie nie lubię, mianowicie „rozszerzone poszukiwania”. Każdy szef, którego miałem w mojej tysiącletniej karierze gliniarza, zawsze mi mówił: rozszerz poszukiwania i powiem wam, że tą metodą nie rozwiązałem nigdy ani jednego przypadku. Więc teraz mówię wam: zawęż poszukiwania!

- Mógłbyś to rozwinąć? - poprosiła Eva Backman.

- Bardzo chętnie - odparł Lindhagen. - Podejmujemy decyzję, żeby pójść jakimś tropem, wybieramy drogę i dochodzimy albo do rozwiązania, albo do kolejnej drogi. Jeśli dojdziemy do drogi, szukamy nowego tropu i wszystko zaczyna się od nowa. Rozumiesz?

- Świetne - powiedział Barbarotti. - Jak to się stało, że nie uczysz w szkole policyjnej?

- Też się nad tym zastanawiam - zażartował Lindhagen. - Mówię tu o naszych zaginionych literatach.

- Jakoś nie wszystko ogarniam - powiedziała Eva. - Czy chodzi ci o to, że powinniśmy wybrać jedną drogę? Albo... poczekaj, muszę to przemyśleć.

- Pięknie, gdy myśl swobodna, jeszcze piękniej, gdy słuszna - powiedział Barbarotti.

- Skąd ty to wzięłeś? - zdziwił się Lindhagen.

- Ze ściany auli uniwersyteckiej.

- Niech zgadnę, Uppsala?

- A więc tak - przerwała im Eva Backman. - Założmy, że mamy do czynienia z jednym prześladowcą... tym samym we wszystkich trzech przypadkach. A ponieważ nasi pisarze nie grzeszyli życzliwością i tu i ówdzie narobili sobie wrogów,

sprawca... któremu nasze trio zaszło za skórę, uznał, że miarka się przebrała, i postanowił z tym skończyć. Albo w tle jest...

- Niezły początek - powiedział Lindhagen. - Dokończ.

- Albo w tle jest coś zupełnie innego.

- Co na przykład? - zapytał Barbarotti.

Eva Backman zaczęła rysować okręgi na tablicy, ale przeważała i podeszła do okna.

- Jakieś zdarzenie - powiedziała. - Coś, w czym cała trójka brała udział, a może nawet... czwarta osoba. Cały szkopuł w tym, co się stało. Może osoba numer cztery postanowiła zacząć... sama nie wiem... postanowiła zacząć akcję pod tytułem zemsta?

- Akcja odwetowa brzmi lepiej - powiedział Lindhagen.

- Nieważne, jak zwał, tak zwał.

- Masz rację - zgodził się Lindhagen.

- To może też być osoba numer pięć - wtrącił się Barbarotti.

- Albo osiem czy dwanaście... która przy okazji postanowiła podebrać sobie naszą trójkę.

- Najrozsądniej będzie zakończyć to jeszcze przed świętami

- powiedział Lindhagen. - Czyli zakładamy, że... jak ty to nazwałaś? Że w tle jest coś innego?

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, mówiłeś o jakimś schemacie - przypomniał mu Barbarotti.

- Zapomnij o tym - powiedział Lindhagen. - Zresztą to jedno i to samo. Od czego zaczynamy? Jakim tropem idziemy?

Na chwilę zapanowała cisza. Eva Backman zrobiła sceptyczną minę, a Barbarotti pomyślał, że rozumowanie Lindhagena jest nieco dziurawe. A jednocześnie przyznał mu rację, że trzeba się na coś zdecydować, chociażby z tego powodu, że trudno iść kilkoma drogami jednocześnie.

- Jestem za - odezwał się Barbarotti. - Gdybyśmy zdecydowali, że zawężamy poszukiwania. Jeśli tak, to proponuję, żeby-

śmy się zajęli tym tak zwanym tłem. Nie dlatego, że to bardziej interesujące, ale dlatego, że nikt z całej trójki nie zawiadomił policji, co jasno świadczy o tym, że mieli coś do ukrycia i że najprawdopodobniej...

- ...była to ta sama rzecz - uzupełniła Eva Backman. - To ma sens, ale uważam, że powinniśmy być dyskretni. Nie zaszkodzi udawać, że rozszerzamy poszukiwania jak cholera.

- O sto dziesięć stopni - powiedział Lindhagen i uśmiechnął się zadowolony. - Ufam kolektywnej mądrości moich przedmówców. A więc sprawdzamy tylko to jedno wydarzenie. Przecież to nie może być jakoś diabelsko trudne?

Barbarotti zauważył, że ktoś westchnął, i natychmiast się zorientował, że to on sam.

37

Dostałam wiadomość od szefa działu kultury - powiedziała Eva Backman. - Na razie szczątkową, ale obiecał, że się odezwie za kilka godzin, jak wszystko sprawdzi.

Barbarotti uniósł wzrok znad ekranu komputera i próbował rozprostować plecy.

- Aj! Masz na myśli z redakcji?

- Dokładnie. Proponuję, żebyś dzisiejszą noc spędził w łóżku. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że Walde był w Kopenhadze w dwa tysiące szesnastym i w Göteborgu. Sprawdzi jeszcze inne. Całkiem niezłe?

- Kopenhaga czy Göteborg? - zapytał Barbarotti. - I znowu będziemy na rozdrożu... i od nowa zacznie się szukanie choćby

najmniejszego tropu i tego hipotetycznego zdarzenia w tle. Kopenhaga brzmi trochę sympatyczniej na moje ucho.

- Sympatyczniej? - zapytała Eva. - Przepraszam, co my właściwie robimy?

- Wydaje mi się, że prowadzimy dochodzenie - odpowiedział Barbarotti. - O ile się nie mylę, to Dania zamknęła granice. Ale może wpuszczą dwoje sympatycznych gliniarzy, nawet jeśli są ze Szwecji?

- Co za czasy - westchnęła Eva. - Ludzie nie mogą pojechać do swoich domów na wsi, a w całej Europie nie grają ani jednego meczu piłkarskiego.

- Jest jak jest - powiedział Barbarotti. - W każdym razie dostaliśmy ciekawy mail od Sary Sisulu z Kungsholmen. Pamiętasz ją, ta bystra, młoda...

- Dziękuję za przypomnienie, ale tak, pamiętam. Co takiego ciekawego napisała?

Barbarotti podszedł do komputera.

- Pyta, czy rozważaliśmy możliwość, że może chodzić o dwóch sprawców. Wątpi, żeby jedna osoba mogła obezwładnić i uprowadzić Jacka Waldego podczas jego krótkiego spaceru między domem a pubem. Pyta, czy się nad tym zastanawialiśmy. Bez żadnego śladu... najwyraźniej Pallander, albo ktoś inny, przeszedł tą samą drogą, którą myśmy szli, ale nic nie odkrył. Myślę, że to ma sens. Mogło być ich dwóch?

Eva Backman pomyślała chwilę i pokiwała głową.

- Dwóch sprawców? To wcale nie takie głupie. Gdyby ktoś go zastrzelił... albo ogłuszył... i zostawił na ulicy, to co innego. Ale jeszcze wywieźć... to trudne.

- Dokładnie. Zapakować ciało do samochodu i wywieźć. To robota dla profesjonalisty.

- A co sądzisz o dwóch wynajętych zabójcach?

- Nie chcę nawet o tym myśleć - powiedział Barbarotti. - Jeśli cofniemy się do tych dyskretnych incydentów w bibliotece, to mi jakoś nie pasuje... chociaż oczywiście nie jest to niemożliwe.

- Czy można zamordować trzy osoby i każdą w inny sposób? - zapytała Eva Backman. - Miejmy z tyłu głowy, że to mogły być dwie osoby.

- Myślisz, że wszyscy troje nie żyją?

Eva zmarszczyła czoło.

- Jak już mówiłam, nie siedzę w tym od początku. Ty powinieneś wiedzieć lepiej.

- No tak - powiedział Barbarotti. - Ale bolą mnie plecy.

Wiadomość od szefa działu kultury dużej gazety przyszła po kilku godzinach. Udało się ustalić, że Jack Walde był na targach książki w Göteborgu w dwa tysiące czternastym roku; napisał dwa artykuły, zatrzymał się na trzy noce w hotelu Park. Możliwe, że odwiedził targi też trzy lata wcześniej, ale wtedy nie był wysłany przez gazetę.

Na forum literackie w Kopenhadze w dwa tysiące szesnastym roku przyjechał na dwa dni, napisał obszerny raport z imprezy i zrobił wywiad z trzema autorami, jeden z Danii, z Norwegii i ze Szwecji. Jednak to nie był ani Lunde, ani Maria Green, mimo że też byli wtedy w Kopenhadze.

I to tyle, pomyślał Barbarotti, kiedy skończył. Jaka jest różnica między Kopenhagą a Göteborgiem? Jeśli chodzi o rozmiar imprezy? Taka, że duńska stolica ma znacznie więcej ludności niż Göteborg. Zaczął sprawdzać listę od Kavafisa.

Göteborg: tysiąc autorów, tysiąc innych osób związanych z książką (dziennikarze, wydawcy, bibliotekarze), sto tysięcy odwiedzających (czytelnicy i politycy z ambicjami).

Kopenhaga: w zaokrągleniu jedna dziesiąta wyżej wymienionych. Okej, pomyślał. Nietrudny wybór, jeśli pójdziemy tym tropem. Pytanie, czy nas wpuszczą.

Zrobił kilka ćwiczeń na plecy, postanowił wracać do domu i miał nadzieję, że Eva zgodzi się na oba plany: na duńską stolicę i na willę Pickford.

Kiedy zjedli skromną kolację, odgrzewaną zupę rybną z poprzedniego dnia, i kiedy usiedli przed telewizorem, żeby obejrzeć wiadomości, Eva rzuciła pytanie:

- Ten Franz Lunde, to prawda, że on już raz zniknął?
- Zgadza się. Dlaczego pytasz?
- Kiedy to było?
- Dokładnie nie pamiętam.

Eva pomyślała chwilę, podczas gdy wiadomości zdawały relację o koronawirusie w Szwecji i na świecie, o nowym pakiecie pomocowym dla branż w kryzysie, krytykowały Ministerstwo Zdrowia i szwedzką strategię, informowały o dwóch nowych wybuchach w Sztokholmie ze zdjęciami wybitych szyb, zniszczonych rowerów i przejść bez barier ochronnych.

- Wyłączę telewizor.

- Bardzo dobrze - powiedział Barbarotti, w ten sposób zostali odcięci od aktualności. - Co takiego ci przyszło do głowy z tym Lundem?

- Czas. W związku z Kopenhagą.

- Masz na myśli...

- Tak. Przecież nikt nam nie zabroni pobawić się myślą? I tak zawężamy poszukiwania.

- Pójdę i sprawdzę - powiedział Barbarotti i ostrożnie wstał z sofy. - Potem ci zrobię masaż.

- Jesteś aniołem.

- Ale uprzedzam, że będzie bolało. Inaczej nie ma sensu. Zawsze mogę się rozmyślić - powiedział Barbarotti

i pokuśtykał do gabinetu.

Wrócił po dwóch minutach z groźną zmarszczką między oczami. Pionową i dość pociągającą, pomyślała Eva Backman. Zasygnalizowała gotowość do działania. Szkoda, że ma tak kiepską sylwetkę, ale to przez te plecy.

- To nawet interesujące - powiedział. - Lunde zniknął w połowie stycznia i nie było go mniej więcej do połowy marca. W dwa tysiące siedemnastym, kilka miesięcy po Kopenhadze... ale czy to ma jakiś związek, nie wiem.

- Ja też nie. Ale warto o tym pamiętać.

- Mam już w głowie tyle do zapamiętania, że przydałby się... jakiś szkic, żebym mógł ich umiejscowić... no właśnie.

- Może o to chodzi w metodzie à la Lindhagen? - powiedziała Eva. - Zaryzykujmy i wszystko, co wiemy, połączmy w jedną dużą myśl!

Barbarotti wygładził zmarszczkę na czole i próbował się uśmiechnąć inteligentnym i odprężonym uśmiechem.

- Dokładnie. Trop kopenhaski, jakieś dwa procent szansy, sprawa raczej beznadziejna. Reszta, czyli dziewięćdziesiąt osiem procent, to spekulacje i kłamstwa.

- Świetnie - pochwaliła go Eva. - Koniecznie to zapisz, umieszczę to na twoim grobie. A teraz pora na masaż.

38

Deszcz walił w okna gabinetu Barbarottiego w komisariacie w Kymlinge. Było wczesne piątkowe przedpołudnie, dwudziesty czwarty kwietnia, i pęknięcie w nadziei na wiosnę. Przypomniały mu się słowa, że we wszystkim jest pęknięcie,

którym dostaje się światło. Uważa się, że to Leonard Cohen, ale jemu się wydaje, że to Oscar Wilde.

Te mądre słowa przyszły mu do głowy nie z powodu załamania pogody, ale dlatego że chwilę wcześniej rozmawiał przez telefon z duńskim kolegą po fachu, niejakim Jesperem Larsenem z kopenhaskiej policji. Wyjaśnił, o co chodzi, a kiedy Larsen w końcu to zrozumiał, zadał mu dwa pytania: 1) Czy Barbarotti nie dostał przypadkiem udaru? 2) Czy policja w Szwecji nie ma ważniejszych rzeczy do roboty? Na przykład zwalczania wirusa?

Na pierwsze pytanie Barbarotti odpowiedział, że całkiem możliwe, że coś jest nie w porządku z jego głową, ale to pewnie wrodzone. W odpowiedzi na pytanie drugie bronił się tym, że nie dość, że policja w Szwecji myje ręce siedemdziesiąt razy dziennie, to ma jeszcze czas na zachowanie kultury, a poza tym pracują według nowatorskiej metody pod tytułem *zawężone poszukiwanie*.

Jesper Larsen śmiał się przez pół minuty, aż w końcu obiecał, że zobaczy, co się da zrobić.

Barbarotti patrzył na deszcz i myślał o tym duńskim śmiechu, który właściwie był zupełnie uprawniony. Jeszcze nigdy nie czuł się tak zagubiony jak teraz. Za dziesięć minut ma spotkanie z prasą, a ponieważ dowodzi śledztwem, oczekuje się od niego samych optymistycznych wiadomości. Może wystarczy cytaty z Wilde'a/Cohana?

Wątpił w to.

Spotkanie z prasą poszło gładko; do tego wniosku doszedł półtorej godziny później, kiedy wrócił do gabinetu i znów patrzył na deszcz. To zawężone poszukiwanie ma przynajmniej jedną zaletę - zawsze można powołać się na to, że pracuje się nad konkretnym tropem, co brzmi dużo lepiej niż twierdzenie, że

pracuje się szeroko i całościowo. Łatwo wtedy o zarzut, że policja działa po omacku. Takie zawężone poszukiwanie też może wyprowadzić na manowce, ale nie trzeba mówić o tym głośno.

Kiedy na początku tygodnia pojawiła się sprawa Jacka Waldego, dochodzenie w sprawie dwóch poprzednich zaginięć pogrążyło się w letargu. Nie pojawiło się nic nowego, wprawdzie śledztwo nie utknęło na półce, ale powoli popadało w stadium, które można nazwać „snem śpiącej królowny”. Nie było martwe, ale w głębokim uśpieniu, w oczekiwaniu na tak popularne obecnie określenie (przynajmniej w mediach) *cold case*.

Ale teraz nieoczekiwanie dostało wiatru w żagle, a ponieważ nic tak nie budzi z letargu jak nowe morderstwo w tym samym stylu (pomyślał Barbarotti i ziewnął; trudno być ożywionym, siedząc i wpatrując się w deszcz), trzeba trochę wysilić pamięć i przypomnieć sobie to i owo. Do czego, po długim namyśle i nie bez pewnego wysiłku mentalnego, postanowił się zabrać.

A więc Franz J. Lunde i Maria Green.

Oboje, niebezpodstawnie, mówili o sobie „pisarze”.

Oboje późną jesienią zaginęli w Kymlinge. Wprawdzie w różnych hotelach, ale w podobnie niejasnych okolicznościach.

Oboje byli nękani przez stalkera. Być może nawet tego samego.

Oboje zostawili po sobie zapiski, zanim ślad po nich zaginął.

Oboje byli trudni i oboje mogli mieć potencjalnych wrogów.

Oboje mieli coś do ukrycia.

Oboje byli kilka dni w Kopenhadze w listopadzie w dwa tysiące szesnastym roku. (Kilka lat wcześniej także w Göteborgu, ale ten szczegół nie jest do końca sprawdzony).

Na razie Barbarotti zadowolili się wyciągniętymi z pamięci informacjami i nasunęło mu się jedno pytanie.

W jakim miejscu losy Jacka Waldego były podobne do losów jego poprzedników?

Łatwo zauważyć, że oprócz dwóch różnic podobieństwo było uderzające. Różnica numer jeden: Walde nie zostawił żadnej pisemnej wzmianki. W każdym razie nic nie znaleziono. Informacja o jego prześladowcy pochodzi od syna. Różnica numer dwa: inne miejsce zniknięcia Waldego. Sztokholm zamiast Kymlinge.

Czy te odchylenia mają jakieś znaczenie?

O jakie znaczenie mu chodzi? Sam nie wiedział. W natłoku myśli pojawiła się kolejna kwestia.

Dlaczego zniknęli?

Dlaczego nie zostali po prostu zabici? (Jeśli rzeczywiście nie żyją).

Innymi słowy, jaki motyw miał przestępca, że tak ukrył swoje ofiary? Dlaczego ich po prostu nie zamordował i nie zostawił? Na przykład w hotelu czy chociażby w jakimś rowie.

Wyjątkowo inteligentne pytania, pomyślał Barbarotti i zadzwonił do komisarz Evy Backman.

- Rozumiem, co mówisz - powiedziała Eva pięć minut później, kiedy była w jego gabinecie. - Najbardziej oczywiste odpowiedzi wcale nie muszą być tymi właściwymi.

- Co takiego? - zapytał Barbarotti.

- Oczywista odpowiedź może być złą odpowiedzią.

- Słyszałem, co powiedziałaś. W takim razie jak brzmi właściwa?

- Że wskaże nam mordercę, jeśli znajdziemy ofiary. A przynajmniej jakieś ślady. Na ciele zawsze coś jest.

- No dobrze - zgodził się Barbarotti. - A jeśli nie znajdziemy właściwej odpowiedzi, to co dalej?

- Widzę, że bawisz się myślą, że jest jakiś inny motyw?

- To chyba ty zasugerowałaś? No dobrze, bawię się myślą. Masz jakieś propozycje?

Eva Backman patrzyła na deszcz.

- Cholera, ale pada - powiedziała po chwili.

- Nie musisz mówić, jak nie chcesz. Ale przydałby się jakiś nowy pomysł. Wystarczy jeden. Dlaczego nie mamy żadnych śladów? Jeśli nie żyją, to dlaczego nie ma ciała?

- Zabić jest łatwo - powiedziała Eva. - Pozbyć się ciała, dużo trudniej.

- Szczególnie z ulicy, w środku miasta - powiedział Barbarotti. - Nawet jeśli jest opustoszała przez pandemię... czy z hotelu, skądkolwiek.

Eva Backman się odwróciła.

- Nie wiem... ale czuję, że mam odpowiedź, tylko muszę chwilę pomyśleć.

- A to ciekawe - powiedział Barbarotti. - Kiedy się wie, że prawidłowa odpowiedź czeka za rogiem, trzeba się uzbroić w cierpliwość.

- To myśl w stylu Einsteina - powiedziała Eva Backman.

- W takim razie mamy coś wspólnego, to znaczy ja i on - powiedział Barbarotti.

- Idziemy na lunch?

W sobotę i w niedzielę nastąpiły pewne przesunięcia.

Przestało padać i wróciła wiosna. Gunnar Barbarotti zapomniał nasmarować dziegiem swoją łódkę, a maj za pasem, więc sobotnie popołudnie poświęcił swojemu ulubionemu zajęciu. Jego płaskodenna łajba w tym roku też pewnie nie będzie jeszcze gotowa, ale nie rezultat jest ważny, ale sama praca.

Powolne, rytmiczne pędzlowanie, zapach dziegciu, możliwość spędzenia czasu pod błękitnym niebem, w towarzystwie radosnego śpiewu ptaków, kwitnących na niebiesko fiołków, pękających pąków drzew i na ziemi, która dosłownie rosła mu pod stopami... mimo że swój ostatni wers pisał właśnie zadżumiony świat, a raczej ludzkość... tak, to działało jak balsam na zmęczoną policyjną duszę.

Eva wyniosła meble ogrodowe, pili kawę w ciepłym, popołudniowym słońcu. Pomyślał wtedy, że w następnym życiu chciałby zapadać w sen każdej zimy, być niezależnym ekonomicznie od samego urodzenia i przejść na emeryturę zaraz po ukończeniu szkoły.

- W tym roku pewnie znów pójdzie na dno? - stwierdziła Eva, kiedy skończył.

- Mam nadzieję - powiedział Gunnar Barbarotti.

Trochę później, kiedy weszli do domu, przyszła wiadomość z Manly z Australii. Bardzo długi mail od Kallego do kochanej mamy. Sąd skazał go na trzy miesiące prac społecznych za posiadanie narkotyków. W maju, czerwcu i lipcu musi przejść szkolenie strażackie, ale zaraz potem planuje wrócić do Szwecji - jeśli będą latały jakieś samoloty - i zacząć wszystko od nowa. Małżeństwo z Siren prawdopodobnie się rozpadnie, rozmawiali już o tym, Siren też planuje wyjechać z Australii, mniej więcej w tym samym czasie, i wrócić do Norwegii. Kalle przeprosił Evę za to, że jej pobyt u nich w grudniu pozostawiał wiele do życzenia, ale mieli bardzo trudny okres.

W mailu nie było nic o tym, kto przejmie opiekę nad Floralem, ale Eva pocieszała się, że lepiej mieć wnuka w Norwegii niż w Australii.

- Zmiękł - powiedziała o Kalle. - Mniej w nim ojca, a więcej mnie.

- *The more of you, the better* - skomentował Barbarotti.

- Powiedział chłop do swojej grubej żony w dzień ślubu - odwdzieczyła mu się Eva.

Jeśli chodzi o sprawy policyjne, to w weekend przyszedł cały strumień maili od Sary Sisulu. Najwyraźniej ta młoda, czarna i bystra aspirantka nie pozwoliła na to, aby błahostki typu weekend czy dni wolne były przeszkodą w pracy. Nawet w obecnej sytuacji.

Tak więc okazało się, że monitoring nie uchwycił Jacka Waldego. Na Södermalmie jest sporo kamer, ale ani jednej w pobliżu jego domu na Heleneborgsgatan i na odcinku, którym prawdopodobnie szedł do pubu Bishops Arms na Hornsgatan. Jeśli w ogóle wyruszył na to spotkanie z przeznaczeniem.

Mimo wielu znaków zapytania postanowiono przesłuchać osoby mieszkające w pobliżu ewentualnej drogi do pubu, jednak na razie bez rezultatu (niedziela wieczór, osiemnasta).

Przepytano również personel hotelu Clarion przy Norra Bantorget, to znaczy tych, którzy mieli zmianę na parterze, w części restauracyjnej, wieczorem, dwudziestego siódmego lutego.

Jednak nikt nie oczekiwał, że po dwóch miesiącach barman czy kelner będzie pamiętał dwoje gości.

Szczególnie komisarz Barbarotti, który czasami nawet nie pamiętał, z kim rozmawiał godzinę wcześniej.

No cóż, młyny miały, pomyślał, kiedy w poniedziałek rano siedzieli z Evą w samochodzie w drodze do pracy.

Jednocześnie uświadomił sobie, że minęło już pięć miesięcy, odkąd w pewien grudniowy dzień siedział w pociągu do Sztokholmu po zaginięciu pisarza Franza J. Lundego.

Pięć miesięcy, czyli sto pięćdziesiąt dni. Wywracając myśli na lewo i prawo, przyszło mu do głowy proste i pokorne pytanie: czy jest jakaś nadzieja, że młyny będą mieli trochę szybciej w najbliższym czasie? Niestety, bez odpowiedzi od wyższej instancji, z którą regularnie rozmawiał. Prawdą jest, że wcale jej nie oczekiwał. Nasz Pan ma w zwyczaju obserwować, co się dzieje z jego stworzeniem, a w szczególności dziwne poczynania rodzaju ludzkiego (stworzonego na jego podobieństwo), ale żeby ingerować w takie czy inne postęпки? W tej kwestii zawsze był bardzo wstrzemięźliwy.

Jeśli chodzi o działalność kryminalną, to od pilnowania porządku i przestrzegania prawa każdy kraj ma służby policyjne.

No właśnie.

Ground zero - dwa

Siedzimy przy stole z czterema mężczyznami, znam dwóch z nich. Ona nie zna ani jednego. Białe wino i piwo. Na początku atmosfera poważna, potem, z każdą minutą, coraz mniej. Tych dwóch, których nie znam, to prawdopodobnie para gejów, po pewnym czasie odchodzą. Zostają dwaj pozostali mężczyźni, około pięćdziesiątki, ja i debiutantka. Jest tak cholernie bezczelna i śmieszna, że czuję się przy niej stara i trochę jej zazdroszczę. Po godzinie mam dość, dopijam mój alkohol i mówię, że chcę iść i się położyć. Debiutantka waha się, ale tylko przez chwilę, jeden z kolegów idzie do baru po drinki. Ja mówię dobranoc i że się zobaczymy jutro przy śniadaniu. Kiedy czekam na windę, przy barze słyszę piosenkę Janis Joplin Me and Bobby McGee. To najlepsza piosenka na świecie, mimo to nie wracam do nich.

MAJ 2020

39

Co to jest?

Barbarotti podniósł głowę.

- Wiadomość od naszych przyjaciół z Danii. Nie cieszysz się?

Lindhagen zamknął za sobą drzwi, wysunął krzesło i usiadł w zalecanej odległości.

- Wracam ze szpitala. Jest przytomny, ale boi się otworzyć gębę. Słyszałeś o tych skurczybykach?

- O tym gangu motocyklowym?

- Kastet. Fagas od Bandidos. Ale nie chce mi się o nim gadać. Chętniej trzy razy umrze niż puści parę z ust. A jakich to przyjaciół mamy w Danii?

Barbarotti rzucił Lindhagenowi przez biurko cienką broszurę.

- Jesper Larsen z policji w Kopenhadze. Kilka lat temu pracowaliśmy razem nad jedną sprawą. Nie straciliśmy kontaktu, więc poprosiłem go o pomoc, i ją przysłał.

- Przysługa za przysługę?

- Coś w tym rodzaju. Program forum literackiego w Kopenhadze z dwa tysiące szesnastego. Ze spisem autorów. Łącznie

z naszymi starymi znajomymi, Franzem J. Lundem i Marią Green.

Lindhagen przeglądał broszurę i kiwał głową.

- Dobrze by było, gdyby to się trochę posunęło do przodu. Czas leci... cholera, zobacz, tu są. Jak żywi. Ale trzeba przyznać, że wyglądają jakoś tak poważnie.

- Taka ich praca - odparł Barbarotti. - Pisarz dźwiga na swoich barkach cały ból świata. Jeśli byłby zadowolony, nie traktowałiby go poważnie.

Lindhagen podrapał się po głowie.

- Ilu ich tam było?

- Trzydzieści pięć osób. Głównie z Danii, ale też z sąsiednich krajów, i kilkoro z Anglii. Plus cała grupa mniej znanych... ci na zdjęciach to najbardziej znani i na tych zwracamy uwagę.

- Trzydzieści pięć, mówisz? - upewnił się Lindhagen.

- Tak, jeśli dobrze policzyłem.

- I co teraz? Chcesz ich wszystkich odnaleźć i przesłuchać?

- Niezły pomysł. A masz jakieś inne propozycje?

Lindhagen wydał z siebie ochryply śmiech.

- A niech mnie! - powiedział. - Chcę tam być, kiedy będziesz to mówił Stigmanowi.

- Miałem ci to zaproponować - powiedział Barbarotti. - Ale przedtem załatwię sobie kamizelkę kuloodporną.

- Hm. Chyba dzisiaj pracuje z domu, więc nie potrzebujesz. Od czego zaczniemy?

- Myślałem nad tym - powiedział Barbarotti. - To będzie idealne zadanie dla Kavafisa.

- Jakie zadanie? - zadziwił się Lindhagen.

- Lubi pracować na siebie - odparł Barbarotti. Dam mu dwa dni. Listę autorów, mój duński kontakt i zobaczymy.

- Nawet niezła droga na skróty - powiedział Lindhagen.

- To żaden skrót, tylko zawężone poszukiwanie.

- No tak, zapomniałem. Zresztą to jedno i to samo.
- Tak uważasz?

Inspektor Kavafis, który, podobnie jak połowa Szwecji, większość czasu pracował z domu, w środę, trzynastego maja, otrzymał od komisarza Barbarottiego dość mętne polecenie. Dostał również rozkaz, aby zostawił wszystkie inne sprawy i żeby nic nie mówił monsieur szefowi, komisarzowi Stigmanowi... tak, bo to zadanie delikatnej natury.

Czy to jest zrozumiałe?

Dla Erika Kavafisa zrozumiałe na sto procent.

Raport w piątek o czternastej.

To również było zrozumiałe. Czterdzieści osiem godzin, nie ma problemu.

Zaczął od sporządzenia listy, najpierw według miejsca zamieszkania, następnie według wieku. Dania, dwadzieścia pięć osób. Szwecja, trzy. Norwegia, dwie. Islandia, dwie. Wielka Brytania, dwie. Finlandia, jedna osoba. *Summa summarum* trzydzieści pięć osób, dokładnie tyle, ile naliczył ten chaotyczny, ale najwyraźniej potrafiący liczyć komisarz Barbarotti.

Szesnastu mężczyzn. Dziewiętnaście kobiet. Inspektor Kavafis wysnuł wniosek, że obecnie kobiety nie tylko konsumują kulturę, a również ją tworzą. Ale nie tym miał się zająć.

Najstarsza z grupy to duńska pisarka, urodzona w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, oraz jej islandzka koleżanka, urodzona rok później.

Najmłodsze to dwie Dunki, obie debiutantki, jedna urodzona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku, druga w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. Potem lekki skok w dół do brodatego poety z Odense, urodzonego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, czyli równe dziesięć lat wcześniej, niż Erik Kavafis ujrzał światło dzienne.

Popatrzył na zdjęcia obu młodych duńskich autorek i zastanawiał się, czy któraś z nich mogłaby być jego dziewczyną. Ku własnemu zaskoczeniu zauważył, że podobają mu się obie. Nie dlatego, że chciałby mieć więcej niż jedną dziewczynę, nic z tych rzeczy, ale musiał przyznać rację tym, którzy twierdzą, że dziewczyny z drugiej strony zatoki mają w sobie to coś. Blond włosy, smukłe szyje i tak dalej, i tak dalej.

Ale czy stały związek nie przeszkadzałby mu w rozwoju kariery? To już zupełnie inne pytanie. Po latach pracy w policji i planowym wspinaniu się po szczeblach kariery uświadomił sobie, że jeśli nawet między księdzem katolickim a inspektorem śledczym istnieje pewna różnica, to jest ona niewielka.

Ale precz z tymi sprośnymi myślami. Spojrzał na zegarek i dał sobie jeszcze dwie godziny. Wziął długopis oraz notes i zaczął googlować.

W piątek, o jedenastej przed południem, lista była kompletna. Przynajmniej na tyle, na ile się dało. Udał się do komisariatu, w porze lunchu spotkał Barbarottiego w wyludnionej stołówce i zapytał, czy może mu zdać raport wcześniej, niż to było przewidziane. Barbarotti odpowiedział, że oczywiście i że za piętnaście minut w jego gabinecie. Ale najpierw musi dokończyć kurczaka w sosie orientальnym.

Kavafis, który był wegetarianinem, życzył mu powodzenia.

- Ach tak - zaczął Barbarotti szesnaście minut później. - Czyli wciąż nie pijesz kawy, rozumiem. Co masz dla mnie?
- Coś tam mam - odpowiedział Kavafis. - Ale nie jestem w stanie ocenić, czy to się przyda.
- Czasami możemy sobie pozwolić na małą zgaduj-zgadulę - powiedział Barbarotti. - Niektórzy nazywają to intuicją.
- Kiedy się okaże, że się trafiło.

- Dokładnie - pochwalił go Barbarotti. - Pewnego pięknego dnia będziesz komendantem głównym policji.

- Wiem - odparł Kavafis i nawet się nie zaczerwienił ani nie zawstydził. - A więc tak, trzy i pół roku temu w Kopenhadze było trzydziestu pięciu autorów. Troje nie żyje, oprócz naszych dwojga zaginionych. Jack Walde był tam jako dziennikarz, więc go nie uwzględniłem.

- Tak, wiem - powiedział Barbarotti i zaczął kartkować program. - Kto nie żyje?

- Jedna osoba z Islandii, jedna z Danii, obie powyżej osiemdziesiątki, więc nic dziwnego.

- Powiedziałaś, że trzy.

- Tak, jeszcze najmłodsza. Dunka, Trine Bang...

Barbarotti odszukał jej zdjęcie. Młoda blondynka z wypukłymi kośćmi policzkowymi o ostrym spojrzeniu. Penetrującym, a jednocześnie nieco szyderczym. Przypomniała mu się Sara Sisulu i pomyślał, że to jej zupełne przeciwieństwo. Ale tak samo ładna.

- Dlaczego nie żyje? - zapytał. - Urodziła się przecież w dziewięćdziesiątym roku.

- Samobójstwo - powiedział Kavafis. - Wskoczyła z balkonu w styczniu dwa tysiące siedemnastego. Nie miała jeszcze dwudziestu siedmiu lat...

- Skąd to wiesz? Przecież tego nie ma w Internecie?

- Niedawno się pojawiło. Jej brat udzielił wywiadu gazecie parę miesięcy temu. Pewnie rodzina chciała, żeby to ujrzało światło dzienne.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - O wszystkich masz takie szczegółowe informacje?

- O niektórych - powiedział Kavafis. - Pozwoliłem sobie ułożyć ich według ważności.

- Ach tak? Według ważności? A jakiej metody użyłeś, jeśli można wiedzieć?

Inspektor Kavafis pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

- Intuicja. Przepraszam, chciałem powiedzieć: zgadywałem.

Resztę popołudnia Barbarotti spędził nad programem forum literackiego i raportem Kavafisa. Czytał, co inspektor napisał o każdym autorze, zauważył, że na liście nie ma Franza J. Lundergo ani Marii Green, ale to normalne, zauważył również, że trudno mu się skupić. Przestał więc czytać i jeszcze raz się przyjrzał zdjęciu tej młodej Dunki, która odebrała sobie życie w styczniu dwa tysiące siedemnastego roku, zaledwie kilka miesięcy po imprezie w Kopenhadze i niecałe pół roku po swoim debiucie.

Dlaczego?

Dlaczego wyskoczyła z balkonu po tym, jak zaistniała w branży, która jest tak... jak to określić?... tak konkurencyjna? I atrakcyjna, jeśli się to lubi.

Nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy to intuicja, czy tylko zgadywanie, ale czuł, że to bardzo uprawnione pytanie.

Dlaczego?

Chwycił za telefon i wykręcił numer do Jespera Larsena.

40

Przekonanie komisarza Stigmana zajęło trochę czasu, ale się udało. Przecież jest pandemia, poza tym święto Wniebowstąpienia i ładna pogoda. Nawet jeśli obciążenie pracą

w policji kryminalnej było spore, to nikt nie oczekiwał wielkich wyczynów. Im bardziej ludzie będą się trzymać z daleka od komisariatu, tym większa szansa, że ten cholerny wirus się nie rozprzestrzeni. Stigman nigdy nie powiedział tego głośno, ale można to było wyczuć między słowami.

- W takim razie jedźcie - skonstratował zrezygnowany (przez telefon, ponieważ tego dnia też pracował z domu). - Mam nadzieję, że was wpuszczą, bo już najwyższy czas to zakończyć, raz na zawsze. Najwyższy czas, rozumiesz? Czas to zakończyć!

Barbarotti powiedział, że dokładnie to zamierza zrobić.

Połączą przyjemne z pożytecznym i spędzą kilka dni w tym miłym mieście - Strøget, Nyhavn, Louisiana - ale tylko, jeśli starczy czasu. Transport publiczny raczej nie wchodził grę w tych dziwnych czasach, więc w czwartek, który był dniem wolnym od pracy, wzięli samochód i ruszyli w drogę. Kilka godzin później zostali wpuszczeni na most - policja na służbie - i już o dziewiątej wieczorem zameldowali się w hotelu Ascot, niedaleko Rådhuspladsen.

- Przynajmniej łatwo o wolny pokój - zauważył Barbarotti, popijając czerwone wino z minibaru.

- Nie ma tego złego, co by na dobrze nie wyszło - powiedziała Eva. - Oczywiście, nie chodzi mi o wino.

Pierwszy oficer kryminalny, Jesper Larsen, miał dwa metry wzrostu i nosił na barkach wypolerowaną głowę. Pięćdziesiąt lat, oceniła Eva Backman, plus minus pięć. Sto dwadzieścia kilo wagi, plus minus dziesięć. Przyjął ich w swoim gabinecie w Komendzie Głównej Policji i powiedział, że bardzo mu miło znów widzieć Barbarottiego, a jeszcze milej, że ma przy sobie tak atrakcyjną partnerkę i że mu bardzo przykro, że spotykają się w tak kiepskich okolicznościach.

Wszyscy troje są policjantami, więc powód ich wizyty nie dziwi.

- Śmierć to ich najmniejszy wspólny mianownik - odparł Barbarotti.

- Właściwie to wspólny dla całej ludzkości - powiedział Jesper Larsen. - Jeśli się dobrze zastanowić.

- Widzę, że dopisuje panom humor - wtrąciła Eva Backman.
- Przyda się w dzisiejszych czasach.

- Hm, to prawda - zgodził się Jesper Larsen i otworzył teczkę. - Ale już ani słowa o wirusie, bo od tego gadania jeszcze bardziej się rozprzestrzenia.

- Ciekawa teoria - odezwała się Eva. - Ale zgadzam się, trzymajmy się tematu. Dlaczego młoda i piękna kobieta na początku kariery odbiera sobie życie?

- *Something is rotten in the state of Denmark* - skonstatawał Jesper Larsen.

- To znaczy po drugiej stronie zatoki - dodał Barbarotti. - Dlatego tu teraz siedzimy.

- W końcu jesteśmy bratnim narodem, mimo wszystko - powiedział Jesper Larsen i zaczął czegoś szukać. - Smutna historia z tą Trine Bang, naprawdę. Na początku musieliśmy się tym zająć... to znaczy przez pierwsze tygodnie. W styczniu i lutym, w dwa tysiące siedemnastym. Była taka młoda, to bez sensu. Miała załamanie nerwowe.

- Dlaczego? - zapytała Eva. - Co się stało?

- To raczej rzadkie w tak młodym wieku - dodał Barbarotti. - Dużo łatwiej o to, kiedy człowiek jest stary. To się ma w pakiecie.

Jesper Larsen rozłożył ręce.

- Może. Nie wiemy, co było przyczyną. Jej znajomi i przyjaciele potwierdzili, że źle się czuła. Nie siedziałem w tym zbyt głęboko, ale jeśli chcecie, to po południu skontaktuję was

z kimś, kto wie trochę więcej. Z Mette Pedersen. Myślałem, że jest na miejscu, ale miała jakieś wezwanie. Będzie o pierwszej, pasuje wam?

- Świetnie - zapewnił go Barbarotti. - Ale mam nadzieję, że ty też coś dla nas masz w tej swojej teczce?

Jesper Larsen pokiwał głową.

- U nas prowadzimy śledztwo rutynowo, jeśli ktoś się zabije, na przykład wyskoczy z balkonu. U was pewnie też?

- Najczęściej - powiedział Barbarotti. - Jakiś rok temu mieliśmy nawet taki trend, nazwaliśmy go: „balkonowe dziewczyny”. W ten sposób odbierały sobie życie, a powodem były sprawy honorowe czy coś takiego... do tej pory nie wiemy, czy robiły to z własnej woli.

- Brzmi znajomo - powiedział Jesper Larsen. - Cholernie paskudna sprawa, że się tak wyrażę.

- A w sprawie tej Trine Bang byli jacyś podejrzani? - zapytała Eva.

Jesper Larsen wzruszył szerokimi ramionami.

- Nie wiem. Nic nie ma w raporcie, ale czasami nie wszystko się zapisuje. Mette powinna coś wiedzieć, będziecie mieć odpowiedź za kilka godzin.

- Rok wcześniej debiutowała jako pisarka - powiedziała Eva Backman. - I nawet z powodzeniem?

- Słyszałem - powiedział Jesper Larsen. - Krytycy byli zgodni, przepowiadali jej świetlaną przyszłość. Mówiło się, że to ją zniszczyło.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał się Barbarotti.

- To się nazywa syndrom drugiej książki - wyjaśnił Larsen. - Albo syndrom drugiej płyty, jeśli to muzyka. Dość łatwo wystartować i osiągnąć sukces, ale potwierdzić swój talent to cholernie trudna sprawa... czasami prowadzi do takich sytuacji.

- Słyszałam. Czy są dowody, że to przypadek Trine Bang?

- Jak już mówiłem, nie mam pojęcia - usprawiedliwił się Jesper Larsen. - Wiem tylko, że nad czymś pracowała, zbiór opowiadań czy coś takiego. Kilka opublikowali pośmiertnie i zostały dobrze przyjęte... chociaż o nieżyjących mówi się albo dobrze, albo wcale. Szczególnie jeśli to młode kobiety.

- W niektórych przypadkach śmierć ma swój urok - dodał Barbarotti.

Jesper Larsen pokręcił głową.

- Na takie romantyczne przeżycia raczej się nie piszę. Ale muszę zapytać o powód waszego przyjazdu, zdaje się, że chodzi o jakichś zaginionych pisarzy... przyznam, że w moich duńskich uszach brzmi to dość dziwnie. Nad czym konkretnie pracujecie? Myślałem, że jesteście zajęci waszymi bombami i wojnami gangów? I jeszcze tym, o czym mamy nie rozmawiać.

- Zgadza się - powiedziała Eva Backman. - Zaginięcie pisarzy dodaje sytuacji ekstrapikanterii.

Jesper Larsen wykrzywił usta w uśmiechu i odwrócił się do Barbarottiego.

- Ale szukanie śladów w Kopenhadze to trochę jak... szukanie igły w stogu siana?

- Za to dużej - odparł Barbarotti. - Czasami trzeba zaryzykować.

- Pełna zgoda - powiedział Larsen i spojrzął na zegarek. - Za kilka minut mam przesłuchanie. Proponuję, żebyśmy razem zjedli lunch, a potem spotkacie się z Mette Pedersen.

- Brzmi nieźle - powiedziała Eva Backman. - Słyszałam, że macie stołówkę na miejscu?

- A tak, mamy - powiedział Larsen i lekko się uśmiechnął. - Ale kiedy przyjmujemy gości, staramy się jej unikać. Po drugiej stronie ulicy jest otwarta knajpa, Ole's, na pewno ją minęliście. O dwunastej?

- Doskonale - powiedział Barbarotti. - Powodzenia na przesłuchaniu.

Po kilku kanapkach i piwie Carlsberg spotkali się z Mette Pedersen, szczupłą, siwą kobietą o głosie, który zdradzał, że w swoim życiu musiała wypalić ze sto tysięcy papierosów i wypić niewiele mniej piwa. Wyjaśniła, że jest najstarszą policjantką w Danii i bardzo się cieszy, że już za miesiąc odchodzi na emeryturę.

Ale teraz mają inne zmartwienie, Trine Bang.

- Ty prowadziłaś to śledztwo, zgadza się? - zapytał Barbarotti.

- Śledztwo to za dużo powiedziane - odparła Mette Pedersen. - Rutynowe działanie. Takie mamy procedury przy samobójstwach. A wy nie?

- Tak, też - powiedział Barbarotti. - Po prostu chciałem się upewnić. Ale może masz coś do powiedzenia o tym... o tym rutynowym działaniu? Będziemy wdzięczni nawet za najmniejszy szczegół.

Mette Pedersen popatrzyła na swoich szwedzkich gości na w pół rozbawionym, na w pół poważnym wzrokiem.

- Tak, Jesper coś wspominał... że brodziecie po bardzo niepewnym gruncie. Ale to wasza sprawa, ja z mojej strony mogę powiedzieć, jakie miałam spostrzeżenia z tej smutnej historii. Wyskoczyła z balkonu, z dziewiątego piętra, powodem było to, że już nie chciała dłużej żyć. Depresja albo załamanie nerwowe, nie jestem psychiatrą. Cholernie to smutne, ale takie rzeczy się zdarzają.

- Czy coś wiadomo o zdarzeniu, które mogło to bezpośrednio wywołać? - zapytała Eva Backman. - To częste.

- Może - odpowiedziała Mette Pedersen. - Ale nie sprawdzaliśmy tego. To nie należało do naszych obowiązków, naszym

zadaniem było stwierdzić, że to samobójstwo, a nie coś innego.

- I stwierdziliście?

Mette Pedersen zawahała się na chwilę.

- Tak. Z braku innych dowodów.

- Z braku innych dowodów?

Mette Pedersen westchnęła.

- Wiecie, jak to jest. Jeśli nic nie wskazuje na coś innego, to się wybiera najprostsze rozwiązanie.

- Ale? - zapytał Barbarotti

- Zawsze jest jakieś „ale”. Gdyby Trine Bang była premierem albo gwiazdą rocka, pewnie byśmy głębiej kopali, ale nie była ani tym, ani tym.

- Mieszkała sama? Miała dzieci?

- Nie, nie miała i mieszkała sama. Rozeszła się z mężem pół roku wcześniej. Mieszkali razem przez trzy lata.

- Rozmawiałaś z nim?

- Oczywiście. Ma nową rodzinę i obecnie mieszka w Szwecji. Jest nauczycielem.

Barbarotti westchnął. Pałeczkę przejęła Eva Backman.

- A twoim zdaniem to było samobójstwo?

- Raczej tak.

- Coś cię zdziwiło?

- Zawsze się coś znajdzie.

- A w przypadku Trine Bang?

Mette Pedersen wydała z siebie krótki, pozbawiony radości śmiech.

- Widzę, że się nie poddajecie.

- Zgadza się - powiedział Barbarotti. - Nie przyjechalibyśmy do tego pięknego miasta, żeby się poddawać, więc każda pomoc jest mile widziana.

Mette Pedersen znów się zaśmiała, ale po chwili spoważniała. Zaczęła się nad czymś zastanawiać.

- Okej, były dwie dziwne sprawy.

- Jakie?

- Po pierwsze, zniknął jej komputer. Po drugie, zamek do klatki schodowej był zepsuty...

Barbarotti i Backman spojrzeli na siebie.

- Zepsuty? - zapytał Barbarotti.

- Wyłamany. Dzień wcześniej.

- Kontynuuj - poprosiła Eva Backman.

- To wszystko. Nie sprawdzaliśmy ani jednego, ani drugiego. Ale dziwne było to, że zniknął komputer... a otwarta klatka schodowa o niczym nie świadczy, każdy mógł to zrobić. To jedenastopiętrowy dom, o ile dobrze pamiętam, i kiepska dzielnica. Zdaje się, że znalazła coś bliżej centrum, ale nic z tego nie wyszło.

- Przesłuchaliście sąsiadów? - zapytał Barbarotti.

- Oczywiście.

- Możemy dostać jej adres?

- Pewnie. Powodzenia.

Radiowóz odwiózł ich do hotelu. Dobrzy sąsiedzi i dobra współpraca ponad granicami, i o to chodzi. Eva Backman miała słuszną uwagę, że w dzisiejszych czasach to konieczność. Jeśli przestępczość zorganizowana nie zna granic - w każdym razie tak było jeszcze przed pandemią - to tym bardziej policja.

Chociaż akurat ta sprawa miała się nijak do przestępczości zorganizowanej.

- Chyba nie myślisz tam jechać? - zapytała Eva, kiedy weszli do pokoju.

- Gdzie?

- Do jej mieszkania?

- Nie - powiedział Barbarotti. - Chciałem tylko pokazać, że nic nie zostawiamy przypadkowi.

- Dobrze - odparła Eva. - Przeanalizujemy to przy kolacji.
- Jeśli coś będzie otwarte.
- Sprawdzę w Internecie.

41

Znaleźli restaurację, w której jedzenie było wyśmienite. Halibut pieczony na maśle, szparagi i świeże ziemniaki. Do tego dwie lampki chablis.

Trochę gorzej było z ich analizą. Młoda duńska pisarka wzięła udział w imprezie literackiej w Kopenhadze w listopadzie dwa tysiące szesnastego roku. Kilka miesięcy później odebrała sobie życie. Troje szwedzkich autorów, którzy również brali udział w tej imprezie, trzy lata później zniknęło bez śladu. Ostatni z nich w kwietniu dwa tysiące dwudziestego roku.

Co ich łączyło?

Nic, zdaniem Evy Backman.

Nic, zdaniem Gunnara Barbarottiego.

A komputer Trine Bang?

Sąsiad ukradł w zamieszaniu, powiedziała Eva. Albo były chłopak.

W jakim zamieszaniu?

Które powstało, kiedy wyskoczyła z balkonu.

A zamek do klatki schodowej?

W tej dzielnicy co trzeci dom ma popsute zamki.

Jesteś uprzedzona.

Jestem realistką. Poza tym śledztwo dotyczy osób zaginionych w Szwecji, a nie domniemanego samobójstwa w Danii.

Przerwa w analizie. Łyk chablis.

Analiza wznowiona: założmy, że decydujemy się na spraw-
dzenie tego tropu, i co dalej?

Jest tylko jeden sposób, według Evy Backman.

- Masz na myśli innych autorów? - zapytał Gunnar Barba-
rotti. - Żeby skontaktować się z nimi i sprawdzić, czy coś wie-
dzą?

- Dokładnie - westchnęła Eva. - Ale w tym ci nie pomogę.

- Czyli najpierw powinniśmy mieć trochę więcej? - upewnił
się Barbarotti.

- Nie - odpowiedziała Eva, - powinniśmy mieć dużo więcej.
Płacimy rachunek i wracamy do hotelu.

W sobotę, w drodze powrotnej, Barbarotti zastanawiał się nad
teorią wąskiego tropu, lansowaną przez Lindhagena. Albo się
dojdzie do celu, albo do ściany. W drugim wypadku trzeba się
cofnąć i szukać od nowa.

Od nowa?

Cholerne głupoty, pomyślał. Jak szukać, jeśli się doszło do
ściany? Gdzieś ostatnio przeczytał, że w połowie czerwca ktoś,
kto badał morderstwo Palmego, zamierza zaprezentować swoje
wyniki. Trzydzieści cztery lata po fakcie. Oni w swoim docho-
dzeniu muszą określić rangę tropu. Zamordowany premier
waży oczywiście więcej niż kilku zaginionych pismaków.

To jakby żdźbło siana porównać do grubego kija.

Eva uświadomiła mu to w niedzielę, kiedy siedzieli w altanie
i w towarzystwie trzmieli, kosów i gęsi jedli wiosenne śniada-
nie.

- Obiecali, że w tym tygodniu będą mówić o tym w telewizji.
Nigdy nic nie wiadomo.

Racja. Barbarotti zupełnie o tym zapomniał. Kilka tygodni
temu zadzwonił prowadzący program, że jeszcze raz chcą

wyemitować materiał. Nie będzie to główny temat programu, tylko kilka minut przed końcem. Więcej mówili w styczniu, zanim jeszcze zniknął Jack Walde.

Więc najwyższy czas.

- Oczywiście - odpowiedział Barbarotti. - Nigdy nic nie wiadomo. To podcina się trochę pod poszerzone poszukiwania, ale chrzanić to.

Program pokazali w czwartek wieczorem, przed wakacjami. Następnego dnia, w piątek, dwudziestego dziewiątego maja, zadzwoniła Sara Sisulu ze Sztokholmu.

- Być może coś mamy - poinformowała.

Jest podekscytowana, pomyślał Barbarotti. A może mówił o sobie.

- Ach tak?

- Zgłosił się ktoś, kto twierdzi, że coś widział.

- Co takiego?

- Trochę dziwny, ale mu wierzę.

- Co widział?

- Waldego i Lundego.

- Waldego i Lundego?

- Tak twierdzi.

- I?

- Nie chciał powiedzieć przez telefon. W ten weekend jest na weselu w Pajali. Ale w poniedziałek będzie z powrotem. Umówiłam spotkanie, więc pomyślałam, że może chciałbyś przyjechać.

Barbarotti pomyślał chwilę.

- A nie da się zdalnie?

- Nienawidzę online.

- A Pallander?

- Jest na zwolnieniu. W środę złamał nogę. Grał w piłkę z wnukiem.

- Ciekawe, że można się teraz spotykać z wnukami?

- Ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat. Będziemy tylko ty, ja i świadek.

- Okej - zgodził się Barbarotti. - Przyjadę.

- Świetnie - ucieszyła się Sara Sisulu. - W poniedziałek, o piątej, w moim gabinecie. Miłego weekendu.

- Wzajemnie.

Uległość - dwa

Kolejna bezsenna noc. Budzik na szafce nocnej pokazuje piętnaście po czwartej, więc się poddaje. Źle sypia przez całą wiosnę, ale w ostatnich tygodniach to już przekroczyło wszelkie granice. Często leży aż do świtu, jeśli minie godzina wilka, między trzecią a czwartą nad ranem, nie zmrużywszy oka, cała noc stracona.

W tych nielicznych godzinach, kiedy udaje mu się zasnąć, ma koszmary senne. A raczej jeden koszmar. Ten sam motyw, tylko w różnych wersjach.

Te przeklęte ciała. Choćby nie wiadomo jak próbował, nie udaje mu się ich ukryć. Odwiedzają go znajomi, koledzy ze szkolnej ławy, i kiedy stają przy gnojowniku, nagle wystaje biała piszczel czy nawet cała stopa. Zdarza się, że i głowa z policzkami, ustami, oczami i włosami. Zarówno we śnie, jak i na jawie dochodzi do wniosku, że stara prawda, że gnój rozpuszcza ciało, to czyste brednie.

Kiedy potem idzie sprawdzić, nie musi nawet za dużo machać łopatką, żeby natknąć się na jakąś część ciała. Jeszcze w resztkach ubrania, może obornik jest za stary, leży tu już od dziesięciu lat i wszystkie procesy che-

miczne już dawno w nim ustały, jest martwy, w każdym tego słowa znaczeniu. Bardziej martwy niż ciała, które w nim leżą, bo w nich wciąż jeszcze coś się dzieje. Szczególnie w ostatnim, które jeszcze kilka tygodni temu było zupełnie żywe.

Płyny fizjologiczne wyschną, a robaki porządnie obgryzą szkielet. Nawet jeśli to zajmie trochę czasu. Trzeba być cierpliwym. A mimo to, szczególnie podczas bezsennych nocy, ma wrażenie, że nic się nie dzieje.

Wstaje. Odślania zasłony i spogląda na żółte pole rzepaku. Morze w porannej mgłę wydaje się fatamorganą. Leży dwa kilometry od domu, więc zastanawia się, czy wziąć rower, czy iść pieszo. Łatwiej utrzymać myśli na wodzy, kiedy się spaceruje, ale nie jest pewien, czy tego teraz potrzebuje. Trzymać myśli na wodzy... czy pozwolić im płynąć.

W pewnym sensie już po wszystkim, pozostaje mu tylko do wypełnienia jej ostatnia wola, i to jest może najtrudniejsze. Ale decyzja nie leży w jego rękach, on jest tylko wykonawcą poleceń, które otrzymał. Na dobre i na złe. Otwiera ciężkie drzwi i wychodzi na rześkie powietrze, lekka morska bryza wymieszana z wiosennymi zapachami budzi w nim radość. Już niedługo lato, a kiedy się skończy, on już będzie innym człowiekiem i... i znów zajmie się tym, co zostało przerwane.

Bierze rękawiczki i wychodzi. Musi sprawdzić silnik w motorówce, a nie chce sobie ubrudzić rąk olejem. Niewykлучzone, że będzie musiał wziąć taczkę i przynieść go do domu albo zostawić w mieście do przeglądu.

Nie ma pośpiechu. Powiedziała, że koniec się zbliża, ale nie wiadomo, czy łódź będzie gotowa. To nie od

*niego zależy, nic od niego nie zależy, niby dlaczego mia-
łoby być inaczej? Czy kiedykolwiek coś od niego zale-
żało?*

*Nikt nie jest w stanie mnie zrozumieć, pomyślał,
wchodząc na małe wzniesienie, żeby między pasami
mgły zobaczyć całe morze.*

Bo nikt nie będzie musiał się tym zajmować.

CZERWIEC 2020

42

Do trzech razy sztuka, pomyślał Gunnar Barbarotti, wysiadając z samochodu w Kungsholmen.

Od grudnia, czyli od początku tego niekończącego się śledztwa, już dwa razy był w stolicy. Teraz jest czerwiec i, jeśli wierzyć temu, że jeśli dochodzenia nie zakończy się w pierwszych tygodniach, to wcale się nie zakończy, nie ma powodu do optymizmu. Pół roku to jednak pół roku.

Duński trop też nie przyniósł przełomu. W drodze do Sztokholmu przekonywał siebie, że to jeszcze o niczym nie świadczy. Samobójstwo Trine Bang mogło mieć jakiś związek z losem trzech szwedzkich autorów. Nie ma dowodów, że tak nie było.

Uświadomił sobie, że takie rozumowanie ociera się o infantylizm, a ponieważ był, jaki był, pozwolił myślom zostać w głowie tak długo, jak będą miały na to ochotę. Gdzieś słyszał, że pytania, których nie możemy przestać zadawać, to ważne pytania, niestety, z dopiskiem „albo zupełnie bezwartościowe”.

Dzisiaj chodziło o coś zupełnie innego. Wiedział jedynie tyle, że świadek, który po czwartkowym programie zadzwonił na policję, jest emerytem i że widział dwóch z trzech zaginionych autorów w okolicznościach, które mogą zainteresować policję.

Te dość skąpe informacje przekazał Sarze Sisulu, która uznała, że mimo iż jest trochę dziwny, to wiarygodny i raczej godny zaufania.

Cholera wie, pomyślał Barbarotti i skierował kroki do komisarjatu. Coś musi być nie tak z tym zaginionym tercetem.

Ivar Stark wyglądał jak sprzedawca sklepowy z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku w małym prowincjonalnym miasteczku. Mniej więcej w tym samym czasie Gunnar Barbarotti przestał nosić pieluchy, więc nie mógł pamiętać, czy jako dziecko odwiedził takie miejsce. Może widział w filmie.

Szary garnitur z poliestru w stylu boho, jasnoniebieska nylonowa koszula i zielony krawat ze spinką. Barbarotti sam się zdziwił, skąd zna nazwy tych wszystkich materiałów, ale doszedł do wniosku, że pewnie podłapał, kiedy był dzieckiem. Przywitał się łokciem z tym dość niskim, ale eleganckim i wytrenowanym mężczyzną, to samo zrobił z młodą i bystrą aspirantką, chociaż chętniej by się z nią przytulił na powitanie, a potem zajął ostatnie wolne krzesło w gabinecie.

- Świetnie - powiedziała Sara Sisulu. - Więc możemy zaczynać? Zanim przejdziemy do przesłuchania, proszę się najpierw przedstawić. Informuję również, że nasza rozmowa będzie nagrywana.

Sara Sisulu włączyła leżący na biurku magnetofon.

- Dziękuję - odparł Ivar Stark i się wyprostował. - Nazywam się Ivar Stark, mam siedemdziesiąt dwa lata, pośrednik w sprzedaży jachtów, emeryt, bo to brzmi lepiej niż były. Większą część roku spędzam za granicą - kontynuował Ivar Stark. -

Głównie w Hiszpanii i głównie w zimowe miesiące, ale mam też małe mieszkanie na starym mieście i motorówkę zacumowaną nad jeziorem Dala. Niestety teraz nie można się ruszyć z domu, nie mówiąc już o podróżach. Mam świetny wzrok,

jestem spostrzegawczy i sporo czytam, szczególnie odkąd wycofałem się z życia zawodowego.

- Kiedy? - przerwała mu Sara Sisulu. - Kiedy pan odszedł na emeryturę?

- Ja nie odszedłem na emeryturę - zachnął się pan Stark. - Wycofałem się z życia zawodowego, a to pewna różnica. Sześć lat temu, w dwa tysiące czternastym. Zawsze prowadziłem proste życie i dbałem o to, żeby zabezpieczyć się na przyszłość.

Nie wiadomo, czy ostatecznie zdanie to był tylko żart. Jeżeli ktoś handluje jachtami, to raczej ma pociąg do wystawnego życia. Ale Barbarottiemu nie chciało się tego komentować. Sarze Sisulu również, skinęła tylko głową, aby kontynuował.

Zanim zaczął, kciukiem i palcem wskazującym podkreślił swoje wypielęgnowane wąsy.

- Mogę się pochwalić świetną spostrzegawczością, dlatego teraz tu siedzę - wyjaśnił z powagą w głosie. - W dwa tysiące szesnastym roku poczyniłem pewne obserwacje. W czwartek, piętnastego grudnia. Zazwyczaj o tej porze roku nie ma mnie w Szwecji, ale moja staruszka matka kiepsko się poczuła, więc musiałem przyjechać kilka dni wcześniej. Dobrze, że to zrobiłem, bo w Wigilię zmarła, więc mogłem towarzyszyć jej w ostatnich chwilach życia. Miała dziewięćdziesiąt osiem lat. Urodziła się tuż po pierwszej wojnie światowej.

- Ale może skupmy się na pana obserwacjach - przypomniała mu Sara Sisulu.

- Oczywiście, hmm. To było w kawiarni na starym mieście, Pod Kasztanem, na Brända Tomten. Nazwa pochodzi od imponującego kasztanowca, który tam rośnie. Moje mieszkanie leży na Själagårdsgatan, sto metrów dalej, więc kiedy jestem w domu, zdarza się, że chodzę tam na śniadania. W każdym razie robiłem to przed pandemią. To spokojne i sympatyczne miejsce, nieoblegane przez turystów... tak, świetne, jeśli się chce spokojnie poczytać gazetę przy herbacie. Nie piję kawy,

pewnie dlatego, że sporo czasu spędziłem w Anglii... i w Szkocji, zresztą to nie ma nic do rzeczy.

Nie, prawdopodobnie nie, pomyślał Barbarotti i zdusił ziewanie.

- Właśnie tamtego ranka, piętnastego grudnia dwa tysiące szesnastego roku, kupiłem śniadanie i zszedłem piętro niżej, bo kawiarnia ma salę w piwnicy, która prawie zawsze jest pusta. Czasami siedzi tam tylko jakiś student i pracuje przy komputerze. Jednak tamtego ranka były tam dwie osoby, obie znałem z widzenia. To był Franz J. Lunde i krytyk literacki Jack Walde. Jak już wspomniałem, sporo czytam i mam pamięć do twarzy. Lunde mieszka na starym mieście, więc czasami mijałem się z nim na ulicy. W każdym razie, kiedy wszedłem, siedzieli przy stole, i natychmiast zauważyłem, że nie chcą, żeby im ktoś przeszkadzał. Siedzieli pochyleni i coś do siebie szeptali, wydawali się... jak by to powiedzieć... podekscytowani. Kiedy po chwili się zorientowali, że nie są sami, byli niemile zaskoczeni. Jakby się przestraszyli, że słyszałem ich rozmowę... co oczywiście było nieprawdą, poza kilkoma słowami. Wtedy Jack skinął głową i powiedział, żebym ich zostawił w spokoju. Tak, użył takiego sformułowania. „Czy będzie pan tak miły i zostawi nas w spokoju?“, zapytał. „Na pewno na górze jest dużo miejsca“. Woląłem nie wchodzić w dyskusję, więc odwróciłem się na pięcie i poszedłem na górę.

Przerwał i znów poprawił wąsy. Jakby chciał się upewnić, że podczas rozmowy ani jeden włos nie zmienił pozycji.

- I to wszystko? - zapytał Barbarotti.

- To wszystko - potwierdził Ivar Stark.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Sara Sisulu. - Interesujące. Czyli to się zdarzyło trzy i pół roku temu. Dlaczego dopiero teraz pan się z tym zgłasza?

Emerytowany pośrednik Ivar Stark popatrzył na młodą aspirantkę ze zdziwieniem.

- Ponieważ dopiero teraz mam powód - odpowiedział. - Powiązałem to, co widziałem, z tymi zaginięciami... i sobie to skojarzyłem. Czytałem o tym w jakiejś gazecie, ale w zeszłym tygodniu widziałem też program kryminalny w telewizji. W tym roku przyjechałem do Szwecji dość późno, dwa tygodnie temu, ale cóż, niełatwo się teraz podróżuje. W Hiszpanii staram się nie czytać szwedzkich gazet... jak większość moich rodaków. Wyjeżdżają ze Szwecji, a potem tęsknią. Hmm.

Ivar Stark zrobił przerwę, ale kiedy ani Barbarotti, ani Sisulu nie mieli żadnych komentarzy, kontynuował:

- W ostatni weekend byłem na weselu w Pajali, moja siostrzenica brała ślub z Samem, kto by pomyślał, ale muszę przyznać, że facet jest w porządku. Było około pięćdziesięciu osób. W każdym razie, kiedy w zeszły czwartek zobaczyłem ten program i zdjęcia zaginionych, mój incydent natychmiast skojarzyłem z nimi.

- Przepraszam - powiedział Barbarotti. - Mimo wszystko minęło już sporo czasu, to znaczy od wydarzenia w kawiarni i od pierwszego zaginięcia. Dlaczego pan je skojarzył?

Ivar Stark pomyślał chwilę.

- Ich zachowanie - powiedział. - To było bardzo dziwne, Lunde i Walde siedzieli i konspirowali. Jakaś podejrzana sprawa, która nie tolerowała mojej obecności. Jeśli mogę się pokusić o porównanie, to wyglądali jak dwaj oszuści ze starego filmu. A kiedy w tym programie telewizyjnym usłyszałem, że...

Na chwilę stracił wątek, ale Barbarotti i Sisulu się nie odzywali. Dali mu czas na sformułowanie myśli.

- Przepraszam, ale nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli. Kiedy usłyszałem, że policja nie widzi bezpośredniego związku między tymi trzema autorami... natychmiast przypomniała mi się kawiarnia Pod Kasztanem. Mam nadzieję, że zgodzicie się, że to, co mi się przytrafiło, przeczy stwierdzeniu, że nie ma

między nimi żadnego związku? Walde i Lunde musieli być uwikłani w coś niewłaściwego, proszę mi wierzyć!

Barbarotti pomyślał, że w swojej karierze spotkał mnóstwo świadków, ale rzadko albo nigdy kogoś z taką pewnością siebie. Ivar Stark nie był przyzwyczajony do sprzeciwu, z jego ust nie padło ani jedno przypadkowe słowo, szczególnie kiedy rozmawiał z przedstawicielami organów ścigania. Zaprzeczyć mu to jakby zaprzeczyć zdrowemu rozsądkowi.

- Czy dobrze zrozumiałem, że usłyszał pan kilka słów z rozmowy Waldego i Lundego? - zapytał Barbarotti.

Ivar Stark skinął głową.

- Zgadza się, ale coś bardzo nieznacznego. Tylko pytanie Waldego: „Nie powiedziała nic więcej?”.

- „Nie powiedziała nic więcej?”

- Tak.

- I to jedyne, co pan usłyszał?

- Tak. Ale jestem pewien, że to były te słowa.

- Czy wie pan, kim mogła być ta ona?

- Gdybym wiedział, powiedziałbym wam.

- Naturalnie - wtrąciła Sara Sisulu. - Czy widział pan, jak wychodzili z kawiarni?

- Nie, siedziałem w rogu, odwrócony tyłem. Mogli wyjść niezauważenie.

- Czy widział ich pan razem w innych okolicznościach?

- Nigdy.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Sara Sisulu dziesięć minut później.

- To samo, co ty - powiedział Barbarotti. - Dziwny typ, ale jakoś mu wierzę.

- „Nie powiedziała nic więcej?” Co za marny trop!

Barbarotti pomyślał chwilę.

- Może niekoniecznie. Rozmawiali o kobiecie.
- Też to zauważyłam.
- Trzeba się tylko dowiedzieć o jakiej.
- Tylko? Mamy do wyboru pięć miliardów.
- Jeśli wyłączymy Indie i Chiny, to zostaną nam trzy.

Sara Sisulu wybuchnęła śmiechem.

- Możesz jeszcze wykreślić mnie i Michelle Obamę. Jestem raczej pewna, że to żadna z nas.

- Świetnie - odparł Barbarotti. - To właściwie jesteśmy u celu. Czy dasz się zaprosić na kolację?

Sara Sisulu popatrzyła na niego, marszcząc czoło.

- Nie, jeśli masz względem mnie zamiary.

- Zamiary? - Barbarotti się roześmiał. - Oszalałaś? Przecież mógłbym być twoim ojcem.

- Odpada - powiedziała. - Mój ojciec jest czarny jak smoła.

43

Nie powiedziała nic więcej?

Przez całą drogę do Kymlinge zastanawiał się nad tym na pozór prostym pytaniem. A szczególnie nad tym, kim była ta ona. Nawet po wykluczeniu wszystkich Chinek i Hindu-sek (oraz Sary Sisulu i Michelle Obamy) wciąż zostało ich bardzo wiele. Chciałby, żeby chodziło albo o Marię Green, albo o Trine Bang, ale niestety.

Nie powiedziała nic więcej? Cztery zasłyszane w kawiarni słowa sprzed trzech i pół roku.

Igła w stogu siana? Prawdopodobnie.

Poza tym... to wniosek, do jakiego doszli z Sarą Sisulu podczas wczorajszej kolacji w restauracji leżącej sto metrów od komisariatu, ale nazwy nie pamięta... poza tym nic nie przemawia za tym, że spotkanie Waldego i Lundego miało jakiś związek z zaginięciami kilka lat później. Niezależnie od tego, jak podejrzane było ich spotkanie.

To raczej nieprawdopodobne. Ivar Stark na pewno jest doskonałym świadkiem, ale złożenie wszystkich klocków to już nie jego sprawa, tylko policji. A dokładniej komisarza Barbarottiego, ponieważ to on, wciąż z niesłabnącą siłą, kieruje dochodzeniem.

Westchnął i kątem oka zobaczył kruka siedzącego na znaku drogowym, czyli już niedługo będzie w Örebro.

Czy przypadkiem kruk w mitologii greckiej nie jest symbolem wiedzy?

Ale nie będzie interpretować znaków po drodze. Zresztą może to wcale nie kruk, tylko wrona.

A jednak, pomyślał kilka godzin później, siedząc w swoim gabinecie w komisariacie w Kymlinge. A jednak czuł, jakby przekroczył punkt Borkmanna. Nie musi już więcej szukać, wystarczy, że przeanalizuje to, co ma.

Czy to - podobnie jak pytanie o tę nią - tylko myślenie życzeniowe, czy może coś wartego rozważenia? Po krótkiej modlitwie i lekkim wahaniu poszedł do swojej koleżanki, a jednocześnie narzeczonej, żeby zapytać, czy mogłaby mu pomóc rozwiązać ten problem. Przez dziesięć minut siedziała z telefonem przy uchu, ale Barbarotti pomyślał, że przecież Bóg nie stworzył pośpiechu, więc usiadł i czekał.

- Witaj, mój książę - powiedziała, kiedy skończyła rozmowę.
- Przykro mi, że musiałeś czekać. Miło spędziłeś czas u króla i królowej?

- Byli zajęci - odpowiedział Barbarotti. - Mimo to było przyjemnie. Ale potrzebuję pomocy.

- W takim razie dobrze trafiłeś. Strzelaj.

- Czy przekroczyliśmy punkt Borkmanna?

- Słucham?

- No wiesz... punkt Borkmanna, o którym mówił Van Veeteren.

- A, tak. Czyli sytuacja, w której trzeba użyć własnych komórek mózgowych. I przestać uganiać się za śladami krwi czy petami... o ten punkt ci chodzi?

- Dokładnie - odparł Barbarotti. - Mam przeczucie, że tu właśnie jesteśmy. Nie uważasz?

Eva Backman pochyliła się nad stołem i popatrzyła na niego z zatroskanym uśmiechem.

- Skąd mam to wiedzieć? Lepiej bądź tak miły i opowiedz mi, czego się dowiedziałeś.

- Chętnie. - Barbarotti wziął głęboki wdech i zaczął opowiadać o spotkaniu z Ivarem Starkiem, pośrednikiem handlu jachtami.

- Interesujące - podsumowała, kiedy skończył. - A jeśli uwierzymy w tę jego historię, a zakładam, że tak... no właśnie, to co dalej? Albo to kolejny klocek do naszej układanki, albo nie, ale czuję, że... właściwie to nie wiem.

Eva nie zdążyła dokończyć, bo zadzwonił telefon Barbarotti. Wyjął go i spojrział na ekran.

- Czterdzieści jeden, co to za kierunkowy?

- Eee... nie mam pojęcia... ale na pewno Europa.

Barbarotti pokiwał głową i odebrał. Eva słuchała, jak mówi: *o, witaj i oczywiście, że cię pamiętam*, żeby po kilku minutach zakończyć: *oczywiście, obiecuję, że się odezwę*.

- Kto to?

- Viktoria Lunde. Córka Franza J. Lundego. Chciała się dowiedzieć, jak nam idzie... mówiłem ci, że spotkałem się z nią przed świętami?

- Coś kojarzę - odparła Eva Backman. - Gdzie mieszka?

- W Szwajcarii, we włoskiej. Miała bardzo zrezygowany głos.

- To normalne w jej sytuacji. Ale rozmawiałeś z nią już kilka razy, prawda?

Barbarotti pokiwał głową.

- Na początku. Ostatni raz w lutym. Może tą drogą powinniśmy iść.

- Jaką drogą?

- Zrobić kilka kroków w tył. Skupiamy się głównie na Walde'em... Lunde wrócił dzięki Ivarowi Starkowi, ale może trzeba jeszcze raz przejrzeć kartotekę z grudnia i stycznia. Co uważasz?

Eva zmarszczyła brwi.

- Chcesz powiedzieć, że my to mamy zrobić? Ty i ja?

- Dobry pomysł. Skąd ty to wszystko wiesz?

- Do końca tygodnia - powiedział Stig Stigman pół godziny później. - Czyli za trzy dni, potem możecie się tym zajmować w czasie wolnym. Minęło pół roku i nic nie macie, więc dlaczego teraz miałyby się coś zmienić?

- Ja nie byłem w tym od początku - zaznaczyła Eva Backman.

- Dziękuję za odpowiedź. Wiem - powiedział Stigman, poirytowany. - Zgodziłem się na Danię, do Sztokholmu jeździecie co drugi tydzień. Już czas na rezultaty. Czy rozumiecie, o czym mówię? Czas na rezultaty!

- Jasna sprawa - powiedział Barbarotti. - Przewiduję, że do midsommar skończymy.

- Czy ty niedosłyszysz? - zapytał Stigman. - Powiedziałem: trzy dni. A za trzy dni mamy święto narodowe, a nie midsommar.

- Wiem, wiem. Zrozumiałem. Ale Rzymu też nie zbudowali w jeden dzień.

- Co? - zapytał Stigman. - A co, do cholery, ma do tego Rzym?

- Niewiele - skonstatował Barbarotti i wstał. - Ale więcej niż to, że wszystkie drogi tam prowadzą.

- Odkrycie - wymamrotał Stigman i zaczął kartkować kalendarz leżący na biurku. - Czekam na raport końcowy... powiedzmy, że... w poniedziałek po południu, przyszły tydzień. Raport końcowy, czy to też zrozumieliście, czy potrzebujecie na piśmie?

- Wszystko zrozumieliśmy - zapewniła go Eva Backman i pociągnęła Barbarottiego za rękaw.

- Dlaczego go prowokujesz? - powiedziała, kiedy wyszli od monsieur szefa. - To bez sensu.

- Ja? Kto tu kogo prowokuje? Dobra, zabieramy się do roboty, od czego zaczniemy?

Eva spojrzała przez okno.

- Od wyjścia. Weźmiemy dokumentację i będziemy pracować z domu, takie są zalecenia.

- Trzy dni w domu - powiedział Gunnar Barbarotti. - Fantastyczny pomysł. W dodatku dopiero od pojutrze.

Ale zaczęli już we wtorek wieczorem, bo Barbarotti nalegał.

- Przynajmniej ja ruszam z kopyta - powiedział. - Zacznę od zrobienia listy.

- Jakiej listy?

- Osób, z którymi rozmawiałem... tych najważniejszych. Mogę się założyć, że... hm.

- Co takiego?

- Że nie wszyscy mówili prawdę i jeśli jeszcze raz ją przestudiujemy, to może znajdziemy jakiś klucz do... tak, do wszystkiego.

- Oczywiście - powiedziała Eva. - Ty zajmij się tą swoją listą, a ja w tym czasie zrobię coś do jedzenia. Usiądziemy na zewnątrz?

- Dlaczego siedzieć gdzie indziej, kiedy bez tak pięknie kwitnie? - powiedział Barbarotti. - Altana będzie naszą kwaterą główną, o ile komary nas nie zjedzą. Im człowiek jest starszy, tym bardziej lubi robić listy. Dziwne, prawda?

Pół godziny później zjedzone już były dwie kanapki z łososiem, wypite dwa piwa i gotowa wstępna lista. Pisemnie, gdyż w ten sposób wiedza wchodzi lepiej do głowy.

- W porządku chronologicznym? - zapytała Eva Backman.

- Mniej więcej - odparł Barbarotti.

- Okej.

- Czytaj.

Eva zaczęła czytać.

Franz J. Lunde

Rachel Werner, wydawca

Linnea Närpi, siostra

Viktoria Lunde, córka

Benny Kohlberg, przyjaciel

Maria Green

Mirja Laine, przyjaciółka

Gunder Widman, wydawca

Fredrik Green, syn

Margot Eriksson, czytelniczka

Max Andersson, były mąż

Jack Walde

Gunder Widman, wydawca i przyjaciel

Balthazar Walde, syn

Louise Mattsson, była żona

Staffan Lidberg, kolega z redakcji

Oscar Stenhäll, szef działu kultury

Inni

Trine Bang, nieżyjąca duńska pisarka

Jesper Larsen, duński policjant

Mette Pedersen, duńska policjantka

Ivar Stark, były pośrednik handlu jachtami

*Osoby z hotelu w Kymlinge, między innymi Madame
Douglas*

*Bibliotekarze i setki czytelników... oraz stalker/pory-
wacz/sprawca/morderca?*

- Dlaczego ująłeś policjantów z Kopenhagi? - zapytała Eva, jak skończyła czytać. - Są o coś podejrzani?

Barbarotti potrząsnął głową.

- Nie, oprócz tego ostatniego nikt nie jest podejrzany... w każdym razie jeszcze nie... oprócz tego, że ktoś mógł podać fałszywe informacje. Świadomie bądź nieświadomie. Jeśli świadomie, to znaczy, że kłamał. Z drugiej strony mogli dostarczyć jakiś znaczący szczegół, którego nie zauważyliśmy. Spróbuję to jeszcze raz przeanalizować.

- Czyli nie będę ci potrzebna w twojej pracy detektywa, prawda? I tak nie widziałam tych ludzi na oczy.

- Będiesz moim doradcą - powiedział Barbarotti.

- Okej, ale wszystko w swoim czasie, jutro jestem zajęta, przeglądam teczki na hamaku, ale daj znać, kiedy utkniesz w miejscu.

- Masz na myśli jeśli, a nie kiedy? - zapytał Barbarotti.

- Sorry, przejęczyłam się - powiedziała Eva. - Ale wracajmy do środka, chyba słyszałam komara.

44

Mąż uprzedzał, że woda jest diabelnie zimna, ale Irmelin Andersson nie posłuchała. Hemming bał się wody, kąpał się zazwyczaj w lipcu, i to najwyżej dwa razy, ogólnie prawie do wszystkiego był nastawiony negatywnie. Z wiekiem wcale nie było lepiej.

Irmelin wzięła więc rower i sama pojechała na plażę. Było nie później niż wpół do dziesiątej rano, ale słońce stało już wysoko. Do midsommar zostały dwa tygodnie, a do święta narodowego trzy dni. Właśnie szóstego czerwca jedna z córek ma urodziny. Irmelin wysłała jej prezent już w ubiegłym tygodniu, bo teraz z pocztą nigdy nic nie wiadomo. Podobnie jak ze wszystkim; klimat, polityka, i jeszcze ten przekłety wirus. Dziękowała swojemu stwórcy, że nie wylądowała w jakimś domu opieki. Bo już dawno by z sobą skończyła.

Z córką też nie było najlepiej, mieszkała daleko, bo aż w Södertälje. Powiedziała, że ma guzek w piersi, mimo iż nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat.

Dobrze się trochę oderwać, pomyślała Irmelin i zostawiła rower niedaleko linii brzegu. Nie ma sensu ciągnąć go ze sobą, gdy do wody jest tylko dwieście metrów.

Plaża była zupełnie pusta, jak zwykle o tej porze dnia, szczególnie teraz. Na wszelki wypadek wzięła kostium kąpielowy, a ponieważ, oprócz mewy kołyszącej się na fali, nie widziała ani

jednej żywej duszy, postanowiła, że będzie pływać nago. A jeśli nawet ktoś się pojawi, to poczeka w wodzie, aż odejdzie.

Jakby kogoś obchodziło jej osiemdziesięcioletnie ciało.

Myśli o śmierci i o tym, że dni jej i Hemminga są raczej policzone, nie opuszczały jej nawet wtedy, kiedy się rozbierała, a potem owijała ciało kraciastym biało-czerwonym ręcznikiem. Na długo to zapamięta, bo niewiele minut później natknęła się na ten sam fenomen, tylko w zupełnie innej postaci.

Zrzuciła ręcznik i rzuciła na suchy piasek. Weszła do spokojnej wody i zdziwiła się, że nie jest zimna. Dwadzieścia stopni, mimo że to dopiero początek lata; to wszystko przez te zmiany klimatyczne, trzeba korzystać, zanim będzie za późno. Zanim wszystko się zagotuje.

Zanurzyła się i popłynęła. Na początku tak daleko, że ledwo miała grunt pod nogami. Długie i spokojne wymachy rąk. Boże, jak wspaniale, pomyślała. Hemming jest głupi.

Postanowiła popłynąć dwieście wymachów rąk i wrócić, ale kiedy zrobiła sto pięćdziesiąt pięć, stało się.

O coś zahaczyła. Miała odwróconą na bok głowę i przymknięte z powodu słońca oczy. Woda otulała jej ciało, a ona, odprężona, była skupiona na liczeniu.

- Oj, przepraszam - powiedziała, kiedy zobaczyła, że się z kimś zderzyła.

Po chwili uświadomiła sobie, że ten ktoś nie zareagował, bo był martwy.

Ubrany, bez obrażeń, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale przez to wcale nie mniej nieżywy.

Na wodzie unosiło się ciało. Kiedyś człowiek.

Irmelin wydała z siebie okrzyk, ale usłyszały ją tylko mewy. Zaczęła płynąć do brzegu ile sił w rękach. Kiedy już miała grunt pod nogami, wstała i zaczęła biec. Uświadomiła sobie, że jest zupełnie naga, podbiegła do ręcznika i się nim owinęła.

Potem rzuciła się do roweru, nie myśląc, że oprócz ręcznika nic na sobie nie ma. Pedalowała jak błyskawica, aż do samego ganku, rzuciła rower i zawołała do Hemminga, żeby natychmiast dzwonił na policję, bo w zatoczce jest topielec.

- Co ty mówisz - powiedział Hemming. - To niemożliwe?

Jego słowa doprowadziły żonę Hemminga do szału.

- Dobrze, ty sklerotyczny ośle - odpowiedziała mu. - Zadzwoń sama.

- Chcesz rozmawiać z policją w tym stroju? - zapytał Hemming.

Jak ja wytrzymałam z nim pięćdziesiąt dwa lata, pomyślała Irmelin i wystukała numer.

45

Słońce świeciło z niemiłosierną intensywnością, ale w cieniu panował przyjemny chłód. Był czwartek, czwarty czerwca, dwa dni do Święta Narodowego Szwecji i dwa dni do deadline'u komisarza Stigmana.

Właściwie to cztery w tym ostatnim przypadku. A jeśli zdarzyłoby się, że duch podupadnie, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pracowali jeszcze w weekend.

Kiedy Eva Backman wstawiała około siódmej, termometr pokazywał dwadzieścia stopni, teraz, o dziesiątej, było już dwadzieścia pięć. Ani jednej chmurki, a prognozy nie zapowiadały żadnej zmiany w ciągu najbliższych dni. Lato w końcu nadeszło.

Wczoraj ściśle trzymali się planu. Eva leżała w hamaku i studiowała każde słowo raportu, a Barbarotti przejrzał swoją listę, wykonał kilka telefonów, żeby dopracować niektóre punkty

i okoliczności, a o szóstej wieczorem otworzyli butelkę białego wina, zrobili sałatkę z jajkiem, tuńczykiem, krewetkami, ryżem i kilkoma rodzajami warzyw i pomyśleli, że zasłużyli na kolację.

Zgodnie z planem był to dzień pytań. Eva zaczęła.

- Dlaczego nie znaleźliśmy żadnych śladów technicznych? Ani w hotelu, ani w Sztokholmie. Trochę to dziwne, nie uważasz?

- Może, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego - odpowiedział Barbarotti. - O czym to świadczy?

- Nie mam pojęcia - odparła Eva. - Ale coś musi różnić dwa poprzednie zaginięcia od tego ostatniego. Jeśli Waldego ogłuszyli i wrzucili do samochodu, nie będzie śladów.

- Oni? - zapytał Barbarotti.

- Tak myślę. Szczególnie w jego przypadku. Ale jak komuś udało się wyciągnąć z hotelu Green i Lundego, tak, nad tym trzeba się zastanowić.

- Sugerujesz, że mogli wyjść dobrowolnie? - zapytał.

- Teraz ja zadaję pytania - powiedziała Eva Backman. - A co ty uważasz?

- Nie jest to niemożliwe - odpowiedział Barbarotti. - Też to brałem pod uwagę. Mógł im grozić pistoletem, to bardziej prawdopodobne, nawet jeśli trochę ryzykowne. Albo...

- Albo co?

- Albo wcale im nie groził.

- Czyli nie odebrali tego jako groźby, to chcesz powiedzieć?

- Dokładnie.

- Więc kto to był?

- Ktoś, kogo znali. Już wcześniej o tym myślałem. Że przestępcą był ktoś, kogo wszyscy troje... no, może niekoniecznie Walde... znali i mu ufali.

- I?

- Odrzuciłem tę myśl.

- Dlaczego?

- Nie pamiętam.

- Ale przecież to droga donikąd. Lepiej zadaj swoje pytanie. Barbarotti spojrział w notatnik.

- Próbowwała już wcześniej - powiedział po chwili.

- Kto i czego próbował?

- Trine Bang. Już miała jedną próbę samobójczą. Kiedy była nastolatką, niedawno się o tym dowiedziałem.

- To nie jest pytanie - zaprotestowała Eva. - Ale okej, niech ci będzie. Skąd to wiesz?

- Od jej byłego chłopaka - powiedział Barbarotti. - Byli razem od liceum. Powiedział też, że... że z nim zerwała mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wydała swoją książkę. Moje pytanie brzmi: czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy?

Eva Backman pomyślała chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Nie, nie widzę tu żadnego związku.

- Okej, zostawmy to na razie - powiedział Barbarotti. - Następne pytanie: czy ktoś z zaginionych znał swojego prześladowcę? Co uważasz?

- Czy wszyscy troje, czy przynajmniej dwoje z nich? - zapytała Eva.

- Najlepiej by było - odparł Barbarotti. - Co uważasz?

- Uważam, że już to przerabialiśmy. Ustaliliśmy, że wszyscy troje musieli mieć coś na sumieniu... na przykład jakieś zdarzenie, coś, co było bezpośrednią przyczyną.

Barbarotti w milczeniu pokiwał głową.

- Chociaż mogli wiedzieć, kto na nich czyha. Nawet jeśli Green i Lunde bezpośrednio o tym nie piszą - powiedziała Eva.

- Może mieli powód?

- Możliwe.

- Albo podali fałszywy ślad?

- Jak ta dziwna historia Lundego o poecie w Göteborgu. Brzmi bardzo sztucznie. O zbrodni doskonałej.

- Zgadzam się - westchnął Barbarotti. - Myślisz, że to nas gdzieś doprowadzi?

- Nie. Myślę, że krążymy w kółko. Jeśli ten punkt Borkmanna jest prawdą, to obawiam się, że z nami jest coś nie tak. Nawet jeśli Sherlock Holmes poradziłby sobie z siedmioma czy nawet dziesięcioma tropami, to przecież nie znaczy, że nam też się uda. Chyba pójdę popływać. Chłodny mózg myśli lepiej niż ugotowany.

- Przecież siedzimy w cieniu - powiedział Barbarotti i spojrział na jezioro. - Ale idę z tobą.

Następne godziny minęły w tej samej tonacji. Mętne pytania i jeszcze bardziej mętne odpowiedzi. Po trzeciej czy czwartej kolejce w ciemnych wodach jeziora Barbarotti doszedł do wniosku, że już czas rozłożyć ręcznik.

- Wiesz co? - zapytał, kiedy się wycierał. - Założę się, że oni żyją, wszyscy.

- Chyba oszalałeś - powiedziała Eva.

- Założymy się?

- Dlaczego nie? - powiedziała Eva. - A co, jeśli okaże się, że tylko jedno albo dwoje z nich żyje?

- Wtedy nikt nie wygra. Wszyscy żyją albo wszyscy są martwi. Stawiam kolację przy świecach z... z winem du Rhône, które piliśmy w Wielkanoc... że żyją.

- Okej - zgodziła się Eva. - Ja twierdzę, że nie żyją. Czy mogę wybrać restaurację?

- To będzie tutaj, w domu - powiedział Barbarotti. - Nie można prowokować zarazy. Ale możesz wynająć niezarażonego kucharza, na pewno się jakiś znajdzie.

- Umowa stoi. - W tym samym momencie telefon Barbarottiego przerwał ich wysublimowaną konwersację.

Wytarł ręce i spojrzał na ekran.

Sara Sisulu.

- Najwyższy czas - powiedział i odebrał. Słuchał przez pięć minut, nie zadając pytań ani nie komentując, poprosił o kilka numerów telefonów i skończył rozmowę.

- Chyba wygrasz - powiedział. - Znaleźli Marię Green. Muszę zadzwonić do Malmö.

- Marię Green?

- We własnej osobie.

- W Malmö?

- W pobliżu Ystad. Unosiła się na wodzie. Znalazła ją jakaś starsza kobieta, która tam pływała...

- Kiedy?

- Wczoraj.

- Poczekaj... skąd wiadomo, że to ona?

Barbarotti pomyślał chwilę.

- Zidentyfikowali ją.

- Zidentyfikowali? Przecież zaginęła pół roku temu.

- I to jest właśnie najdziwniejsze. Przebywała w wodzie nie więcej niż kilka dni.

- Czyli ile?

- Nie wiem - odpowiedział Gunnar Barbarotti. - Zadzwońię do patologa.

Patolog nazywał się Filipsson i znał szczegóły.

Choć nie wszystkie. Ciało, a raczej pozostałości po nim, należące do zaginionej w grudniu poetki, zostało znalezione w środę rano przez Irmelin Andersson, która tego dnia kąpała się niedaleko Snårestad, miejscowości położonej dziesięć kilometrów od Ystad. Ciało przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej w Lund o trzeciej po południu. Po wstępnych oględzinach Filipsson i jeszcze jeden lekarz stwierdzili zgon z powodu utonięcia i włożyli ciało na noc do chłodni. Policja dopiero w czwartek przed południem stwierdziła podobieństwo do Marii Green. Zdjęcie wysłano do Kungsholmen w Sztokholmie (dlaczego nie do Kymlinge? Barbarotti się zdziwił, ale nie zapytał), gdzie wstępnie potwierdzono, że to była ona.

Ostateczne potwierdzenie przyszło kilka godzin później.

- Chwilę temu - uściślił Filipsson i kichnął. - Przepraszam, ale jestem uczulony na pyłki, to nie covid.

- Ostateczne potwierdzenie? - zdziwił się Barbarotti.

- Identyfikacja zmarłej - powiedział Filipsson.

- Przez kogo?

- Pod Ystad mieszka jej syn. Jest lekarzem w Lund. Ostatni raz rozmawiali przez telefon w grudniu, mieli się spotkać w styczniu, ale coś im przeszkodziło.

- Potrzebowałbym trochę więcej informacji - poprosił Barbarotti.

- Nie zrobiliśmy jeszcze obdukcji zwłok, ale z powierzchownych oględzin wynika, że przebywała w wodzie około kilku dni, najwyżej tydzień. Ubranie, dres i bielizna są w dość dobrym stanie. Była bosa, ale najdziwniejsze jest to, że miała sznur wokół szyi.

- Słucham? - zapytał Barbarotti. - Sznur wokół szyi?

- Tak. Dość gruby i długi na dwa metry. Zawiązany na zwykłą, podwójną pętlę, a więc to nie uduszenie. Wstępnie mogę

stwierdzić, że zgon nastąpił przez utonięcie. Więcej szczegółów po obdukcji zwłok.

- Skąd ten sznur wokół szyi? - zapytał Barbarotti. - Może była do czegoś przywiązana, żeby nie wypłynęła na powierzchnię?

- Bardzo możliwe - odparł Filipsson. - A nawet prawdopodobne. Niezależnie od wszystkiego sznur mógł się poluzować, ale trudno mi to ocenić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Dlaczego jeszcze nie miała sekcji?

Filipsson westchnął.

- Brak ludzi - skonstatował. - Część odsyłamy do innych miejsc, o czym pan pewnie czytał. Poza tym restrykcje wirusowe.

- Rozumiem - powiedział Barbarotti. - Na razie to wszystko, dziękuję. Czy jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

- Na razie nic. Porozmawiamy, kiedy pan przyjedzie. Jutro przed południem będziemy wiedzieć więcej.

- Świetnie - powiedział Barbarotti. - Proszę zadzwonić, gdyby pojawiło się coś nowego.

- Naturalnie - zapewnił lekarz sądowy Filipsson. - Proszę pozdrowić szefa. Graliśmy w piłkę ręczną w tym samym klubie.

W piłkę ręczną?, Barbarotti zdziwił się, kiedy skończył rozmowę. Stig Stigman? Tu musiało być, jeszcze zanim zaczął nosić te swoje krawaty.

- Jak to interpretować? Czy to znaczy, że parę tygodni temu jeszcze żyła?

Barbarotti rozłożył ręce.

- Najwyraźniej.

- A zaginęła w grudniu?

- Tak.

Eva Backman z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Czyli ktoś... ktoś ich więził? I dopiero teraz postanowił ich zabić. Dlaczego... to znaczy dlaczego teraz?

- To jedna z możliwości - powiedział Barbarotti.

- Jest ich więcej?

- Przynajmniej jedna. Chyba najlepiej będzie, jak od razu ruszymy.

- Spotkanie z lekarzem jest dopiero jutro. Możemy wziąć samolot wcześniej rano... nie, pewnie nie latają. W każdym razie musimy wyjechać bardzo wcześnie.

- Ale najpierw musimy jeszcze z kimś porozmawiać.

- Z kim? - zapytała Eva.

- Pomyśl.

Eva Backman zastanawiała się dobrą chwilę.

- Cholera - powiedziała w końcu. - Chyba wiem... albo i nie.

- To tak jak ja - powiedział Barbarotti.

- Ale może najpierw powinniśmy skontaktować się z miejscową policją?

- Możemy to zrobić z samochodu - odparł Barbarotti i spojrział na zegarek. - Jeśli teraz wyjedziemy, będziemy przed zmrokiem.

- O tej porze roku w Szwecji nigdy nie robi się ciemno - powiedziała Eva. - To co, Malmö?

- Albo Ystad? - powiedział Barbarotti. - A może Lund. Okaże się.

yla już dziewiąta wieczorem, ale w Ystad wciąż świeciło słońce. Inspektor kryminalny Forslund był cały w rumień-

Bcach, kiedy stał na parkingu i czekał na swoich gości.
- Jak minęła podróż?

Już przez telefon było słycać, że pochodzi z północy.

- Dziękuję - odparł Barbarotti. - To jest Eva Backman.

Skinęli głowami (zgodnie z zaleceniami pandemicznymi) i weszli do sennego komisariatu. Wyraźnie było widać, że Ystad jest spokojniejsze w rzeczywistości niż w świecie literatury.

- Kurt - przedstawił się inspektor Forslund nieoczekiwanie.

- Pasuje jak ulał w tym mieście. Imię mam po policjancie. Nie po Wallanderze. Wuj ze strony matki był legendarnym policjantem w Boden. Kurt Blomgren. Mówili na niego Blomman.

- Interesujące - odezwała się Eva Backman i pomyślała, że to pewnie nie pierwszy raz, kiedy przedstawia się w ten sposób.

- Kawy?

- Nie, dziękuję - powiedział Barbarotti. - Piliśmy po drodze. Najlepiej, jak od razu ruszymy. Znasz drogę?

- Oczywiście - powiedział Kurt Forslund. - Nie spodziewamy się żadnych kłopotów?

- Mam nadzieję - odparł Barbarotti. - Ale broń masz, prawda?

Kurt Forslund skinął głową.

- Patrol jedzie z nami?

- Są w gotowości, czekają.

- W takim razie ruszajmy.

Dojazd do gospodarstwa zajął im niecałe dwadzieścia minut. Wokół rozpościerały się falujące pola, a dom otaczała kurtyna wierzb. Niekończący się horyzont otwierał się na pełne morze. Biały dom, skąpany w świetle zachodzącego słońca, wydawał się prawie surrealistyczny.

Zatrzymali się na żwirowej drodze, w bezpiecznej odległości i Barbarotti wystukał numer. Odpowiedź była po czterech sygnałach. Barbarotti przedstawił się i zapytał, czy mimo późnej pory może wejść i porozmawiać.

W związku z tym, co się stało, tak.

Nie trzeba nic do jedzenia.

To zajmie nie więcej niż pół godziny. Jesteśmy w pobliżu. Ja i koleżanka policjantka.

To ostatnie niezupełnie było zgodne z prawdą. Czterech policjantów z patrolu ukryło się za drzewami, a Kurt Forslund skrył się za rogiem budynku gospodarczego z naładowaną bronią. Może to nie najlepsza osłona, ale zawsze coś. Zresztą nie mieszkają tam Hells Angels.

Zakończył rozmowę i skinął głową na Evę Backman. Wyszli z samochodu i ostatnie pięćdziesiąt metrów do drzwi wejściowych przeszli pieszo.

- Jak brzmiał?

- Trudno powiedzieć - odparł Barbarotti.

Mężczyzna, który im otworzył, miał w spojrzeniu coś, czego Eva nie potrafiła nazwać. Panikę? Uległość? Strach?

A może wszystko po trochu? Albo najzwyczajniejsze zmęczenie? Ogromne zmęczenie.

Dałaby mu jakieś czterdzieści lat, mimo iż wiedziała, że jest dziesięć lat młodszy. Szczupły i przygarbiony, kilkudniowy zarost i poparbowane na szaro długie włosy, niemyte i nieczyszczone od kilku dni. Poplamiony biały T-shirt. Zniszczone, brudne dżinsy i grube skarpety.

Równie dobrze mógłby być bezdomnym.

Bez słowa wskazał im ręką kuchnię. Wysunął krzesło i usiadł. Barbarotti i Backman usiedli naprzeciwko niego. Bar-

barotti strzepnął okruchy z kraciastej ceraty i wyjął magnetofon.

- Czy pan się zgadza, żebyśmy nagrywali?

Mężczyzna skinął głową i brudną ręką odgarnął włosy z twarzy.

- Imię i nazwisko, proszę?

- Fredrik Green - powiedział ledwo słyszalnie.

- Ja nazywam się Gunnar Barbarotti. A to jest Eva Backman. Jesteśmy z policji kryminalnej. Czy pan wie, dlaczego tu jesteśmy?

- Nie.

Musiał się wysilić, żeby wypowiedzieć to jedno krótkie słowo.

- Jak się pan czuje? - zapytała Eva.

- Nie za dobrze.

- Czy to ma związek z pana matką?

Milczał przez dobrą chwilę, zanim odpowiedział. Wędrował pustym wzrokiem między swoimi rozmówcami.

- Wszystko ma z nią związek.

- Proszę to wyjaśnić - poprosił Barbarotti.

- Wszystko ma z nią związek, ale już jej nie ma.

- Proszę mówić trochę głośniej.

Wzruszył ramionami.

- Czy mieszkała tutaj?

- Tak.

- Od kiedy?

- Długo. Od kiedy to się zaczęło... mniej więcej.

Mężczyzna na moment schował głowę w dłoniach. Patrzył w ceratę albo miał zamknięte oczy. Potem wziął głęboki wdech i się wyprostował.

- Była chora. Umierająca na schorzenie, które fachowo nazywa się mięsak tkanek miękkich. Dowiedziałem się

o wszystkim, kiedy już było za późno. Kiedy się ze mną skontaktowała, zabiła już tego pierwszego.

- Jakiego pierwszego? - zapytał Barbarotti.

- Nazywał się Lunde. Franz J. Lunde. Powinienem...

- Proszę mówić.

- Siedziała w samochodzie z jego ciałem, kiedy do mnie zadzwoniła.

Zamilkł na chwilę i zaczął się wpatrywać w nieumyty kieliszek na stole. Jakby zawierał coś ważnego, odpowiedź na niewypowiedziane pytanie. Ale to tylko wyobraźnia Evy Backman, jej mózg pracował na najwyższych obrotach i analizował nawet najbardziej bezsensowne znaki.

- Nie mogłem jej odmówić. To jakiś koszmar, wiem, że powinienem...

Znów przerwał i potarł dłońmi twarz. Jakby chciał obudzić w niej życie, pomyślała Eva. Zwiększyć przepływ krwi, a tym samym uspioną świadomość. Wyglądał jak osoba stojąca na skraju załamania nerwowego.

- Widzę, że się pan źle czuje - powiedziała. - Da pan radę?

Pokiwał głową.

- Dziękuję. Tak, chcę to już mieć za sobą. Na czym skończyliśmy?

- Na Franzu J. Lundem - przypomniał Barbarotti. - Powiedział pan, że matka się z panem skontaktowała?

- Tak, chciała się pozbyć ciała. Przyjechała kilka dni później, już po... po zainscenizowaniu własnego zaginięcia.

- I zamieszkała tutaj?

- Tak. Nie powinienem był się zgodzić, ale uległem jej. Była moją matką, w dodatku nieuleczalnie chorą, nie mogłem jej odmówić...

- Pan jest lekarzem, prawda?

- Na stażu w Lund, ale...

- Ale?

- Jestem na zwolnieniu lekarskim. Nie wiem, co będzie później. Teraz jeszcze ten wirus...

- Wróćmy do początku - powiedział Barbarotti. - Dlaczego mama się tu przeprowadziła?

Fredrik Green wzruszył ramionami.

- Musiała się gdzieś ukryć, a to dobre miejsce. Najpierw przyjechała z pierwszym ciałem tego, którego zabiła... tak, ale o tym już mówiłem. A potem na dobre się tu przeprowadziła. Powiedziała, że... „ja żyję, tylko ślad po mnie zaginął”.

- Jednak teraz rzeczywiście nie żyje - dodał Barbarotti.

- Tak, teraz rzeczywiście nie żyje. Była szalona, a teraz nie żyje. Ale...

- Ale co?

- To była moja matka i w tym cały problem.

Wydał z siebie nieadekwatny do sytuacji śmiech. Jakby chciał zobrazować słowo „szalona”, pomyślała Eva Backman i zauważyła, że cała się trzęsie.

- Jak zabiła Franza J. Lundego? - zapytał Barbarotti. - Wie pan?

- Zastrzeliła go. Waldego też.

- Zastrzeliła?

- Kupiła pistolet w Sztokholmie. Najwyraźniej wcale nie tak trudno zdobyć broń. Wciąż jest w samochodzie, wystarczy iść i go zabrać... tłumik też.

- Rozumiem - odparł Barbarotti. - Gdzie jest samochód?

Fredrik Green pokazał ruchem głowy.

- W stodole. Ciała leżą w gnojowniku. Powiedziała, że tam się rozpuszczą, ale to nie działa. Być może obornik jest za stary.

- Ile lat pan tu mieszka?

- Prawie dwa, kupiłem gospodarstwo po śmierci brata.

Zaszłochał, ale zaraz przestał.

- Potrzebuje pan przerwy? - zapytał Barbarotti.
- Nie, po prostu od dawna źle sypiam.
- Proszę opowiedzieć o Jacku Waldem, jak to się stało?
- Dlaczego nie pytacie o...?
- O co?
- O motyw. Nie chcecie wiedzieć?

- Oczywiście, że chcemy - powiedziała Eva Backman i uznała, że już czas przejąć pałeczkę. - Ale najpierw proszę opowiedzieć, co zrobiliście z Waldem?

Znów potarł sobie twarz.

- Matka miała obsesję na punkcie perfekcyjnego planu. Powiedziała, że to wszystko, co ma, że to jej ostatnie zadanie w życiu. Tak właśnie powiedziała. Ostatnie zadanie, a ponieważ... a ponieważ nie mogłem jej odmówić i znałem motyw... więc zrobiłem, co chciała. Cały czas wiedziałem, że to niewłaściwe, a jednocześnie przyznawałem jej rację... trudno mi to wytłumaczyć. Byłem jak z kamienia... jeśli tak można powiedzieć, jakbym zupełnie wyłączył myślenie, łatwiej mi było po prostu wykonywać polecenia... tylko wykonywać polecenia - powtórzył Fredrik Green i westchnął.

- Wspomniał pan o planie - powiedziała Eva Backman.

- Tak. Nie wystarczyło ich zabić, mieli się też męczyć... bać i pamiętać, co zrobili. Właśnie w tym celu pojechaliśmy trzy razy do Sztokholmu, za trzecim razem... no, właśnie.

- Jak to się stało? Jak zabiliście Jacka Waldego?

- Nie ja. To ona do niego strzeliła, wciągnęliśmy go do samochodu i wróciliśmy do domu. To było dość ryzykowne, ale...

Eva Backman czekała.

- Ryzykowne, ale proste - doprecyzował Fredrik Green. - Teraz ludzie siedzą w domach... na ulicy było zupełnie pusto.

Z oddali dało się usłyszeć rzenie konia. Na taśmie brzmiało to jak ilustracja do tej makabrycznej opowieści, która miała miejsce w letni wieczór, gdzieś w Skanii. Eva Backman była przyzwyczajona do niecodziennych sytuacji, ale to była sytuacja graniczna. A nawet ją przekraczała.

- Motyw? - zapytała.

Fredrik Green wyprostował się i spojrzał na nią wyostrozonym wzrokiem.

- Gwałt - powiedział. - Zgwałcili młodą kobietę w Kopenhadze, w listopadzie w dwa tysiące szesnastym roku... i zabili ją dwa miesiące później.

Eva Backman przełknęła ślinę.

- Zabili ją?

- Lunde zepchnął ją z balkonu. Ale równie dobrze mógł to być Walde. Ciągnęli losy.

- Skąd pan to wie? - zapytał Barbarotti.

- Powiedziała mi. Lunde przyznał się do wszystkiego, zanim go zastrzeliła. Myślał, że w ten sposób daruje mu życie... ale nie zrobiła tego. Nikogo nie oszczędziła.

- Może pan to powtórzyć? - poprosił Barbarotti. - Nie usłyszałem.

- Nikogo nie oszczędziła - powtórzył Fredrik Green.

- Jak się nazywała ta młoda Dunka? - zapytał Barbarotti.

- Trine... Trine Bang.

- Dlaczego Lunde musiał ją zabić... jeśli w ogóle musiał?

- Dlatego że chciała na nich donieść. Na niego i na Waldego... i powiedzieć, co jej zrobili. To wszystko ma sens. Rozumiecie. To wszystko ma sens.

- A pana matka? - zapytała Eva Backman. - Jak...?

Ociągał się z odpowiedzią dobre dziesięć sekund. Za oknem zerwał się wiatr i znów dobiegało rzenie konia.

- Ja miałem zadbać o to, żeby działał silnik w motorówce.

- Żeby mogła wypłynąć w morze i się utopić, tak?

- Tak. Dostałem w pakiecie z gospodarstwem motorówkę i silnik. Musiała się przywiązać do silnika... ale sznurek pewnie się poluzował, dlatego ją znaleźli. Inaczej...

- Inaczej? - zapytał Barbarotti.

- Inaczej byście tu nie siedzieli.

I kiedy przez kilka krótkich sekund jego goście zastanawiali się nad tym, co usłyszeli, on otworzył szufladę, wyjął z niej duży nóż kuchenny i przyłożył go do szyi.

Ale nie poszło tak, jak chciał. Eva Backman, która siedziała najbliżej, wykręciła mu rękę i nóż upadł na podłogę. Barbarotti podniósł go i potrząsnął głową.

- Wystarczy już tych trupów - powiedział. - Najlepiej będzie, jak pan pójdzie z nami.

Wyłączył magnetofon i włączył komórkę. Chwilę później w ciasnej kuchni stało już pięciu policjantów. Fredrik Green rzucił się na podłogę i zwinął w pozycji embrionalnej.

- Wszystko dobrze? - zapytał Kurt Forslund.

- Dobrze to za dużo powiedziane. Ale jesteśmy już gotowi - powiedział Barbarotti.

Ground zero - trzy

Tylko TB spotykam tego ranka, kiedy niebo płacze deszczem nad sytuacją na świecie, i jest tak cholernie smutno. Siedzi sama przy stoliku, odwrócona tyłem, widać jedynie jej szczupłe plecy. Schowała się w kącie lokalu, ale poznaję ją po włosach i pytam, czy mogę się dosiąść. Jest ruiną, dwa razy starszą, niż jeszcze wczoraj wieczorem, jakby walec przejechał po jej duszy, siedzi i się trzęsie. Pytam, co się stało, przez chwilę się waha, ale zaczyna mówić. Płacze i szlocha, trzęsie się, ale mówi.

Nie omija żadnego szczegółu, myślę sobie wtedy, że świat jest strasznie perwersyjny, ale taki jest. Siedzimy godzinę, potem odprowadzam ją do taksówki. Namawiam, żeby poszła na policję, odpowiada, że oczywiście, i umawiamy się, że będziemy w kontakcie.

Na pewno będziemy w kontakcie.

Jednak nic z tego nie wyszło. Zemsta miała być jej, teraz jest moja.

48

Święto Narodowe Szwecji było deszczowe i wietrzne. Ze starego gnojownika w pobliżu Snårestad zostały wyciągnięte dwa ciała. Wirus wciąż szalał, ale problem szachów pod wulkanem został rozwiązany.

Backman i Barbarotti spędzili całe przedpołudnie i połowę popołudnia w komisariacie w Malmö. Jeszcze raz przesłuchali Fredrika Greena i o czwartej ruszyli w drogę powrotną do Kymlinge.

Nie na wszystkie pytania znaleźli odpowiedź, ale większość się wyjaśniła. Jak zwykle nie było się z czego cieszyć. Barbarottiemu przypomniła się pewna sentencja, którą kiedyś przeczytał: *Kiedy w końcu w ciemności znajdziemy to, czego szukaliśmy, odkrywamy, że to tylko ciemność.*

- I co uważasz? - zapytał Evę. - Pozbiera się po tym wszystkim?

- Może tak, może nie - odpowiedziała Eva. - Ta jego matka musiała być bardzo dziwna. Zabija dwóch mężczyzn, żeby pomścić inną kobietę, i nie obchodzi jej, co się stanie z wła-

snym synem. Facet parę lat temu stracił brata bliźniaka, a teraz zostanie oskarżony o współudział. Zapomniałam, jak nazywała się ta głośna sprawa... zbrodnia w Yngsjö?

- Chyba tak - potwierdził Barbarotti. - Ostatnia kobieta w Szwecji skazana na karę śmierci. Tak, może i jest jakieś podobieństwo. W każdym razie Maria Green musiała mieć jakąś obsesję... chociaż jeśli ma się przed sobą tylko rok życia, to kto wie, jak człowiek myśli? Jakaś logika w tym jest. Pamiętasz, co powiedziała? Moje ostatnie zadanie?

- Gdyby ten sznurek się nie poluzował... nigdy by nie wypłynęła. I co wtedy? - zapytała Eva.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy byśmy tego nie rozwiązali?

- Dokładnie to chciałam powiedzieć. A wtedy Fredrik Green byłby wolny. Mógłby kontynuować specjalizację w Lund. I wrócić do normalnego życia.

Barbarotti słuchał w milczeniu.

- Może niektóre sprawy mają się lepiej, jeśli pozostaną nierozwiązane - dodał.

- Zabrzmiało mi to trochę bluźnierczo - powiedziała Eva. - Szczególnie w ustach policjanta.

- Masz rację, cofam to, co powiedziałem. Ciekawy jestem, kto się będzie cieszyć z zakończenia śledztwa? Pomyśl.

Eva Backman siedziała w milczeniu przez trzy, cztery kilometry i myślała.

- Lindhagen? Bo udowodnił, że jego teoria przyniosła rezultat.

- Też tak myślę - powiedział Barbarotti. - Kto jeszcze się ucieszył, że sznurek się poluzował i rozwiązanie dostaliśmy na tacy?

- Nie mam pojęcia - powiedziała Eva. - Na pewno nie Balthazar Walde. Zawsze lepiej myśleć, że ojciec zaginął, niż dowiedzieć się, że został zamordowany, bo był gwałcicielem.

- Czasami prawda jest przereklamowana - powiedział Barbarotti.

- Wiem, że tak myślisz.

- To trudne pytanie. Ale to chyba jedyna rzecz, którą cały czas ignorowaliśmy.

- Nie byłam w tym śledztwie cały czas - przypomniała mu Eva Backman.

- Może właśnie dlatego.

- Ha, ha. A więc co takiego pominęliśmy... a raczej pominęście?

- Ture Sventon, ta koperta, którą dostała... te samochody przed świetlicą. Tego nie było. Nie było też żadnej kobiety, która zadawała Lundemu niewygodne pytania... powinienem był to zauważyć.

Eva Backman pomyślała chwilę.

- Nie wiadomo, czy wyciągnąłeś wtedy właściwe wnioski.

- Może nie. Ale à propos prawdy przez duże P, to niepokoi mnie jedna rzecz.

- Co takiego?

- Co powiedzieć Viktorii Lunde.

- A to musisz być ty?

Barbarotti pokiwał głową.

- Tak. Sisulu porozmawia z synem Waldego, ale Viktoria musi to usłyszeć ode mnie.

Nagle zaczęło padać, a Eva, niestety, nie mogła już mu w tym pomóc.